

**Deprawacja** zadaje ważne pytanie:  
Czy wiesz, co Twoje dziecko robi w sieci?

POLECAM  
**ALEKSANDRA POPLAWSKA**



**DE  
PR  
WA  
CJA**

SANDRA  
CICHA

NOVAE RES

SANDRA CICHA

# Deprawacja



**NOVAE RES**

*Moim Rodzicom*

„Starajcie się zostawić ten świat choć trochę  
lepszym, niż go zastaliście”

Robert Baden-Powell

# Patron

Patron: Hej.

Roxanne: Hejka.

Patron: Masz ładne zdjęcie na profilowym ;)

Roxanne: Szkoda, że tego samego nie mogę powiedzieć o Tobie ;P

Patron: Jak będziesz chciała, ocenisz mnie na żywo ;)

Roxanne: ;P

Patron: Od dawna uprawiasz jeździectwo?

Roxanne: Od piątego roku życia. Niedaleko mnie jest stadnina i w zamian za pomoc mogę jeździć kilka razy w tygodniu. Też jeździsz?

Patron: Niestety, nawet nigdy nie próbowałem. Ale zazdroszczę takich umiejętności. Zawsze czułem respekt przed końmi. Bałem się, że mnie kopną albo ugryzą.

Roxanne: Hahahaha! One tylko tak groźnie wyglądają.

Patron: Wierzę na słowo ;)

Roxanne: To cudowne stworzenia. Może warto się przełamać? Jak chcesz, mogę Ci dać namiary na mojego instruktora.

Patron: Dzięki. Może kiedyś skorzystam z propozycji. Jednak na razie chyba się nie zdecyduję ;)

Roxanne: A Ty masz jakąś pasję?

Patron: Mam nawet kilka. Jednak najbardziej lubię jeździć na rowerze.

Roxanne: Dlatego masz jego zdjęcie zamiast swojego na profilu?

Patron: :) Myślę, że jest bardziej fotogeniczny ode mnie :D

Roxanne: Nie znam się na tym za bardzo... ale wygląda na dość drogi sprzęt ;)

Patron: Tani nie był. Trochę na niego odkładałem ;)

Roxanne: Z kieszonkowego?

Patron: Nie, z pensji ;P

Roxanne: To chyba nieźle zarabiasz ;)

Patron: Nie narzekam :) Twój nick pochodzi od imienia?

Roxanne: XD Nie. Od tytułu mojej ulubionej piosenki. Kiedy ją odkryłam, przez rok maltretowałam album Outlandos d'Amour The Police, prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę ;) Moi znajomi ciągle słuchali, jak nucę Roxanne, i tak to do mnie przyłgnęło ;)

Patron: Też kiedyś słuchałem The Police. W ubiegłym roku byłem na koncercie Stinga.

Roxanne: W Warszawie?

Patron: Zgadza się.

Roxanne: Ale zazdro...

Patron: Może następnym razem zabiorę Cię ze sobą ;)?

Roxanne: Nie odmówię :D A Twój nick do czego nawiązuje?

Patron: Jestem opiekuńczy... Lubię troszczyć się o innych ;)

Roxanne: Czuję się zaintrygowana :D

Patron: Prawidłowo ;)

Roxanne: Zadam Ci osobiste pytanie ;) Ile masz lat?

Patron: A Ty?

Roxanne: Byłam pierwsza ;P, ale okej... Dziewiętnaście. Teraz Twoja kolej.

Patron: Jestem od Ciebie trochę starszy...

Roxanne: Tzn.???

Patron: Spoko, do emerytury mi jeszcze daleko ;P Lubisz starszych?

Roxanne: Dżizas, co za pytanie... Szukasz opiekunki?

Patron: Raczej kogoś, z kim miło mógłbym spędzić czas...

Roxanne: Mógłbyś być bardziej precyzyjny?

Patron: Jesteśmy dorośli, więc pewnie sama się domyślasz...

Roxanne: Masz mnie za jakąś kurwę? To chyba Ci się adresy pomyliły!!!

Patron: Ej, poczekaj... Nie bądź taka obrażalska...

Roxanne: Weź, koleś, się ogarnij...

Patron: Przecież do niczego Cię nie zmuszam.

Roxanne: Szukaj innej naiwnej!

Patron: Poczekaj... Zrobisz tylko to, na co sama będziesz miała ochotę. Zresztą nic nas nie goni. Najpierw lepiej się poznajmy, a potem sama zdecydujesz. Nie masz nic do stracenia. Więc co Ty na to?

Roxanne: Zastanowię się...

# Robert

Siedzieliśmy w aucie zaparkowanym przy długim, piętrowym, zaniedbanym baraku. Niezagospodarowany teren przed budynkiem spowijała ciemność. Przy niewielkiej sufitowej lampce sporządzałem notatkę z ostatniej interwencji, kiedy w policyjnym radiu kilka razy zatrzeszczało. Uderzyłem je otwartą dłonią. Był to najprostszy sposób na usunięcie usterki. Sprawdzał się za każdym razem.

– Osiemnaście do zero, zero.

– Zgłaszam się.

– Gruby, jesteście wolni? – spytał dyżurny.

– Tak. Stoimy na Towarowej. Przed chwilą wyszliśmy od tej alkoholiczki, o którą martwili się sąsiedzi. Nie widzieli jej od kilku dni, więc myśleli, że zapłała się na śmierć – zameldowałem. – Syf, brud totalny, ale ma się dobrze. Trzeba zawiadomić socjalnych z MOPS-u<sup>1</sup>, bo ona raczej nie pali na gary. Zbieraczka. Przez mieszkanie ledwo można przejść. Rzeczy piętrzą się od podłogi po sufit. Jak zaproszy tam ogień, cały barak pójdzie z dymem. Zasużeruj im, by pomyśleli o umieszczeniu jej w DPS-ie<sup>2</sup>.

– Zrozumiałem. To już jedno macie z głowy. Nie chcę was straszyć, ale macie złote rozdanie. Jest zgłoszenie na Malinowej pięć. Awanturuje się pijany facet, a w domu są dzieci. Może będzie trzeba pojechać z nim na izbę. W ciągu miesiąca to już trzecie zgłoszenie, dwa razy nawiał przed przyjazdem naszych.



– Przyjąłem. Już jedziemy. A co to za facet? – zapytałem, chowając notatnik do bocznej kieszeni kurtki.

Maciej włączył koguty i ruszył z piskiem. Była prawie północ, na ulicach panowały pustki.

– Za dużo nie wiem, bo zgłaszająca kobieta się rozłączyła i nie odbiera telefonu. Spieszcie się, bo nie wiadomo, co tam się dzieje. Na posiłki nie liczcie, bo dwa kolejne patrole ruszyły na Czersk i do Męcikała. Musicie sobie poradzić.

Przejechaliśmy Warszawską, minęliśmy komendę i skierowaliśmy się na Gdańską. Ruch był niewielki. Porządni ludzie o tej porze spali. Maciej dodał gazu i leciał dziewięćdziesiąt na godzinę. Migające na skrzyżowaniach pomarańczowe światła nas nie spowalniały. Jechaliśmy główną ulicą, niespecjalnie stwarzając zagrożenie. Wjechaliśmy na Bytowską i po kilkuset metrach odbiliśmy w prawo w Jabłoniową. Uliczka była wąska, a po jej obu stronach przy chodnikach stały zaparkowane w dwóch rzędach samochody. Musieliśmy zwolnić, by przemknąć wąskim przesmykiem.

Po kilku minutach od zgłoszenia byliśmy na miejscu. Za pomocą policyjnego radia połączyłem się z komendą.

– Zero, zero do osiemnaście.

– Zgłaszam się.

– Jesteśmy na miejscu – zameldowałem dyżurnemu. – Wchodzimy.

– Przyjąłem.

Wysiedliśmy z radiowozu i pewnym krokiem podeszliśmy do obdrapanej, drewnianej furtki. Z niewielkiego parterowego domu dochodziły przytłumione krzyki i płacz dzieci. Niemal biegiem zbliżyliśmy się do drzwi i nie bawiąc się w uprzejmości, energicznie weszliśmy do środka.

Stojący na środku kuchni facet trzymał kobietę za szyję i ewidentnie ją dusił. U jego boku stała dwójka dzieci i szarpała go

za ręce, próbując odciągnąć od matki.

– Zostaw mamę!

– Puszczaj ją!

Facet stał tyłem do nas, nawet nie zauważył, że weszliśmy do domu. Wykorzystując tę przewagę, przywaliłem mu łokciem między łopatki z taką siłą, że aż głośno wypuścił powietrze z płuc. Parokrotnie zakaszał, próbując wziąć oddech. Puścił kobietę, która padła na kolana i na czworakach przeszła do pokoju obok. Dzieciaki pobiegły za nią i wtuliły się w jej ramiona, z oddali obserwując dalszy rozwój wydarzeń.

Agresor odwrócił się zdumiony. Myślałem, że widok dwóch gliniarzy trochę ostudzi jego zapędy, ale byłem w błędzie. Facet sięgnął po pogrzebacz i się nim zamachnął. Złapałem jedną ręką za jego nadgarstek, drugą dłonią wyszarpując mu przedmiot. Wolną dłoń zacisnął w pięść i uderzył mnie w policzek. Kopnąłem go w kolano i wygiąłem trzymaną rękę na plecy, aż pisnął. Powaliłem go na ziemię i skułem na tyle ciasno, by nawet nie miał ochoty się szarpać. Sprowadzony do parteru już nie był taki groźny. Maciej postawił stopę na jego plecach i delikatnie dociskał do podłogi.

– Jak się nazywasz? – zapytał Maciek.

– Gównu cię to obchodzi, psie – odpowiedział z pogardą zatrzymany.

– Na komisariacie będziesz bardziej rozmowny – skwitował jego pyskówkę Maciej i zwrócił się do kobiety siedzącej na kanapie: – To pani wzywała policję?

– Tak – wyszeptała drżącym głosem.

Na jej szyi i policzku widoczne były czerwone ślady.

– Jak się pani nazywa?

– Katarzyna Kobus.

– Zna pani tego mężczynę?

Facet leżał twarzą skierowaną do ziemi, ale pierwsze oszołomienie mijało i zaczął szarpać się na boki.

– Radzę się uspokoić i grzecznie leżeć, bo będzie bolało... – zagroziłem.

– Tak, to mój były mąż... Bartosz Kobus – powiedziała rozdygotana. – Miesiąc temu wyszedł z więzienia. Chciał się zobaczyć z dziećmi, więc pozwoliłam mu przyjść. A potem kilka razy mnie nachodził... – Zaczęła płakać i mocniej przytuliła dzieci. – Po wyjściu z zakładu karnego chciał z nami zamieszkać, ale się nie zgodziłam. Rozwiodłam się z nim, jak jeszcze siedział.

– Wzywała pani wcześniej policję?

– Dwa razy... ale za każdym razem przed ich przyjazdem zdążył uciec.

– Dlaczego nie złożyła pani zawiadomienia? – zapytałem.

– Wtedy był natarczywy, gadał, byśmy do siebie wrócili, ale nie robił mi krzywdy. Był nieszkodliwy... Tylko tyle, że z domu nie chciał wyjść... Dziś jest tak pijany, że chyba nawet nie wie, co robi... On nigdy wcześniej nie był agresywny. Nigdy wcześniej mnie nie... Nie wiem, co mu strzeliło do głowy...

– A gdzie teraz mieszka? – zapytałem.

– Ostatnio nocował w schronisku dla bezdomnych.

– Panie Kobus, gdzie pan mieszka? – zwrócił się do leżącego Maciej.

– Odpierdol się! Kumpla szukasz? Nic ci nie powiem!

– Będzie lepiej, jak zaczniesz współpracować. Podaj swój pesel – powiedziałem, trącając jego udo czubkiem buta.

– Pies ci mordę liza! Spierdalaj!

Kobus mówił to z taką wściekłością, że aż opluł podłogę.

– Masz przy sobie dokumenty? – zapytałem.

– Nie mam!

– Zaraz cię sprawdzimy – uprzedziłem poirytowany.

– Tylko, kurwa, mnie dotknij! – krzyczał pobudzony. – Tylko mnie dotknij! Obsikam cię, psie!

– Radzę się uspokoić! – uprzedziłem, po czym zwróciłem się do jego byłej żony: – Pani pamięta jego pesel?

– Tak z pamięci to nie podam, ale mam zapisany, bo o podwyższenie alimentów ostatnio składałam. Pan poczeka...

Wstała i z komody wyjęła segregator z dokumentami. Przejrzała kilka pierwszych kartek.

– O, mam. Osiem, cztery, jeden, zero, dwa, cztery, jeden, trzy, osiem, sześć, pięć.

Maciej sięgnął po radio zawieszony przy pasku i połączył się z dyżurnym.

– Zero, zero do osiemnaście.

– Zgłaszam się – odpowiedział dyżurny.

– Mamy pana. Sprawdź go: osiem, cztery, jeden, zero, dwa, cztery, jeden, trzy, osiem, sześć, pięć, Bartosz Kobus.

– Miesiąc temu opuścił zakład karny w Potulicach – poinformował dyżurny.

– Za co siedział? – dopytałem.

– Dwieście kk<sup>3</sup>.

Zagwizdałem i szturchnąłem glanem leżącego.

– Grubo... To nie miałeś chyba łatwego życia w pudle – powiedziałem z przekąsem.

– Odwal się, psie! – wycharczał Kobus.

– Co z nim robimy? – zapytał Maciej.

– Zabieramy na komendę. Za pobicie grozi mu kolejna odsiadka.

Pani Kobus poderwała się z kanapy i podeszła do Macieja.

– Panowie, proszę, zabierzcie go stąd, ale ja nie składam żadnej skargi!

– Pani żartuje? – zapytałem oburzony.

– Nie doniosę na niego... Po prostu chcę mieć święty spokój. Tu i tak sąsiedzi nas już palcami wytykali. Nie chcę znów latać po sądach. Nie chcę, by z dzieci znów się śmiali w szkole, że ojca

w więzieniu mają. Już swoje wycierpiały. On po dzisiejszym to już raczej tu nie przyjdzie. Ostatnie tygodnie spał w noclegowni na Małych Osadach. Chyba nie najgorzej tam się zachowywał, skoro go nie wywalili. On ogólnie niepijący. Dziś przesadził i dlatego mu odbiło.

– Pani Kobus – zwróciłem się do niej poważnym tonem – nie może mu pani tego darować. Gdybyśmy przyjechali chwilę później, mogłoby dojść do tragedii. Dusił panią. Musi pani zrobić obdukcję i złożyć zawiadomienie.

– Nic nie muszę, proszę pana... i nie chcę... Tylko go stąd zabierzcie.

Westchnąłem z bezsilności. Złapałem Kobusa za ramię i podniosłem. Szarpiącego się wyprowadziłem na zewnątrz, wsadziłem na tylną kanapę radiowozu i zameldowałem dyżurnemu:

– Zero, zero do osiemnaście. Zwijamy jeńca. Trochę rozrabiał, więc zastosowaliśmy pouczenie odczuwalne<sup>4</sup>. Teraz grzecznie siedzi, ale grozi, że się nam tu zdoi. Jedziemy z nim na dołek<sup>5</sup>.

– Przyjąłem.

# Patron

Patron: Co robisz?

Niezapominajka03: Nic specjalnego. Siedzę u koleżanki i oglądamy Straszny film 3.

Patron: Koszmarnie :)

Niezapominajka03: Faktycznie, mało ambitnie, ale staramy się trochę odmóżyć przed próbną maturą. A Ty zapewne oglądasz same boomerskie programy. Pewnie całymi dniami oglądasz TVN24, w międzyczasie przeglądając Wprost.

Patron: I tu się mylisz, bo... nie Wprost, tylko Angorę ;D

Niezapominajka03: Czyli niewiele się pomyliłam ;P

Patron: Nie jestem takim zgredem, za jakiego mnie masz ;P

Niezapominajka03: Mam Ci wierzyć na słowo?

Patron: Możesz się o tym przekonać osobiście.

Niezapominajka03: Tak????

Patron: Co powiesz na kino w najbliższą sobotę?

Niezapominajka03: Proponujesz randkę?

Patron: Miło by było w końcu porozmawiać w realu. Klikamy ze sobą od dwóch miesięcy, więc...?

Niezapominajka03: ...

Patron: ?

Niezapominajka03: ...zastanawiam się...

Patron: Nie udawaj takiej nieprzystępnej ;) W końcu to ma być tylko kino, no i może jakaś kolacja...?

Niezapominajka03: ...

Niezapominajka03: Zgoda.

\*\*\*

Patron: Cześć. Gniewasz się na mnie?

Patron: Widzę, że odczytujesz... ;P

Patron: Może jednak pogadamy? W końcu to chyba nic złego :) To jak?

Roxanne: Możemy popisać, ale nie rób sobie nadziei...

Patron: Jasne :)

Patron: Masz jakieś plany na weekend?

Roxanne: Jedziemy ze znajomymi pod namioty. A Ty?

Patron: Niestety w pracy. Nie mam tak dobrze jak Ty ;) Korzystaj z tych beztroskich lat, potem już same obowiązki :D

Roxanne: Ale i niezależność ;) Już nie mogę się doczekać, kiedy wyprowadzę się na swoje i nikomu nie będę musiała się tłumaczyć.

Patron: Uwierz mi, że dorosłość ma też swoje ciemne strony :P

Roxanne: Jakoś w to nie wierzę...

Patron: Jeszcze zatęsknisz za mieszkaniem z rodzicami i ciepłym obiadem.

Roxanne: Zostało mi kilka miesięcy szkoły i już nie mogę się doczekać wolności ;D

Patron: A potem?

Roxanne: Mam zamiar czerpać z życia garściami :) Mam tyle planów, że nie wiem, czy mi życia starczy ;D

Patron: A dokąd wybierasz się w weekend?

Roxanne: Do Okonin Nadjeziornych.

Patron: Wieki temu tam byłem... Często tam jeździsz?

Roxanne: Mamy w Okoninach swoją miejscówkę. Spędzamy tam ostatnio każdy weekend. Jeśli będzie w miarę ciepło, planujemy spać w namiotach, a jak będzie padało, przeniesiemy się do domków.

Patron: Już chyba za zimno na kąpiele...

Roxanne: Na kąpiele na pewno, ale nigdy się tam nie nudzimy. W dzień zazwyczaj pływamy kajakami po jeziorze, a wieczorami uwielbiam leżeć na pomoście i obserwować gwiazdy.

Patron: Romantyczka?

Roxanne: Pełna sprzeczności ;)



# Gosia

W ślimaczym tempie przemierzałam główną ulicę Czerska. Tłum wzburzonych ludzi maszerował pod byłym więzieniem dla kobiet. Było tu ze trzysta osób. Jak na mieścinę z dziesięcioma tysiącami mieszkańców to całkiem sporo. Kobieta przechodząca powoli koło mojego samochodu wymachiwała transparentem z napisem „CZERSK NIE DLA BESTII”. Ludzi z tabliczkami było tu znacznie więcej. Wszyscy sprzeciwiali się stworzeniu Krajowego Ośrodka Zapobiegania Zachowaniom Dys socjalnym<sup>6</sup> w Czersku. Wcale im się nie dziwiłam. Pomysł podobno narodził się już kilka lat temu, ale nic nie wskazywało na to, by faktycznie doszedł do skutku. To trochę uspiło czujność mieszkańców. Pół roku temu plotka okazała się faktem i od przyszłego miesiąca w byłym więzieniu miało zamieszkać piętnastu kryminalistów z wyrokami za przestępstwa seksualne, morderców, zwyrodnialców. Śmietanka największych psycholi w kraju.

Zebrani ludzie chodzili w kółko, przecinając dwa pasy jezdni. Cierpliwie czekałam, aż w końcu mnie przepuszczą. Gdybym spodziewała się takich atrakcji, wybrałabym inną drogę, no ale teraz było już za późno. Po dłuższej chwili udało mi się wydostać z tłumu i podjechać przed komisariat policji.

– Darek u siebie? – rzuciłam do dziewczyny siedzącej w punkcie przyjmowania interesantów.

– Przed chwilą skończył odprawę.

Przeszłam do gabinetu szefa jednostki. Zapukałam w futrynę otwartych drzwi. Siedzący za biurkiem mężczyzna spojrzął na mnie i na twarzy pięćdziesięcioletniego Dariusza Żuchowicza pojawił się uśmiech. Zналиśmy się niemal od zawsze. Jest bliskim znajomym moich rodziców, a jego córka w liceum przez kilka lat była przewodniczącą samorządu uczniowskiego, którego byłam opiekunem.

– Cześć, młoda. Długo cię nie było.

Komendant komisariatu wstał i uściskał mnie serdecznie. Po czym wskazał dłonią na krzesło naprzeciwko biurka.

– Jakies trzy miesiące, ale teraz będę stałym bywalcem. Jeszcze będziesz miał mnie dość.

– Tak? – zapytał zdziwiony.

– Za kilka tygodni, jeśli oczywiście zaliczę egzamin, powinnam dostać swój rejon. A ptaszki mi doniosły, że będą to moje stare kąty.

– Miło słyszeć. Czyli wracasz na stare śmieci.

– Spędziłam tu kilka lat, nawiązałam przyjaźnie, więc teraz to powinno zaowocować. Zresztą dużo łatwiej jest pracować, mając choć trochę przetarte szlaki, niż wchodzić na nieznany teren. Na aplikacji co prawda pracowałam na chojnickiej gminie, ale tam byłam tylko na gościnnych występach, więc nie zdążyłam zapuścić korzeni. A z Czerskiem przez tych kilka lat pracy w liceum trochę się zżyłam. A u was jak? Jakies zmiany? Nowe twarze?

Darek westchnął.

– Szkoda gadać... – powiedział, otwierając szufladę biurka.

Wyciągnął z niej paczkę czerwonych marlboro. Włożył papierosa w usta, odpalił go żarową zapalniczką z logo Dartha Vadera i mocno się zaciągnął, po chwili wydmuchał dym nosem.

– W ostatnich miesiącach mamy taką rotację, że przestałem zaprzętać sobie głowę zapamiętywaniem nazwisk. Masa policjantów albo się przenosi, albo choruje. Ze starej gwardii

zostało już tylko kilku. Ci, co mogli, to przeszli na emeryturę i teraz gwiżdżą na wszystko.

Ponownie mocno zaciągnął się gęstym dymem i wypuścił szarą mgłę przed siebie. Strzepnął popiół z papierosa do popielniczki schowanej w szufladzie.

– Darek, czyżbym w twoim głosie słyszała zazdrość?

– Nie będę czarował, że coraz częściej sam o tym myślę. W tej robocie widziałem już chyba wszystko i coraz bardziej jestem zmęczony tym syfem. Zarówno odgórnym, jak i oddolnym... Zresztą, co ci będę marudził. Na zieloną trawkę jeszcze się wybieram, ale poważnie to rozważam.

– Nie strasz. Ten komisariat bez ciebie to nie będzie to samo. Nawet nie umiałabym sobie tego wyobrazić. Masz teraz kryzys, ale na pewno ci przejdzie.

Darek zaciągnął się głęboko, po czym zgasił papierosa w ukrytej popielnicy i zamknął szufladę.

– Może... może... Zobaczymy...

– A tak z innej beczki. Słyszałam w radiu, że mają tu otworzyć ośrodek dla bestii. Myślałam, że to plotka, ale dziś widziałam demonstracje pod byłym więzieniem.

– Nic mi nie mów... – powiedział zrezygnowany. – Nie mam ludzi na zdarzenia, a jeszcze muszę protesty obstawiać. Szkoda gadać. Sam się wkurwiam, że ten ośrodek tu powstaje. I to w takim miejscu! Naprzeciwno szkoły. No ale co ja mogę? Trochę postękać, poprzytakiwać oburzonym i nic więcej. Teraz to jeszcze odbywa się pokojowo, ale aż boję się myśleć, co będzie, jak ich tu sprowadzą...

– Nie zazdroszczę... – przyznałam szczerze.

W drewnianą futrynę zapukała sekretarka Darka i włożyła głowę w uchylone drzwi.

– Szefie, pani Leokadia Lubecka znów przysłała złożyć skargę na dzielnicowego.

– Co tym razem? – zapytał poirytowany.

– Podobno w piątkowe wieczory podgląda ją podczas kąpieli. – Mówiąc to, z trudem powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Przecież już złożyła dwie skargi.

– Tak, ale tamte były na piśmie. W jej opinii nic nie dały, dlatego chce rozmawiać z komendantem osobiście.

Darek przewrócił oczami.

– Poproś ją.

Sekretarka zniknęła za drzwiami.

– Widzisz, co ja tu mam? – zapytał zrezygnowany.

– Widzę... Bądź dzielny. – Dłonie zwinęłam w pięści, wystawiłam kciuki do góry, i się roześmiałam.

– Zamiast na emeryturze, wyląduję w wariatkowie...

– Obiecuję, że będę cię odwiedzać – powiedziałam, przechodząc do sekretariatu.

Machnęłam ręką na pożegnanie sekretarce Darka i wyszłam do poczekalni. Na ławeczce w korytarzu czekała zniecierpliwiona Lubecka. Ubrana w szary zmechacony płaszcz, znoszone buty, z kwiecistą chustką narzuconą na głowę spojrzała na mnie podejrzliwie.

Panią Leokadię Lubecką znał każdy mieszkaniec Czerska. Starsza, samotna kobieta od lat cierpiała na schizofrenię i z uporem maniaka składała na wszystkich skargi. Na mnie nie miała okazji, ale byłam przekonana, że jeszcze wszystko przede mną.

# Patron

Patron: Widziałem nagranie na YouTube ;)

Roxanne: Chyba się zaczerwieniłam ;P

Patron: Masz talent. Czemu się nie chwaliłaś?

Roxanne: Nie chciałam od razu odkrywać wszystkich kart... ;P Chcę, żebyś powoli odkrywał moje zalety ;)

Patron: Cały czas mnie zaskakujesz...

Roxanne: Mam nadzieję, że tylko pozytywnie... Słuchasz takiej muzyki?

Patron: Nie do końca to moje klimaty, ale ten kawałek nawet mi się podobał. Znasz taki zespół Evanescence?

Roxanne: Nie kojarzę...

Patron: Jakieś dwanaście lat temu nagrali piosenkę *Bring me to life*, skojarzyła mi się z tym, co śpiewałaś. Ponad dekadę temu to był całkiem niezły hit.

Roxanne: Muszę sobie wygooglować. Zalajkowałaś mnie? ;)

Patron: No oczywiście :) i już zostałem Twoim wielkim fanem ;)

Roxanne: Spróbowałbyś nie ;)

Patron: Liczę na autograf.

Roxanne: Masz jak w banku... Tylko w końcu się określ, bo mam wrażenie, że mnie zbywasz. Piszemy i piszemy, a może w końcu

byśmy się spotkali... Ja nadal nie wiem, z kim rozmawiam... Może jesteś starym, brzydkim, zboczonym pasztetem ;P

Patron: Nie bądź taka niecierpliwa... Na wszystko przyjdzie czas... „Wyczekiwana przyjemność smakuje lepiej”<sup>Z</sup>. Co masz na sobie?

Roxanne: T-shirt i różowe stringi...

Patron: Chciałbym, żebyś włożyła palce pod cienki paseczek i zrobiła zdjęcie swojej słodkiej cipki...

Roxanne: ... ;)

Patron: ...tak jak myślałem... Jest jak niedojrzała malinka... Chcę Cię pieścić i dać Ci rozkosz jak nikt wcześniej...

# Gosia

Wyglądam całkiem nieźle, choć figurę mam raczej męską: niewielki biust, wąskie biodra, brak talii, ale twarz była niczego sobie. Może bez wpadania w samozachwyt, ale potrafiłam obiektywnie dostrzec swoje zalety. Brązowe, gęste włosy sięgające połowy pleców okalały twarz z wyraźnie zarysowaną brodą i wydatnymi kośćmi policzkowymi. Ciemne, niemal czarne oczy były moim atutem. Ostatni rzut oka w lustro... Poprawiłam makijaż, wyszłam z łazienki i ruszyłam wprost na parkiet. Powietrze w lokalu było aż gęste od hormonów. W zacienionych boksach migdały się pary, a na parkiecie napaleni faceci ocierali się o nowo poznane dziewczyny, licząc na to, że którąś zaliczą. Zapewne któremuś się poszczęści, a jutro nawet nie będą pamiętali ich imion. Z wielkim kacem wrócą do domów, by za tydzień powtórzyć cały rytuał.

Tydzień temu zakończyłam aplikację kuratorską. Wcześniej przez kilka lat byłam pedagogiem w cherskim ogólniaku. Egzamin kuratorski zaliczyłam na piątkę z plusem, więc zasłużyłam na nagrodę. Przyszłam z moją przyjaciółką do najlepszej dyskoteki w Chojnicach. Miała okazję odreagować małżeński kierat. Karolina jest ode mnie cztery lata starsza, ale mimo niewielkiej różnicy wieku matkuje mi od początku naszej znajomości. Jest przykładną żoną starszego od niej o pięć lat dyrektora Szkoły Podstawowej nr 1 w Chojnicach i matką nastoletniego Janka. Karolina chciała, bym uwiła sobie gniazdko z jakimś porządnym facetem, ale jak dotąd

się na to nie zapowiadało. Dlatego co raz podtykała mi pod nos kolegów Leona (jej męża), ale niestety żaden z nich nie przypadł mi do gustu. Łączyłam w sobie wiele sprzeczności: radosna, ale melancholijna, spokojna, ale energiczna, więc nie wyobrażałam sobie swojej przyszłości u boku jakiegoś powolnego smutasa. Nie czułam się stara, nie czułam tykającego zegara biologicznego, więc nie chciałam desperacko szukać kandydata na męża. To nie były czasy naszych babek, że po trzydziestce uważali cię za starą pannę. Wychodziłam z założenia, że nic na siłę. Albo ktoś ciekawy pojawi się na horyzoncie, albo nie. W każdym razie nie miałam zamiaru skupiać całej swojej uwagi na znalezieniu sobie męża.

Siadłam przy stoliku w rogu.

– Widzisz tego faceta przy barze? – zagaiła Karolina.

– Którego?

Stało tam pięciu facetów o różnych gabarytach.

– Tego w koszuli w kratę. Pracuje w kryminalnym. Całkiem miły, do tego wolny i bez zobowiązań.

– Skąd wiesz? Prowadzisz agencję matrymonialną?

– To nasz nowy sąsiad. Dwa miesiące temu wprowadził się do tego parterowego domu przy Komarowej. Graniczymy ze sobą ogrodami.

Jakby na zachętę parokrotnie uniosła brwi. Roześmiałam się, prawie opluwając ją sączonym manhattanem. Wysoki szatyn o dość szczupłej sylwetce rzeczywiście był całkiem przystojny, ale ja nie cierpiałam nawiązywać znajomości z facetami w dyskotekach. Przychodziłam tu tylko po to, by się wytańczyć, oderwać od codzienności, za to odwiedzający kluby mężczyźni przychodzili tu zazwyczaj po trzy Z: zapolować, zaliczyć i zapomnieć.

– Fajny, fajny, ale raczej nie w moim typie. Zamiast mnie swatać, chodź potańczyć. Jest po pierwszej, więc zaraz kończymy balety.



Ruszyliśmy na wypełniony parkiet. Kolorowe światła przeskakiwały po ścianach i naszych twarzach. Obok nas rytmicznie podrygiwał jakiś młody chłopak, coraz bardziej się do mnie zbliżając. Podszedł na tyle blisko, że prawie się o mnie ocierał. Odsunęłam się, ale to wcale go nie zraziło. Najwidoczniej mnie sobie upatrzył. Wzrok miał lekko mętny, więc albo był wstawiony, albo naćpany. Zresztą jedno drugiego nie wykluczało... Złapałam Karolinę za rękę i przesunęliśmy się kilka kroków od natręta.

– Chyba masz adoratora. – Karolinę najwyraźniej bawiła ta sytuacja.

– Mogę ci go odstąpić.

Facet zbliżył się tym razem do moich pleców i kroczem otarł się o mój pośladek. Rękami zamierzał objąć mnie w pasie, ale w porę się odsunęłam. No teraz to przestało być zabawne. Odwróciłam się do niego i miałam ochotę go uderzyć w twarz.

– Słuchaj, facet! Opuść sobie! – wykrzyczałam wkurzona.

– Ej, ale o co ci chodzi? – zapytał rozbawiony.

– O to, byś poszukał sobie innej laski do macania!

Chłopak podniósł ręce w geście poddania. Odwróciłam się do Karoliny i przewróciłam oczami. W tym momencie natręt ponownie zbliżył się do moich pleców i złapał mnie za pierś.

– Nie udawaj takiej niedostępnej – wysapał mi do ucha.

– Odpieprz się! – krzyknęłam.

Już odwracałam się, by wymierzyć mu siarczysty policzek, kiedy zauważyłam, że facet w szybkim tempie się ode mnie oddala. Ktoś złapał go za koszulkę i siłą wyciągał z tłumu. Natręt wraz z moim wybawcą zniknęli z pola widzenia. Spojrzałam na Karolinę i pokręciłam głową.

– I dlatego nie cierpię koleś z dyskotek.

– Już nie przesadzaj. Nie każdy jest taki. Jest tu na pewno sporo facetów, którzy przyszli tu w tym samym celu, co my: trochę

wypić, pogadać i potańczyć.

– Bałam się, że powiesz, że znaleźć matkę dla swoich przyszłych dzieci. – W moim głosie wyraźnie słychać było sarkazm. – Poważnie tak uważasz? – Spojrzałam na nią zdziwiona. – To się rozejrzyj.

Wkoło nas młodzi mężczyźni flirtowali z dziewczynami mniej więcej w swoim wieku, a panowie w średnim wieku adorowali dużo młodsze kobiety, bez pardonowo zaglądając im w dekolt. Zaledwie kilka par przyszło tu razem. Na znalezienie faceta, który byłby wart większej uwagi, raczej nie było tu szans.

– Myślisz, że ci panowie przyszli tu konwersować o przyszłości świata czy nowych pozycjach wydawniczych?

– No może masz trochę racji... – przyznała zrezygnowana.

– Przepraszam. – Usłyszałam za sobą męski głos.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam całkiem przystojnego blondyna po trzydziestce.

– Wszystko okej? Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że wyprosiłem stąd twojego znajomego?

– Znajomego? Nawet nie znałam tego faceta. Wyświadczyłeś mu przysługę, bo jeszcze sekunda, a zarobiłby w zęby.

Blondyn zaśmiał się sympatycznie.

– Mogę go tu z powrotem przyprowadzić, jeśli chcesz się z nim rozliczyć.

– Dziś mu daruję. – Również się roześmiałam.

– Jestem Piotr.

– Gosia. – Podałam mu rękę, którą on uściśnął. – A to moja przyjaciółka Karolina.

– Często tu przychodzicie?

– Kilka razy w roku. A ty? – zapytała Karolina.

– Wpadam tu czasem ze znajomymi, ale nigdy was nie widziałem. Może dołączycie do nas? – zapytał, wskazując znajomych siedzących w boksie naprzeciwko nas.

Karolina spojrzała na mnie wymownie i już chciała otwierać usta, ale byłam szybsza.

– Nie, dzięki.

– Nie dajcie się prosić. – Spojrzał zadziornie na mnie i się uśmiechnął.

– To miłe z twojej strony, ale już się zwijamy.

Spojrzał na zegarek.

– Przecież dopiero za kwadrans druga.

– Tak, ale na nas już czas. Rano musimy być na nogach.

Złapałam Karolinę za nadgarstek i powoli odchodząc, pociągnęłam ją za sobą.

– Jeszcze raz dzięki za ratunek – powiedziałam. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Kiedy odeszłyśmy kawałek, Karolina uderzyła mnie pięścią w ramię.

– Zgłupiałaś? Fajny był!

– Może i fajny, ale...

– Ale co?

– Nico. Nie był w moim typie.

– Jasne – powiedziała kpiąco. – Sama nie potrafisz racjonalnie wyjaśnić swojego zachowania.

– Karola, wiem, że chcesz dla mnie dobrze, ale nic na siłę. Zbierajmy się, bo obiecałam Leonowi, że odstawię cię do domu przed drugą.

– Upprzedzam cię, że jak będziesz tak wybrzydzać, to zostaniesz starą panną.

– Mówisz jak moja babcia.

# Patron

Roxanne: Masz chwilę?

Patron: Dla Ciebie zawsze.

Roxanne: Nie możemy się spotkać w ten weekend. Musimy to przełożyć na inny dzień.

Patron: Dlaczego? Tęsknię...

Roxanne: Nie bądź dziecko ;P Obiecuję, że Ci to wynagrodzę ;)

Patron: To mi się podoba ;) ale nim to nastąpi, uschnę z tęsknoty.

Roxanne: Wariat ;)

Patron: Tak sobie myślę... Weekend odpada, ale może spotkalibyśmy się w piątek?

Roxanne: Idę na imprezę urodzinową do przyjaciółki.

Patron: Nie możesz się z tego wymigać?

Roxanne: Naprawdę nie mogę...

Patron: A może na chwilę się stamtąd wymkniesz?

Roxanne: Nie da rady...

Patron: Ani na chwilę?

Roxanne: Nie ma szans...

Patron: To kiedy się spotkamy?

Roxanne: Może w poniedziałek? Dałbyś radę wyskoczyć na dwie godzinki?

Patron: W dwie godziny nie dojedziemy do żadnego hotelu, bo w Czersku z oczywistych względów odpada...

Roxanne: Nie musi być od razu hotel :D

Patron: A co...?

Roxanne: Możemy zabawić się w... aucie. Tam jeszcze tego nie robiliśmy ;)

Patron: Niegrzeczna z Ciebie dziewczynka...

Roxanne: „Grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne tam, gdzie chcą”<sup>8</sup>;D.

Patron: A jak sprawuje się nowy telefon? Fotki, które mi ostatnio przysłałaś, były dużo lepszej jakości niż te wcześniejsze ;) Mogłem wręcz policzyć niewielkie pieprzyki na Twoim brzuchu... te tuż nad... moim ulubionym wzgórkem... ;)

Roxanne: Jest świetny, ale nie używam go ogólnie. Jedynie do kontaktów z Tobą...

Patron: Boisz się, że się porysuje? Jest na gwarancji, więc się nie martw.

Roxanne: Nie o to chodzi... Starzy by mi życ nie dali, dopóki bym im nie powiedziała, skąd go mam... Przecież wiadomo, że nie mam wolnych kilku tysi. Zaczęliby kombinować, czy nie robię jakichś przekrętów na boku... Wolę nie ryzykować.

# Robert

Od rana siąpił deszcz, w powietrzu unosił się smog. Nieprzyjemnie gryzł w gardle. Rozpoczął się okres grzewczy, inflacja szalała, więc ludzie palili, czym popadło. Siedziałem z Maciejem w zimnym radiowozie. Ostatnio latali nami każdą dziurę. Rozumiem, służba nie drużba, ale gdzie nas nie było: prewencja, drogówka. Już sam miałem wątpliwości, w którym wydziale robię. Mam trzydzieści cztery lata, nie uśmiecha mi się latać po ulicach i użerać z pijakami. Przez kilka lat pracowałem w prewencji w Bytowie. Rozwiodłem się i postanowiłem wrócić do Chojnic. Marzyła mi się dochodzeniówka, ale musiałem poczekać na wolny etat i póki co zadowolić się taką pracą, jaką mi przydzielano.

– Osiemnaście do zero, zero... – Usłyszałem z niewielkiego głośnika.

– Zgłaszam się – odpowiedziałem.

– Awantura na Piłsudskiego osiemdziesiąt siedem przez dwanaście. Czterdziestodwuletni Karol Broda rzucił się na matkę. Grozi samobójstwem – informował nas przez radio dyżurny.

– Już tam jedziemy – powiedziałem, odpalając silnik. – Kobieta nadal jest w środku? Wiadomo coś więcej?

– Niestety nic więcej nie wiem. Pogotowie w drodze.

Po trzech minutach byliśmy na miejscu. Wdrapaliśmy się na drugie piętro starej, zaniedbanej kamienicy. Zapukałem i nie usłyszawszy odpowiedzi, złapałem za klamkę... Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc weszliśmy do środka.

– Policja, jest tu ktoś? – Maciej przejął inicjatywę.

Miał dwadzieścia dziewięć lat, był raczej krępy, ale miał charyzmę i ogromny zapał do pracy. Od trzech miesięcy tworzyliśmy całkiem zrany zespół.

Nikt się nie odezwał. Spojrzeliśmy porozumiewawczo na siebie. Przeszliśmy długim, ciemnym korytarzem w głąb mieszkania. Stały tam dwie pary butów: damskie znoszone pantofle i męskie adidas. Zapach stęchlizny i papierosów mieszał się z zapachem kadzidła o zapachu drzewa sandałowego. Zajrzałem do kuchni, ale nikogo tam nie zastałem. Maciej otworzył łazienkę, ale ona także była pusta. Zostały nam dwie pary drzwi. Złapałem za klamkę tych po prawej, ale były zamknięte. Dopiero wtedy zauważyłem ślady krwi na futrynie i podłodze w korytarzu. Pokazałem je Maciejowi. Sięgnęliśmy do kieszeni spodni i założyliśmy wyciągnięte z nich lateksowe rękawiczki.

– Policja, proszę otworzyć! – powiedziałem zdecydowanym tonem.

Klucz w zamku się ruszył, usłyszeliśmy głośne zgrzytnięcie i drzwi się otworzyły.

– Bogu dzięki... – powiedziała zapłakana siedemdziesięcioletnia kobieta ukryta w niewielkim pokoju. – To ja wezwałam policję, bo mój syn już chyba całkiem zwariował... Zdenerwował się, bo dziś dostał pozew o rozwód. Oni nie mieszkają ze sobą od pewnego czasu, ale myślał, że się pogodzą. Zadzwonił do żony, ale nie chciała z nim rozmawiać. Wtedy wpadł w jakiś amok. – Pani Broda była rozdygotana, trzęsły się jej ręce. – Chciałam go uspokoić, ale on wziął nóż, taki do ziemniaków, i zaczął się ciąć... – Starsza kobieta drżała na całym ciele. – O, tak... – Pokazywała na swoich rękach markowane cięcia na przedramieniu.

– Prosiłam, by się opanował, by się uspokoił, bo się boję, ale on mnie wcale nie słuchał. Był jak w amoku.

Kobieta drżała na całym ciele, nie panowała nad rozdygotanymi dłońmi, rozbiegany wzrok przesuwała po naszych twarzach.

– Panią też próbował zranić? – zapytałem.

– Mnie nie... chociaż w pewnym momencie tak dziko na mnie patrzył, że bałam się, że i mnie zrobi krzywdę... Zamknęłam się w swoim pokoju i wezwałam pomoc.

– Czy on coś bierze? Jakies narkotyki?

– Nie... raczej nie...

– A na coś choruje?

– Dziesięć lat temu zdiagnozowali u niego schizofrenię. Leczył się i było dobrze. Kilka miesięcy temu przestał brać leki i zaczął się trochę dziwnie zachowywać...

– To znaczy? – dopytywał Maciek.

– Mówił, że ktoś go śledzi, czasem kazał mi wyłączać komórkę, bo twierdził, że nas podsłuchują... No to było dziwne, ale ogólnie nie było z nim tak źle. Czasem zachowywał się normalnie, jakby mu nic nie dolegało, a innym razem był wystraszony, podchodził do okien i sprawdzał, kto wchodzi do kamienicy, robił sobie jakieś notatki. Nakłaniałam go do wizyty u lekarza, ale on nie chciał. To co ja mogłam zrobić? Mówił, że nie ma takiej potrzeby, że faszcerują go lekami, po których nie czuje się nic a nic lepiej...

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Maciej otworzył je i do środka weszli dwaj ratownicy.

– Cześć. – Starszy z nich zwrócił się do Maćka. – Komu mamy udzielić pomocy?

– Pan, który się samookaleczał, zamknął się w swoim pokoju. Cierpi na schizofrenię i od kilku miesięcy nie bierze leków. Jego matka nie ma żadnych obrażeń, ale jest w silnym stresie. Moglibyście ją zbadać i może podać coś na uspokojenie? – zapytałem, wprowadzając kobietę z powrotem do jej pokoju i sadzając na tapczanie.



– Okej. Najpierw panią zbadamy, a potem zobaczymy, czy trzeba będzie panią zabrać. Może wystarczy podanie czegoś na wyciszenie.

Ratownicy zajęli się panią Brodą, a my skierowaliśmy się do drzwi pokoju jej syna. Zapukałem energicznie. Kiedy nikt się nie odezwał, złapałem za klamkę i na nią napałem. Drzwi ani drgnęły.

– Panie Karolu, możemy wejść? – zapytałem spokojnie.

Zero odzewu.

– Panie Karolu? Może nam pan otworzyć?

Nic.

– Wyważamy? – zapytał Maciej.

Skinąłem głową i mocno natarłem barkiem na drzwi. Zamek puścił z trzaskiem... Pchnięte drzwi otworzyły się na oścież i z hukiem uderzyły w ścianę. Karol Broda stał na środku pokoju przy otwartym oknie, trzymając w zakrwawionych rękach nóż. W pokoju wyglądało jak w rzeźni.

– Ani się, kurwa, ważcie tu wejść! – wrzasnął, wyraźnie artykułując każde słowo.

Maciej stanął w drzwiach, a ja zrobiłem krok do przodu.

– Czy ja się, kurwa, wyraziłem jasno?! Słyszałeś?! Ani kroku więcej!

Podniosłem ręce na wysokość klatki piersiowej, pokazując, że nic w nich nie mam.

– Panie Karolu, proszę się uspokoić... Chcę tylko porozmawiać... – Zrobiłem kolejny krok w jego kierunku.

Broda stanął jeszcze bliżej okna i postawił na parapecie jedną stopę. Spojrzał w dół, jakby chciał sprawdzić, jak długo będzie leciał. Wyskakując z drugiego piętra i spadając na beton, miał szanse zarówno na liczne złamania, jak i na zgon. Cofnąłem się o krok.

– Panie Karolu, chcemy tylko porozmawiać...

– A po co? Nie chcę z wami gadać! – Facet był opryskliwy, ale przynajmniej odwrócił się do mnie twarzą.

Na oko był mojej postury: miał jakieś osiemdziesiąt kilo, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu.

– Słyszałem, że miał pan dzisiaj ciężki dzień...

– Żona mnie rzuciła! Pierdolona suka znalazła sobie kochanka i mnie zostawiła... Dziś dostałem pozew. Chce mi ograniczyć władzę rodzicielską i chce mi wydzielać kontakty z dziećmi! Wyobrażasz sobie?! Po piętnastu latach małżeństwa! Porzuciła mnie jak psa! – wrzeszczał, a z jego oczu płynęły łzy.

– Rozwód to nie koniec świata, proszę mi wierzyć. Jeszcze wiele można zrobić, ale jak się pan zabije, to już nigdy nie zobaczy pan dzieci. Będą żyły z piętnem dziecka samobójcy. Ile mają lat?

– Osiem i jednaście. Teraz będą miały nowego ojca...

– A jak mają na imię? – starałem się odwrócić jego uwagę.

– Jeremi i Maks. To fantastyczne chłopaki. Jeździliśmy razem wędkować. Maks jest taki spokojny, za to Jeremiego roznosi energia.

– Na pewno bardzo pana kochają... Nie chcieliby, by coś się panu stało. Proszę odłożyć nóż, byśmy mogli spokojnie porozmawiać...

W oczach Karola Brody znów zauważyłem desperację. Rozważał, co powinien uczynić. Nie mogłem być pewien jego kolejnego ruchu, facet był zdolny do wszystkiego.

– To jak? Pogadamy?

– Nie ma o czym... Moje życie się skończyło... – Przetarł zakrwawioną ręką twarz.

– Proszę odłożyć nóż. Porozmawiamy i na pewno znajdziemy jakieś wyjście – mówiłem spokojnie, starając się odwieść go od zamiaru wyskoczenia przez okno.

Broda spojrział na mnie zdezorientowany. Jakby dopiero mnie zauważył. Zakrwawiona twarz robiła upiorne wrażenie. W jego

oczach znów ujrzałem szaleństwo, dlatego nie czekając dłużej, doskoczyłem do niego, uderzyłem dłonią w rękę, w której trzymał nóż. Wytracony wypadł mu z ręki i upadł na ziemię. Maciej odsunął go od nas stopą. W tym momencie z Brody jakby uszło całe powietrze. Przesiadł na podłodze i się rozplakał.

– Panie Karolu, poproszę ratowników, by pana opatrzyli. Dobrze? – zapytałem.

Skinął głową.

– Będzie pan grzeczny?

– Tak...

Sięgnąłem po nożyk i schowałem go do woreczka strunowego. Z ulicy docierał do nas sygnał zbliżającej się karetki. Najwidoczniej matka pana Brody wymagała pomocy lekarskiej i wezwano drugą. Maciej w tym czasie zamknął okno. Ratownicy weszli do pokoju i zaczęli opatrywać rany bohatera całego zamieszania. Karol Broda siedział spokojnie i czekał, aż założą mu bandażę. Bez sprzeciwu poddawał się zabiegom. Cięcia nie były na tyle głębokie, by stanowiły zagrożenie dla jego życia, ale wymagały opatrzenia.

– Przewieziemy pana do szpitala, by mógł pana zobaczyć lekarz. Być może niektóre nacięcia będzie trzeba zszyć, ale ocenimy to dopiero w szpitalu, dobrze? – Postawny ratownik spokojnym głosem zwracał się do Brody.

– Dobrze by było, gdyby obejrzał go też psychiatra – powiedział ściszym głosem Maciej do stojącego obok niego drugiego ratownika. – Być może będzie wymagał leczenia w szpitalu psychiatrycznym albo przynajmniej obserwacji.

– Wpisałem wszystko w kartę. Zbierajmy się stąd. Pojedziecie z nami?

– Jasne, bo nie wiadomo, czy jeszcze czegoś po drodze nie odstawi.

Asystowaliśmy ratownikom aż do szpitala. Jeszcze chwilę odczekaliśmy na SOR-ze, a kiedy ustaliliśmy, że Karol Broda

zachowuje się spokojnie i dostał skierowanie do szpitala psychiatrycznego w Starogardzie Gdańskim, wróciliśmy na komendę, by się przebrać. Mój mundur był brudny od krwi. Miałem nadzieję, że Broda nie miał HCV, HIV albo innej choroby zakaźnej. Zawsze starałem się zachować wszelkie środki ostrożności, ale nigdy nie było wiadomo, czy to wystarczy.

Lubiłem adrenalinę związaną z pracą, napędzała mnie do działania, dzięki niej czułem, że żyję. Czasem odnosiłem wrażenie, że tylko w robocie nie wegetuję, że to, co robię, ma sens. Reszta się nie liczyła, nie miała znaczenia, bo wiecznie oczekiwałem czegoś bliżej nieokreślonego. Sam nie wiedziałem czego...

Kiedy się wykąpałem i włożyłem czyste rzeczy, okazało się, że mamy podjechać do Czerska pod „ośrodek dla bestii”. Pod budynkiem znów protestowali mieszkańcy. Snuli podejrzenia, że za zaginięciem Oliwii Kowalik stoi jeden z przyjętych do niego zwyrodnialców. Nie przyjmowali do wiadomości, że ośrodek jest pilnie strzeżony przez wielu strażników, stale monitorowany. Dla świętego spokoju naczelnik postanowił nas tam przegonić.

Dobre pół godziny później byliśmy na miejscu. Pod ośrodkiem zgromadziła się młodzież i dorośli. Byli wzburzeni. Podeszliśmy do kobiety w średnim wieku. To ona wykrzykiwała niepochlebne zdania o ośrodku, które skandowali pozostali zebrani. Najwidoczniej pełniła rolę lidera zgromadzonych.

– Sierżant Maciej Wrona i aspirant Robert Grubicki, czy może nam pani powiedzieć, co tu się dzieje?

– Jak to co? Nie widzicie, panowie? Sprzeciwiamy się sprowadzaniu tu bandytów! Te zwyrodnialce zagrażają wszystkim mieszkańcom. Kto to widział, by w centrum miasta otwierać ośrodek dla zboków. Chyba jacyś idioci! Ledwo się tu pojawili, a już zaginęła dziewczynka. To na pewno ich sprawka! To nie może być przypadek! Jakoś wcześniej takie sytuacje się tu nie zdarzały!

– Proszę pani – zaczął uspakajająco Maciej – ośrodek naprawdę jest świetnie strzeżony. Nie ma takiej możliwości, by ktoś stąd uciekł. Niemożliwe, by więźniowie byli w stanie dokonać jakichkolwiek zbrodni, bo są cały czas zamknięci. Widzi pani? – Wskazała na kraty w oknach. – Przez te kraty nikt się nie przecisnie. Budynek jest odgradzony wysokim płotem. Teren wokół ośrodka jest monitorowany. Tu nawet mysz nie ma prawa się przecisnąć.

– Tak? – wtrącił się jeden z demonstrantów. – To dlaczego Oliwia Kowalik zaginęła krótko po otwarciu ośrodka? Nie mydlicie mi tu oczu! Jesteście sługusami rządu i jesteście zakłamani tak samo jak oni! – Splunął niemal pod nasze nogi.

– Proszę państwa, skontaktujemy się z dyrektorem ośrodka i zaraz ustalimy, czy działo się tam coś niepokojącego, dobrze? – Maciej starał się załatwić sprawę pokojowo.

Dla nas wiadome było, że żaden z osadzonych nie miał prawa uciec, w przeciwnym razie postawiono by wszystkie służby na nogi, ale by zrobić dobre wrażenie, postanowiliśmy wyjść naprzeciw buntownikom.

Kobieta i wzburzony mężczyzna niechętnie przytaknęli, a my podeszliśmy do bramy ośrodka. Wcisnąłem przycisk przy domofonie i weszliśmy. Jeden ze strażników zaprowadził nas do biura szefa jednostki. Dyrektor KOZZD przyjął nas bardzo chętnie i przyznał, że sam już jest zmęczony sytuacją.

– Panowie, odkąd umieszczono tu pacjentów, zmagamy się z ogromną falą hejtu. Co prawda spodziewaliśmy się tego, bo już przedsmak mieliśmy jeszcze przed otwarciem, ale liczyliśmy na to, że z czasem to się uspokoi, a nie nasili. Z całą pewnością nie pomogło nam zaginięcie tej nastolatki z Czerska. No, ale cóż zrobić... – powiedział zrezygnowany.

– Jak wróci do domu, to sytuacja się trochę wyciszy – przyznałem.

– Mam nadzieję... bo nie dość, że ludzie paradują pod ośrodkiem, co tylko dodatkowo pobudza naszych pacjentów, to mamy mnóstwo głuchych telefonów albo telefonów z pogrozkami. Nie zgłaszamy tego, bo to nic nie da. No i jeszcze listy... – Dyrektor wyjął z szuflady gruby plik kopert i rzucił je na biurko. – To niestety nie są listy z gratulacjami czy życzeniami... Mamy nadzieję, że to szaleństwo wkrótce minie.

– A jak zachowują się wasi podopieczni? – zapytałem.

– Na razie jest dobrze, aczkolwiek ten hałas z ulicy wzbudza ich zainteresowanie. Część z nich cieszy się, że wywołują takie emocje. To są zaburzone jednostki i ich reakcje na tę sytuację są dalekie od normalnych. Ich to nakręca. A my chcielibyśmy, by byli wyciszeni. Wszyscy są pod opieką psychiatry i przyjmują leki, ale to bandyci. Nigdy nie wiadomo, co zrobią ani co siedzi w ich głowach, dlatego cały czas trzeba ich uważnie obserwować. Żaden z nich jak dotychczas nawet nie próbował ucieczki. Zresztą szanse na to są zerowe. Nasi pacjenci są stale kontrolowani. Monitorujemy każdy ich krok. Prywatności nie mają nawet w łazience.

– Postaramy się wyciszyć emocje panujące na zewnątrz, ale nie wiem, na jak długo.

– Będę wdzięczny, bo teraz czuję zagrożenie z dwóch stron, z zewnątrz i wewnątrz, a to zaczyna być męczące. Poza tym boję się, żeby nie doszło do eskalacji i uszkodzenia naszych zabezpieczeń. Rozmawiałem już na ten temat z komendantem. Obiecał, że w razie czego zapewni nam całodobową obstawę.

– Jeśli nie da się inaczej, to faktycznie takie kroki trzeba będzie podjąć. Ale to już nie nasza działka. Od podejmowania takich decyzji będzie góra – powiedział Maciej.

W asyście strażników wyszliśmy przed ośrodek. Tłum zgęstniał. Wzburzona liderka krzyczała z całych sił, by: „zabierać stąd tych zwyrodnialców”. Podeszliśmy do niej i przekazaliśmy, co ustaliliśmy. Patrzyła na nas z nieufnością. Kiedy ktoś z tłumu rzucił

petardą, zrobił się popłoch. Pożyczyłem megafon od liderki protestujących i uprzedziliśmy zebranych, że jeśli się natychmiast nie rozejdą, wezwiemy posiłki i zrobi się niezła jazda. Ku naszemu zdumieniu po chwilowej konsternacji ludzie się rozeszli, choć zapowiedzieli, że na pewno jeszcze wrócą. Wcale w to nie wątpiliśmy. Jednak cieszyliśmy się, że chociaż na chwilę zapanował spokój. Zadanie wykonane, więc mogliśmy wrócić do Chojnic.

Najbardziej wkurzało mnie to, że ludzie biorą nas za buców i cwaniaków, a nie widzą, że w naszej pracy większość czynności opiera się na sztuce dyplomacji. Nam też zależało na tym, by sprawy załatwiać polubownie, a nie w szarpaninie. Czasem jednak trzeba było użyć siły, ale czyniliśmy to w ostateczności, kiedy argumenty słowne zawodziły.

– Ta babka wspominała dziś o tej zaginionej nastolatce. Kojarzę ją, bo już któryś raz jej szukamy. Wcześniej wracała do domu po kilku dniach. Spodziewałem się, że znów nawiała, ale teraz sam się zastanawiam...

Spojrzałem na niego, nie dowierzając w to, co słyszę.

– Ale co? Też tworzysz teorie spiskowe?

– Nic z tego. Nie sądzę, żeby któryś z tych wariatów coś jej zrobił. Bardziej skłaniam się ku myśli, że z kimś uciekła albo ewentualnie coś sobie zrobiła. Nie można wykluczyć, że padła ofiarą przestępstwa.

– Czwartego wyjścia nie ma. Może wróci skruszona za kilka dni. Z takimi zaginięciami nigdy nic nie wiadomo. Może byłoby inaczej, gdyby to był pierwszy stopień zaginięcia, a nie drugi. Dziewczyna uciekała już parokrotnie, lubiła się dobrze zabawić, a przed ucieczką nie groziła samobójstwem. Najpewniej zatrzymała się u jakichś znajomych i wróci, jak się znudzi. No, chyba że dała nogę gdzieś dalej. Z tego, co słyszałem, to jej rodzice niezbyt przejęli się jej ucieczką – powiedziałem.

– Oni raczej nie są z tych nadopiekuńczych. Cieszą się chwilą spokoju od wybryków młodej, wizyt policji i wezwań do szkoły.

Maciej zerknął na zegarek.

– Za dwadzieścia minut kończymy służbę. Nie wiem jak ty, ale ja na dzisiaj mam dosyć wrażeń. Wieczorkiem mam zamiar otworzyć browara, walnąć się na kanapie i obejrzeć jakiś film. A ty jakie masz plany na piątkowy wieczór? Pewnie jako wolny strzelec nie możesz opędzić się od lasek – zaśmiał się.

– Niestety muszę cię wyprowadzić z błędu. Jakoś na razie mam dosyć randek. Ostatnio próbowała mnie swatać własna matka.

Ubawiłem tym Macieja. Zresztą mnie samego też to rozśmieszyło.

– No, opowiadaj, bo brzmi intrygująco.

– Nie ma o czym mówić. Poszliśmy do restauracji na kolację. Ogólnie sympatyczna dziewczyna. Miła, zadbana...

– No ale?

– Ale jest w moim wieku i sugerowała mi, że chciałaby ze mną stracić wianuszek.

Maciej spojrział na mnie zdziwiony.

– Dobrze słyszałeś. Nagle pod koniec naszego spotkania, lekko już podgoszczona, zaczęła mówić, jak to marzy o założeniu rodziny, ślubie, straceniu dziewictwa...

– O Chryste! To skąd twoja matka ją wystraszyła? Z kółka różańcowego?

– Blisko... – roześmiałem się. – Z Odnowy.



# Patron

Patron: Jak Ci się podobał ostatni prezent?

Roxanne: Baaardzo ;) Zaskoczyłeś mnie :) Nawet rozmiar się zgadzał ;) Masz w oczach miarę? :)

Patron: W rękach ;P

Roxanne: No chyba tak. Hahaha ;) Wszystko leży idealnie.

Patron: Zaslugujesz na wszystko, co najlepsze. Cieszę się, że bielizna przypadła Ci do gustu. Mam nadzieję, że wkrótce Cię w niej zobaczę...

Roxanne: Jest taka szansa...

Patron: Twoje ostatnie zdjęcia rozgrzały mnie do czerwoności... Nie możesz mi tego robić, bo potem nie mogę sobie z tym poradzić... Jesteś taka piękna...

Roxanne: Kiedy się spotkamy?

Patron: W tym tygodniu odpada.

Roxanne: Dlaczego... :( ?

Patron: Jestem w delegacji, ale jak wrócę, zaproszę Cię na kolację.

Roxanne: Brzmi obiecująco... :)

Patron: A co powiesz na mały prezent dla mnie?

Roxanne: A jakie masz życzenia?

Patron: Zdaję się na Twoją inwencję...

Roxanne: Może tym razem podeślę Ci... jakiś filmik?

Patron: Już nie mogę się doczekać... Rozpalasz moje zmysły... Już czuję, jak majtki robią mi się ciasne. Podniecasz mnie, mała...

Roxanne: Ty mnie też... Tak chciałabym znaleźć się w Twoich ramionach.

Patron: Jeszcze tylko chwilę... Musisz być cierpliwa. Obiecuję, że Ci to wynagrodzę.

Roxanne: Staram się, ale to nie jest proste...

Roxanne: Rodzice mnie wołają... Muszę kończyć :\* Odezwę się później.

Patron: Będę czekał z niecierpliwością... Całuję :\*

# Gosia

W szybkim tempie przemierzałam wybrukowane alejki Parku Tysiąclecia w Chojnicach. Ciemne, długie włosy spięłam w kucyk. Na czoło mocniej nasunęłam granatową czapkę z daszkiem. Chłodne powietrze uderzało mnie w twarz. Nie myślałam o niczym. Skupiałam się tylko na krokach. Rytmicznie przesuwałam stopy w rytm *Cheap thrills* Sii. Nie słyszałam ani swojego oddechu, ani szurających o chodnik kółek. Jedynie muzykę.

Popołudniami bywało tutaj tłoczno. Szczególnie w weekendy, kiedy park zdominowany był przez rodziny z dziećmi. Maluchy pod czujnym okiem rodziców bujały się na huśtawkach, wesoło chichocząc, karmiły kaczki pływające w stawach albo przemierzały ścieżki na rowerach i hulajnogach. Wieczór należał do młodzieży tłoczącej się głównie w skateparku. Jeździli na BMX-ach, popisując się przed kolegami nowymi trikami. Część z nich przychodziła tu zajarać jointa, pograndzić, pohandlować dragami, pokazać, kto rządzi, co raz dając się przyłapać policji. A poranki należały do mnie. Wtedy było tu pusto, spokojnie i cicho. Mogłam delektować się urokiem otaczającej mnie przyrody.

Przysiadłam na ławeczce naprzeciwko siłowni. Na wprost mnie zapalony sportowiec podciągał się na drążku. Miałam ochotę zapalić papierosa... Rzuciłam palenie siedem miesięcy temu i najtrudniej mi było powstrzymać się od sięgnięcia po papierosa, popijając piwo i teraz... po dziesięciu okrążeniach parku. Do

niedawna tak kończyłam niemal codzienny poranny rytuał. Śniadanie, kawa, rolki i papieroszek... Nadal mówiłam o nim z czułością, był moją codzienną nagrodą. Kilka miesięcy temu przesłam zapalenie płuc, po którym obiecałam sobie, że z papierosami koniec. Trzymałam się tego postanowienia, choć ostatnio coraz częściej myślałam o tym, by usiąść wieczorem na balkonie i mocno się zaciągnąć...

\*\*\*

Weszłam do pokoju i na swoim biurku ujrzałam stos akt. Jak widać, moi koledzy wzięli sobie do serca fakt, iż miałam objąć swój rejon. Pobieźnie przejrzałam teczki – kilkadziesiąt dozorów i jakaś stówka ograniczeń wolności. Będzie co robić.

Postanowiłam zacząć od kawy, potem zakasać rękawy i zabrać się do roboty. Przez rok byłam aplikantką, ale praca kuratora nie była mi obca. Wcześniej przez pięć lat byłam kuratorem społecznym. Trochę się to różniło od pracy zawodowca, ale temat co najmniej liznęłam. Po studiach załapałam się na staż w liceum w Czersku, a potem zostałam tam pedagogiem. Jednak chciałam czegoś więcej... nutki adrenaliny. No i nie potrafiłam dłużej usiedzieć w miejscu. Dlatego postanowiłam lekko się przekwalifikować. Moi rodzice woleli, bym wybrała sobie inny zawód, może trochę mniej narażony na styczność z patologią, przemocą. Oboje byli prawnikami. Ojciec, Stefan, miał siedemdziesiąt pięć lat i razem z moją mamą, Marią, pięć lat od niego młodszą, prowadzili kancelarię notarialną. W ubiegłym roku przeszli na zasłużoną emeryturę. Mój starszy brat, Arkadiusz, poszedł w ich ślady. Ukończył prawo na UW i od dwudziestu lat pracował w dużej kancelarii adwokackiej w Berlinie. Mieszkał tam z żoną i czwórką dzieci. Arek, zawsze poukładany, był chlubą rodziny, a ja... niesforną maskotką. Przyszłam na świat

osiemnaście lat po moim bracie. Rodzice zawsze dużo mi wybacжали – wagary w liceum, obcięcie włosów niemal na zapalną tuż przed maturą. Mama wtedy przez tydzień się do mnie nie odzywała. Byłam późnym dzieckiem, niespodziewanym darem od losu, który rozpieszczali do granic możliwości. Liczyli, że również odziedziczyłam prawniczy gen, ale mnie ciągnęło bardziej do ludzi niż do przepisów. Dlatego skończyłam pedagogikę i wylądowałam wśród takich samych społecznych zapaleńców jak ja.

Biuro kuratorów mieści się w byłym szpitalu w samym centrum Chojnic. Chodziły plotki, że tu straszy, choć ja nigdy niczego niepokojącego nie doświadczyłam. Pokój dzieliłam z dwiema koleżankami z zespołu – Malwiną i Natalią. Byłyśmy prawie równolatkami, ale w przeciwieństwie do mnie miały już dzieci, mężów i dłuższy staż pracy. Malwina pracowała w wydziale rodzinnym, a Natalia karnym i do niedawna była moją patronką.

– Słyszałam, że zaginęła twoja nieleta<sup>9</sup> – zwróciłam się do Malwiny. – Informację o tym powieliła na fejsie chyba większość naszych podopiecznych. A dziś widziałam jej zdjęcie na pierwszej stronie „Głosu Chojnic”.

– Niestety. Miała trafić do MOW-u<sup>10</sup>, ale tam nie dotarła. Rodzice sami mieli ją dowieźć do ośrodka, ale Oliwia nie wyraziła woli współpracy, dlatego sąd wydał nakaz doprowadzenia. Mieli ją zgarnąć tydzień temu, ale jej nie zastali i teraz czekamy na kolejny konwój. Jednak wcześniej musi się znaleźć. Dramat jakiś. W tym tempie skierowanie straci ważność i będę się z nią bujać do osiemnastki.

– To nadal musisz tam chodzić? – zapytałam.

– Dopóki jej nie umieszczą... – powiedziała Malwina, siadając na brzegu biurka.

– Długo już jej nie ma?

– Osiem dni.

– Jak na szesnastolatkę to dość długo. Pewnie zamelinowała się u jakichś znajomych – powiedziałam.

– Też tak myślę. Zresztą to by nawet do niej pasowało. Nie pierwszy raz nawiała z domu. Od ponad pół roku eksperymentowała z alkoholem, dragami i zdarzało się, że nie wracała na noc do domu. Widziałaś jej zdjęcie?

– Śliczna dziewczyna, ale wygląda poważniej niż na szesnaście lat.

– No właśnie. Wygląd aniołka a zachowanie diablicy. Nieźle z niej ziółko.

– Pewnie uciekła, bo się bała, że policja zwinie ją do ośrodka.

– Raczej tak, ale wiesz... Ludzie z Czerska już snują domysły i podejrzenia, że być może to sprawka któregoś z tych świrów z „ośrodka dla bestii”.

– Poważnie? – zapytała Natalia.

Małwina przytaknęła.

– Poważnie. Zresztą wcale im się nie dziwię. I bez tego zaginięcia ludzie byli wzburzeni, a teraz mają dodatkowy powód do niepokoju i tworzą makabryczne historie.

– Miałam okazję natknąć się na demonstracje przed ośrodkiem – powiedziałam. – Ale to było, zanim został otwarty. Ludzie byli nieźle wkurzeni. Protestowali przed budynkiem, ale jak widać, na niewiele się to zdało, skoro jednak zwieźli do niego pacjentów.

– Niestety... Teraz też jest tam gorąco, wczoraj widziałam, jak interweniowali policjanci. Obyło się bez dramatów, ale myślę, że to kwestia czasu. Spodziewałam się, że z czasem ludzie się przyzwyczają, niepokojące nastroje zaczną się wyciszać, ale zniknięcie Oliwii Kowalik tylko je podsyciło.

– Skoro to takie ziółko, to raczej nikt jej nie uprowadził, tylko sama dała nogę. Pobaluje i w końcu wróci. Rodzice złożyli zawiadomienie o zaginięciu?

– Sześć dni temu. Po wielkich bojach. Znasz Kowalików. Mają luźny stosunek do swoich obowiązków rodzicielskich. Zresztą Oliwia ćwiczyła ich od lat, więc za bardzo nie przejęli się jej zaginięciem. Uważają, że jak zgłodnieje, to wróci. Poza tym przypuszczają, że pewnie chce się wyszaleć przed trafieniem do ośrodka.

– Oby tylko w ciążę nie zaszła – powiedziałam, wyciągając batona z szuflady biurka. Słodczyce w ostatnim czasie stały się moim zamiennikiem papierosa.

– Oby... Ona raczej z tych, co nie myślą o zabezpieczeniach. Kiedyś, jak ją podpytywałam o rozpoczęcie współżycia, przyznała, że dziewictwo straciła z jakimś kolesiem spod budki z piwem. W zamian dostała dwie flaszki wina, które opędzlowała z przyjaciółką. Twierdziła, że zadbała o to, by nie zająć w ciążę. Nawet nie zgadniecie, jak...

– Podmywała się sokiem z cytryny? – zapytała Natalia.

– Byłaś blisko. Cołą.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– Aż nie chce mi się wierzyć, że mamy taki ciemnogród.

– Oj, mamy taki, że czasem mnie samej trudno w to uwierzyć... Przez siedem lat pracy widziałam niejedno, a jak pogadasz z Danką, która robi w rodzinnym trzydzieści lat, to dopiero się nasłuchasz. A wracając do Oliwii, to jak tydzień temu się dowiedziałam, że nawiała, najpierw sama pojechałam złożyć zawiadomienie o zaginięciu, bo jej rodzice jeszcze zamierzali z tym poczekać.

– To trochę dziwne, nie uważasz?

– W normalnej rodzinie może tak, ale u nich to wpisuje się w kanon. Co będą dzwonić czy latać po komendach, skoro po kilku dniach skacowane dziewczę samo się odnajdzie i wróci skruszone do domu.

– Nie bali się, że coś mogło się jej stać?

Dziwne było takie lekceważące podejście do sytuacji, kiedy dziecko nie wraca na noc do domu. Z niepokoju chyba bym umarła. Co prawda sama nie byłam matką, więc na rodzicielstwie znałam się może słabo, ale nie musiałam robić magistra z resocjalizacji, by odróżnić normę od patologii.

– Wiesz, statystycznie większość zaginięć nastolatków to ucieczki z domów, które trwają kilka, kilkanaście dni. Wracają do domów i po pewnym czasie znów uciekają. Wielu niełatów ucieka przed umieszczeniem w ośrodkach albo ucieka z placówek. Znikomy procent zaginionych stanowią ci, którzy popełnili samobójstwo, i ci, którym ktoś zrobił krzywdę. Statystycznie rzecz ujmując, są to sporadyczne przypadki. Nie wierzę, by Oliwii coś się stało. Jestem przekonana, że świetnie się bawi i ma nas wszystkich i całe zamieszanie wokół niej w dupie. Ale... biorąc pod uwagę, że nie chciałabym, by ktokolwiek zarzucił mi niedopełnienie obowiązków, sama złożyłam na komendzie zawiadomienie o jej zaginięciu. Skoro jej rodzice sami tego nie zrobili, poczułam się wywołana do tablicy. Potrzebne mi to było jak dziura w bucie. Na komendzie spędziłam ponad dwie godziny. Jakaś policjantka, ledwo po szkółce, trochę protekcjonalnie mnie potraktowała, ale ostatecznie przyjęła zgłoszenie.

– Czyli sumienie masz czyste – skwitowała Natalia, grzebiąc w szufladzie biurka.

– No tak, choć sama trochę martwię się o tę gówniarę. Ma cały czas wyłączony telefon i na razie nie odezwała się do rodziców. Wiesz, trochę się zestrachałam, że może sobie coś zrobiła... Bo raczej do tego MOW-u to nie bardzo chciała trafić... To jej najdłuższa ucieczka. Wcześniej wracała najdalej po trzech dniach. – W głosie Malwiny słychać było nieudawaną troskę.

– Ale myślisz, że mogła coś sobie zrobić? – zapytałam.

Malwina westchnęła.



– Mam nadzieję, że nie... Raczej nie. Nigdy się nie cięła ani nie groziła samobójstwem. Ale wiesz, nigdy nie wiadomo, co takim dzieciakom przyjdzie do głowy... Czasem do targnięcia się na własne życie dojrzewają wiele miesięcy, czasem jest to spowodowane ich zaburzeniami osobowości lub psychicznymi, a czasem podejmują spontaniczną decyzję. Oliwia nigdy nie miała myśli samobójczych... Nigdy bym nie przypuszczała, że mogłaby sobie coś zrobić... Ale gwarancji nie mam...

– Dlatego cieszę się, że trafiłam do karnego – przyznałam z ulgą. – Naprawdę nie zazdroszczę wam tego ciągłego obciążenia psychicznego. Ja przy takich akcjach to chyba bym w głowę dostała. W karnym może masz więcej papierkowej roboty i wszyscy podopieczni są karani, ale przynajmniej nie muszą się bić z myślami, co z nimi zrobić. Po prostu albo zasługują na odsiadkę, albo nie. Albo mam złożyć wniosek, albo nie. A w rodzinnym to: zabrać, nie zabrać. A potem jeszcze obsmarują cię pismaki, że dzieciaki zabrane za szybko albo za późno, gdzie był kurator, a może do ośrodka, a może do placówki... Spać po nocach bym nie mogła – wyznałam szczerze.

– Nie jest łatwo, ale do wszystkiego można się przyzwyczać. Za to w karnym masz mniej satysfakcji, bo nasi dozorowani rzadziej niż w rodzinnym przechodzą przemianę. Więc coś za coś – przyznała Natalia.

– Niestety. Coś w tym jest – potwierdziła Malwina. – Widzę, że dostałaś już swój decernat<sup>11</sup>.

– Patrzę na ten stos akt i nie wiem, za co mam się zabrać – powiedziałam, rozkładając teczki na biurku.

– Najlepiej zacznij je układać tematycznie w szafie. Według kategorii. Nie przejmuj się. Ogarniesz. Początki zawsze są najtrudniejsze, a potem jest już z górki – zapewniła Natalia.

– Byle do emerytury – skwitowałam.

# Patron

Roxanne: Zawsze wiedziałeś, czym chcesz się zajmować?

Patron: Jak byłem mały, to chciałem zostać Supermanem :) w podstawówce marzyłem, by być strażakiem, a w szkole średniej moje plany zmieniały się co kwartał.

Roxanne: Nigdy nie mówisz o tym, co robisz...

Patron: Bo to tajemnica ;P Gdybym Ci to zdradził, musiałbym Cię zabić ;P

Roxanne: Ja się Ciebie nie boję ;P Czasem zastanawiam się, co będę robić za kilka lat...

Patron: Będziesz frontmenką znanej kapeli i będziesz podróżować po całym świecie ;) Dobrze, że poznałem Cię teraz, bo potem nie będziesz chciała mnie znać ;D

Roxanne: Masz mnie za taką żołą? ;P

Patron: Słodką żołą? ;) Byłaby szansa na wspólny wyjazd? Chociaż na jedną noc?

Roxanne: Na razie odpada, ale może w wakacje? Wtedy będziesz mógł widywać się ze mną, ile chcesz. Nie wiem, czy uda mi się dostać na studia, ale jeśli wszystko poszłoby po mojej myśli, to chciałabym przenieść się do Trójmiasta, podjąć tam pracę i zacząć się uczyć.

Patron: Ambitne plany...

Roxanne: Zastanawiam się tylko...

Patron: ? Nad czym?

Roxanne: Czy wtedy będziesz chciał się ze mną widywać...

Patron: Nie widzę przeszkód ;) W końcu to nie jest koniec świata.

\*\*\*

Patron: Śpisz już?

Roxanne: Jeszcze nie...

Patron: A dlaczego ;) ?

Roxanne: Bo o kimś myślę ;P

Patron: Czyżby o mnie? :P

Roxanne: Może... :) To, jak mnie dotykasz, powoduje, że nadal mam dreszcze...

Patron: Uwielbiam Twoje ciało... Jesteś tak piękna. Wciąż jestem Tobą nienasycony...

Roxanne: Kiedy tak mówisz, rozpalasz moje zmysły... Wciąż czuję Twój smak... Kiedy znowu się spotkamy?

Patron: Może w przyszłym tygodniu? W tym już nie uda mi się wyrwać. Za dużo pracy.

Roxanne: Jaki Ty jesteś odpowiedzialny... Taki poważny... Obowiązkowy ... ;) To nawet sexy ;)

Patron: Co masz na sobie?

Roxanne: Piżamę ;P

Patron: To zdejmij ją, proszę, i podeślij coś dobrego na sen...

Roxanne: Świntuszek ;P

# Gosia

Kiedy w końcu uporządkowałam dokumenty, mogłam ruszyć w teren. Wsiadłam do mojego już lekko naruszonego zębem czasu forda mondeo i ruszyłam przed siebie. Podjechałam na Partyzantów czterdzieści osiem w Czersku, zaparkowałam przed starą kamienicą. Mieszkał tu kwiat lokalnej społeczności. Budynek nazywano „szpitalikiem”, bo w każdym z dziesięciu lokali zamieszkiwali nasi podopieczni. Byli albo karani, albo chorzy psychicznie, albo jedno i drugie. Ogólnie za jednym wyjazdem przy dobrych wiatrach można było załatwić z dziesięć dozorów, albo i więcej, bo część mieszkańców parowała się z innymi kryminalistami. Zawsze ciekawiło mnie to, w jaki sposób oni się odnajdywali... Czasem wystarczyło wejść na profil dozorowanego i stawało się jasne, kto z kim butelki opróżnia.

Szerokimi schodami weszłam na drugie piętro. Na żadnych z dwojga drzwi nie było numeru, więc stanęłam przed tymi bliżej schodów. Zapukałam do wielkich, starych, popękanych drzwi, które skrzypiąc, otworzyły się na oścież. Moim oczom ukazała się nawet niebrzydka, drobna blondynka z włosami upiętymi w niedbały kucyk.

– Dzień dobry. Nazywam się Małgorzata Drobińska, jestem kuratorem. Pani Patrycja Czajkowska?

– Tak – odpowiedziała, taksując mnie wzrokiem.

– Mogę wejść? – zapytałam.

– Proszę.

Przepuściła mnie w drzwiach i minąwszy kuchnię, przeszliśmy wąskim korytarzem do pokoju z wysokimi oknami wychodzącymi wprost na osiedle domków jednorodzinnych. Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Było tu dość schludnie. Mieszkanie urządzone co prawda skromnie, ale nie było dramatu. Wystarczyłoby je odmalować i zlikwidować grzyb na suficie. Spojrzałam na moją dwudziestopięcioletnią dozorowaną i dopiero teraz zauważyłam, że jest w dość zaawansowanej ciąży.

– Możemy usiąść? Mam kilka pytań. – Gdy skinęła, siadłam na sfatygowanej brunatnej kanapie, a ona na pufie naprzeciwko mnie.

– Pani Patrycjo, za jazdę pod wpływem alkoholu sąd w Bydgoszczy skazał panią na karę dwóch lat pozbawienia wolności, której wykonanie zawieszono na okres trzech lat próby. W tym czasie będzie wobec pani sprawowany dozór. Wie pani, co to oznacza?

– Tak. Już kiedyś miałam kuratora.

– A za co?

– Za kradzieże. To było z pięć lat temu.

– A była pani jeszcze za coś karana?

– Nie, no tylko za te kradzieże, no i dwa razy za jazdę po pijaku. Za te kradzieże był dozór, ale krótko, chyba z rok, a za pierwszym razem za jazdę na podwójnym gazie miałam do odrobienia godzinki. Teraz wpadłam drugi raz i dlatego dostałam dozór.

– Dużo pani miała promili?

– Dwa i pół, ale już mi schodziło. Najgorzej, że samochód rozbiłam. Może był złom, jednak jeździł. Teraz niesztybko sobie coś kupię, bo cierpię na chroniczny brak kasy – roześmiała się.

– Całe szczęście, że nikogo pani nie zabiła, bo w przeciwnym razie na pewno by panią posadzili – powiedziałam.

Patrząc na to dziewczę, aż się dziwiłam, że po takiej dawce się nie przekręciła. Musiała być zaprawiona w boju. Spojrzałam

wymownie na jej brzuch.

– A teraz pani pije?

– Nie, ani kropelki – zapewniła szybko.

– A inne używki? Papierosy? Narkotyki?

– Fajki nadal popalam, ale do dragów nigdy mnie jakoś specjalnie nie ciągnęło. Nie mówię, że nigdy nie próbowałam, parę razy się zdarzyło, ale to było dawno.

– Co pani brała?

– Mefedron, amfę, trawę. Jak większość nastolatków.

– Leczyła się pani psychiatrycznie albo odwykowo?

– Jak miałam dziewiętnaście lat, to pokłóciłam się ze swoim facetem i nazarłam się tabletek. Wezwał pogotowie, zrobili mi płukanie żołądka, a potem na dwa tygodnie trafiłam na obserwację psychiatryczną. Stwierdzili, że mam osobowość dys... dys... jakoś... Nie pamiętam dokładnie.

– Dyssocjalną?<sup>12</sup>

– No chyba tak. W każdym razie stwierdzili, że jestem zdrowa, i puścili mnie do domu.

– Potem jeszcze korzystała pani z pomocy psychiatry albo psychologa?

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

– A co ja wariatka jestem, żeby do jakichś znachorów łązić? Z głupoty wzięłam te tabletki. Raz się zdarzyło. Młoda i głupia byłam. Teraz jestem mądrzejsza.

– Długo tu pani mieszka? Dzielnicowy pani nie kojarzy.

– Hehe – roześmiała się – to chyba dobrze, co nie? Dopiero od dwóch miesięcy. Wcześniej przez kilka lat mieszkałam w Bydgoszczy. Wynajmowałam pokój na Fordonie. Wróciłam w rodzinne strony, bo dostałam tu mieszkanie z ZGM-ów. Moja matka tu kiedyś mieszkała. Nie utrzymywałam z nią kontaktów. Tak jakoś wyszło... A jak zmarła, to złożyłam wniosek o przyznanie

mi tego mieszkania. Trochę to trwało, ale w końcu się zgodzili. W Bydgoszczy nic mnie nie trzymało, więc tu przyjechałam.

– Sama tu pani mieszka?

W pokoju znajdowało się niewiele mebli, w tym szafa, stół i stary, wielki telewizor na komodzie. Siedziałyśmy w pokoju przechodnim, który prowadził do jeszcze jednego pokoju i łazienki.

– Sama. No a za niedługo z bobasem. – Pogłaskała się po brzuchu.

– Który to miesiąc?

– Dziewiąty, tak naprawdę to na dniach pewnie urodzę. Już wszystko przygotowałam, a torba z rzeczami do szpitala stoi przy łóżku. Termin mam co prawda dopiero za dwa tygodnie, ale u mnie w rodzinie wszystkie zawsze rodziły przed czasem. – Zaśmiała się.

– A ojciec dziecka?

– Nie utrzymujemy kontaktu. Wie pani, my ogólnie nie byliśmy razem. Trochę razem poimprezowaliśmy i tyle. Ta ciąża to wpadka. Zresztą jeszcze nie wiem, czy go podam. Mam trochę czasu do porodu, to się zastanowię.

– On wie o ciąży?

– Wie, ale raczej nie garnie się do ojcostwa. On ma więcej dzieciaków w terenie. Żadnym się nie zajmuje i na żadne nie płaci.

– A ma pani jakąś rodzinę? Kogoś, kto mógłby pani pomóc?

– Nie za bardzo. Matka nie żyje. Raka miała. A ojciec gdzieś w świecie. Nie mam z nim kontaktu. Zresztą jego nigdy nie było w moim życiu. To alkoholik. A do tego matkę bił, w kryminale siedział. Nawet nie wiem, czy jeszcze żyje. Mam siostrę dwa lata starszą. Ona to już mężata i dzieciata, ale z nią też już długo nie gadałam. Trochę się na mnie obraziła.

– Dlaczego?

– A bo... – cmoknęła zawstydzona – przystawiałam się do jej męża na ich weselu. Głupio wyszło. Nawaliłam się i nie za bardzo wiedziałam, co robię... Próbowałam ją potem przeproszać, ale nie chciała ze mną gadać.

– A z czego się teraz pani utrzymuje? Ma pani jakiś stały dochód? W końcu trzeba opłacić mieszkanie, kupić jedzenie.

– Przez dwa lata pracowałam w sklepie i jak zaszłam w ciążę, to poszłam na zwolnienie. Szału nie ma, ale do gara mam co wrzucić.

– Czyli ile teraz pani dostaje?

– Najniższą krajową, ale ja potrzeby mam małe. Starcza mi na to, czego potrzebuję. Zgłosiłam się też do pracownika socjalnego i złożyłam wniosek o dotację na opał. Na razie sobie radzę.

– Gdyby się coś działo albo gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę zadzwonić. Telefon jest na zawiadomieniu o dozorze – powiedziałam, wstając i kierując się do wyjścia. – Proszę o siebie dbać.

– Jasne – odpowiedziała, odprowadzając mnie korytarzem.

Na klatce schodowej można było przeczytać niejedno. Od wyznań miłości po obelgi, w których dominowały wulgaryzmy. Napisy tworzyły całe pokolenia, bo klatka nie była odmalowywana od co najmniej dwudziestu lat. Nie było to moje ulubione miejsce. Nie chciałam tu wchodzić wieczorem sama. Tutaj nawet w dzień policja niechętnie przyjeżdżała. Darek uprzedzał mnie, że to tu najczęściej dochodzi do awantur i interwencji policji. Uczulił, bym do „szpitalika” nie przyjeżdżała po ciemku bez obstawy, bo moge stracić zęby. Nie zamierzałam lekceważyć jego rad.

Wsiadłam ponownie do mojego forda. Musiałam podjechać w jeszcze jedno miejsce. Tym razem dobrze mi znane. Jeszcze na aplikacji dostałam dozór nad dziewiętnastolatką skazaną za handlowanie amfą. Emilia pochodzi z tak zwanego „dobrego domu”. Razem z rodzicami mieszka w bloku przy Hallera. Czersk to nieduża miejscowość, dlatego trudno tu o dochowanie sekretów.



Wszystko, co wybijało się ponad przeciętność, było ekscytujące i pożądane. Niezależnie, czy były to sprawy wstydlive, czy stanowiły powód do dumy. Dla rodziców Emilii, którzy pracowali w urzędzie miasta, był to nie lada cios i wstyd, że ich córka wpakowała się w aferę narkotykową. Rok temu huczała o tym połowa miasta. Teraz sprawa nieco przycichła, ale nadal kładła się cieniem na dobrym imieniu rodziny. Emilię znałam jeszcze z czasów, kiedy pracowałam w liceum. Dziewczyna była w maturalnej klasie i od kilku miesięcy jej zachowanie nie budziło niepokoju. Odstawiła dragi i całkiem dobrze radziła sobie w szkole. Może nie była prymuską, ale miała jedną z najlepszych średnich w swojej klasie.

Zawsze potrafiłam znaleźć wspólny język z młodzieżą. W końcu nie byłam od nich wiele starsza. Nie zdążyłam zapomnieć, jakie głupoty można wyprawiać, kiedy jest się nastolatkiem. A poza tym sama w tym wieku miewałam różne pomysły. Choć nie było się czym chwalić, jak dziś pamiętałam, jak regularnie uszkadzałam zamek w drzwiach do sali od chemii, wkładając w niego szpilki. Nienawidziłam tego przedmiotu. I chociaż nigdy mi tego wprost nie zarzucono, profesor Talaśka przyglądał mi się podejrzliwie przez całą trzecią klasę.

Zbliżała się szesnasta, więc rodzinę zastałam w komplecie. Państwo Płotka jak zwykle przyjęli mnie bardzo serdecznie. Wręcz próbowali wcisnąć mi obiad. Grzecznie odmówiłam i zaszłam się z Emilią w jej pokoju.

– Mam pewnie znowu zrobić test? – zapytała.

Emilia usiadła na łóżku po turecku. Założyła za ucho opadające na twarz ciemne włosy i zmrużyła obrysowane czarną kredką oczy.

– Byłoby miło.

– Jeszcze długo mnie będzie pani nimi zamećzać? – westchnęła zrezygnowana.

– Tak długo, aż nie nabiorę do ciebie pełnego zaufania.

– Jest pani gorsza od moich rodziców. – Mówiąc to, uśmiechała się, więc wiedziałam, że się zgrywa. – Pani Gosiu, naprawdę jestem czysta od pięciu miesięcy.

– Wierzę ci, ale wiesz, jak mówią: „ufaj i kontroluj”. Tę zasadę stosuję zarówno w pracy, jak i w życiu prywatnym. Dzięki temu całkiem dobrze na tym wychodzę. A teraz nie marudź, tylko rób ten test.

– Myśli pani, że dla picu siedziałam w ośrodku odwykowym?

– Emila, wiem, że wykonałaś tam kawał roboty, ale największy sprawdzian przechodzisz teraz. Mam nadzieję, że trzymasz się z dala od narkotyków, ale na oko tego nie stwierdzę, więc wolę trzymać rękę na pulsie. Kiedyś mi za to podziękujesz.

– No jakoś wątpię...

Położyłam przed nią test kupiony przez jej rodziców. Emilia posłusznie wykonała badanie śliny. Obserwowanie ssania kawałka gąbki, a potem wyciskania jej zawartości do przezroczystego pojemniczka było obrzydliwe, ale innego sposobu nie było. Przez kilka minut wpatrywałyśmy się w test kasetkowy w oczekiwaniu na wynik.

– Negatywny – powiedziała dumnie. – Mówiłam, że nie biorę.

– Nic nie poradzę, że ze mnie to taki niewierny Tomasz. Zresztą na zaufanie trzeba zapracować. – Uśmiechnęłam się. – Przyjdzie taki moment, że nie będę musiała cię sprawdzać, ale wszystko przyjdzie z czasem.

Westchnęła ostentacyjnie.

– Oby.

Emilia wzięła z biurka test, kartonowe pudełko i wrzuciła je do śmietnika pod stolikiem. Siadła ponownie na kanapie, podwijając smukłe, długie nogi pod brodę.

– A jak w szkole? – zapytałam.

– Całkiem dobrze. Zaczęłam się zastanawiać nad wyborem studiów. Najbardziej pociąga mnie psychologia. Zastanawiam się też nad pedagogiką. Sama mam trochę za uszami, więc już z doświadczenia wiem, jak postępować z trudną młodzieżą.

– To fakt. Doświadczenie w tej sferze masz, więc może zaliczą ci to w ramach praktyk.

Roześmiałyśmy się obie. Emilia wpatrywała się we mnie swoimi niebieskimi oczami obrysowanymi czarną kredką. Należała do subkultury emo – nosiła czarne ciuchy i preferowała czarny makijaż. Szczupła i wysoka dziewczyna przyciągała uwagę chłopaków. W opinii rodziców miała wianuszek adoratorów, ale od kilkunastu miesięcy spotykała się z chłopakiem dwa lata od niej starszym.

– Kto wie, może zostanę kuratorem.

– Za kilka lat wyrok ulegnie zatarciu, więc niewykluczone.

W końcu przecież dopiero wchodziła w dorosłe życie i stare winy nie musiały ciągnąć się za nią w nieskończoność.

Głośno zaburczało mi w brzuchu. Pożegnałam się z domownikami i w drodze do auta zastanawiałam się, gdzie wstąpić, by szybko zjeść. Nie jadłam od siedmiu godzin i mój żołądek głośno domagał się posiłku. Wjechałam na stację benzynową, gdzie kupiłam swój stały zestaw: kawa, Kubuś i hot dog. Siadłam przy jedynym wolnym stoliku. Był oblepiony ketchupem, więc starałam się go nie dotykać. Pałaszowałam swój pseudoobiad w pośpiechu i planowałam, dokąd jeszcze dzisiaj muszę się udać. W Łęgu miałam do zrobienia wywiad w sprawie przerwy w karze, a w Będźmierowicach o dozór elektroniczny. Zjadłam hot doga, którego popiłam pomarańczowym sokiem. Nie mogłam sobie pozwolić na dłuższą przerwę, więc kawę zabrałam ze sobą. Odpaliłam silnik i po chwili przemierzałam Starogardzką w Czersku. Gdy wyjechałam poza miasto, lekko docisnęłam gaz. Droga była pusta, sucha, więc nie czułam prędkości. Zamyślona

nawet nie zauważyłam, że jedzie za mną radiowóz. Wyprzedził mnie, a w jego tylnej szybie pojawił się napis „Follow me. Police. Jedź za mną. Policja”. Żart? Samochód nie był oznakowany, więc trochę zbaraniałam. Pomyślałam, że pewnie któryś z moich szanownych kolegów z cherskiej policji chce sobie ze mnie zażartować. Zwolniłam i jechałam grzecznie tuż za BMW. A co, jeśli to jacyś przebierańcy? A co, jeśli zatrzymają się gdzieś na odludziu? Postanowiłam, że nie stanę. Przejechaliśmy tak ze trzy kilometry i zatrzymaliśmy się w Łęgu przy sklepie spożywczym. Z BMW wyszedł wysoki mężczyzna ubrany w policyjny mundur. Zbliżając się do mnie, nasunął czapkę na krótko ostrzyżone włosy i podszedł do drzwi od strony kierowcy. Otworzyłam okno.

– Aspirant Robert Grubicki, Komenda Powiatowa Policji w Chojnicach. Czy wie pani, dlaczego została zatrzymana?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo... – powiedziałam, szczerząc się do niego jak na wizycie kontrolnej u dentysty. Domyślałam się, że trochę za szybko jechałam, ale liczyłam na to, że dzięki mojemu urokowi osobistemu uniknę mandatu.

– Przekroczyła pani prędkość o trzydzieści kilometrów. Zapraszam do radiowozu.

Zabrałam torebkę i grzecznie przeszłam do BMW. Siadłam na tylnej kanapie i czekałam na dalszy rozwój wydarzeń. Z przodu na miejscu pasażera siedział drugi policjant i coś notował.

– Proszę pokazać dowód osobisty.

Wyjęłam z portfela dokument i mu podałam. Przyjrzał mu się dokładnie.

– Pani Małgorzata Drobińska, urodzona czwartego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Tak jak już wspominałem, przekroczyła pani prędkość o trzydzieści kilometrów. Za przekroczenie prędkości taryfikator przewiduje osiemset złotych mandatu i sześć punktów karnych. Jechała pani

sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, a można było dziewięćdziesiąt. Możemy to pani pokazać na nagraniu.

– Nie trzeba. Panowie, wcale się tego nie wypieram... Trochę się zamyśliłam... Ja naprawdę zawsze przestrzegam przepisów. Nawet nigdy nie dostałam mandatu. – Staralam się ich zagadać. Uśmiechałam się jak naiwna trzpiotka, licząc na to, że może uda się ich urobić.

– Więc zawsze musi być ten pierwszy raz – odparł bezpardonowo aspirant Grubicki.

– Ale naprawdę? Nie możecie panowie zakończyć na pouczeniu? Obiecuję, że to już się więcej nie powtórzy... – kokietowałam.

Drugi z policjantów spojrzał na Grubickiego i do niego mrugnął, ale on był niewzruszony. Najwidoczniej trafiłam na największego służbistę w powiecie.

– Niestety. Otrzymuje pani mandat w wysokości ośmiuset złotych i sześć punktów karnych. Czy go pani przyjmuje?

Spojrzałam na twarz policjanta odbijającą się w lusterku. Była nieprzejeđnana. Brew przecięta blizną nieco się uniosła. Darmo próbowałam coś ugrać. Facet wpatrywał się we mnie surowym wzrokiem, czekając na moją decyzję.

– Tak – powiedziałam zrezygowana. – Zresztą chyba nie mam innego wyjścia.

– Ma pani, może pani odmówić i wtedy sprawa trafi do sądu.

– Wolałabym uniknąć takich atrakcji, więc przyjmuję.

– Jak sobie pani życzy.

Grubicki wypisał kwity i patrząc mi prosto w oczy, wręczył mandat. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Mój pierwszy w życiu mandat. Chyba zostawię go sobie na pamiątkę – powiedziałam z przekąsem.

– Gdyby jechała pani zgodnie z przepisami, toby go pani nie dostała. – Policjant nie zamierzał mi odpuścić. – Proszę jechać

ostrożnie.

- Dziękuję – powiedziałam oziębło, po czym wysiadłam z radiowozu, wróciłam do swojego auta i wrzuciłam papierowy świstek do schowka.

Dzisiejszy wyjazd drogo mnie kosztował. Jedna czwarta mojej pensji. Na pewno na długo zapamiętam tę gorzką lekcję.

# Patron

Roxanne: Jak będziesz mógł, odpisz ;)

Roxanne: Coś nie mogę cię złapać... Jak będziesz miał chwilę, odezwij się.

Patron: Przepraszam, że dopiero teraz odpisuję, ale wcześniej byłem w pracy. Coś się stało?

Roxanne: Nie, wszystko dobrze ;) ale chciałam zapytać, kiedy się zobaczymy?

Patron: W tym tygodniu będzie ciężko. Przyszła środa?

Roxanne: Trochę długo... Nie dałoby się coś szybciej? Choć na chwilkę?

Patron: Coś się stało?

Roxanne: Nie, ale musimy pogadać...

Patron: Piszesz tak enigmatycznie... Coś się stało...

Roxanne: To nie na SMS-y, musimy się spotkać...

Patron: No dobrze, postaram się coś wymyślić. Odezwę się, okej?

Roxanne: Wystarczy godzina...

Patron: Może pojutrze... ale nie będę miał zbyt wiele czasu.

Roxanne: Okej :\*

# Gosia

Z głębokiego snu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Nawet nie otwierając oczu, sięgnęłam po telefon leżący na stoliku obok łóżka.

– Tak? – zapytałam nieprzytomnie.

– Pani Gosiu, przepraszam, że tak wcześnie dzwonię. – W słuchawce usłyszałam spanikowaną Magdalenę Płotkę, matkę mojej dozorowanej. – Ale nie bardzo wiem, co robić...

Otworzyłam jedno oko i zerknęłam na wyświetlacz elektronicznego zegarka. Siódma rano.

– Co się stało? – wymamrotałam, będąc jeszcze w półśnie.

– Emilia wyszła z domu wczoraj po południu i wygląda na to, że do tej pory nie wróciła... Ogólnie miała się spotkać ze znajomymi. Mówiła, że wróci koło północy. Mój mąż wyjechał na szkolenie, a ja wczoraj miałam taką migrenę, że zasnęłam koło dwudziestej trzeciej... – mówiła roztrzęsiona. – Pierwszy raz nie poczekałam na jej powrót. Po lekach spałam tak twardo, że obudziłam się dopiero przed chwilą. Nawet nie wiem, kiedy dzwonił budzik. Obudziłam się pół godziny temu i... – Głos jej się łamał. – Weszłam do jej pokoju i jej nie ma...

– Może wyszła wcześniej do szkoły? – gdybałam.

– Nie, na pewno nie.

– Czyli nie wróciła na noc?

– Na to wygląda... bo w pokoju wygląda tak jak wczoraj. Nigdy wcześniej to się nie zdarzyło... Próbowałam się do niej dodzwonić,



ale jej telefon jest wyłączony. Dzwoniłam już do jej chłopaka i najlepszej przyjaciółki, ale nie odbierają.

– Pewnie śpią. Może została u któregoś z nich na noc?

– Zawsze wcześniej mnie o tym informowała... Wczoraj nic mi nie mówiła. Mam nadzieję, że się zagadała i zapomniała... Myśli pani, że tak było?

– Tak przypuszczam. Proszę się uspokoić i nie zakładać od razu najgorszego. Telefon Emilii nie odpowiada, bo pewnie się rozładował.

– Mam takie złe przeczucia... – Głos ponownie jej się łamał.

– Jestem przekonana, że za chwilę przyjdzie do domu.

– Wiem, że może zbyt pochopnie, ale dzwoniłam już na policję... – westchnęła. – Jakiś mało uprzejmy dyżurny powiadomił mnie, że skoro jest dorosła, to zgłoszenie mogę złożyć dopiero po dwudziestu czterech godzinach. Sugerował, że niepotrzebnie panikuję, bo nie ma jej raptem kilka godzin. – Pociągnęła nosem. – Myśli pani, że rzeczywiście dramatyzuję?

– Nie, nie uważam. Nie dziwię się, że się pani martwi, ale jestem przekonana, że Emilia wróci do domu najdalej za parę godzin i się wytłumaczy. Tymczasem proszę ponownie obdzwonić jej znajomych.

– Trochę mnie pani uspokoiła... Zdenerwowałam się, bo to nie w jej stylu. Dzwoniłam do męża i też uważa, że niepotrzebnie panikuję. No dobrze... Podzwonię i jak czegoś się dowiem, od razu dam pani znać.

– Dobrze, a ja też będę próbowała ją namierzyć.

Wstałam, wzięłam szybki prysznic i zrobiłam sobie mocną kawę z ekspresu. Od niedawna byłam właścicielką dwupokojowego mieszkania na Osiedlu Pogodnym w Chojnicach. Miałam na karku kredyt, który będę spłacać co najmniej do emerytury. Jednak wolałam to niż mieszkanie u rodziców. W wieku trzydziestu lat średnio mi się uśmiechało tłumaczenie im,

gdzie wychodzę, z kim i o której wrócę. Mieszkanie było urządzone minimalistycznie. Po pierwsze, nie lubiłam otaczać się rzeczami niepotrzebnymi, a po drugie, mój budżet był dość skromny i ograniczony. Moi rodzice najchętniej sami sfinansowaliby mi zakup mieszkania, ale choć dla wielu było to niezrozumiałe, nie zgodziłam się na to. Nie chciałam być od kogokolwiek zależna. Sama chciałam zapracować na wszystko, co mam.

Zniknięcie Emilii jakoś specjalnie mnie nie zaniepokoiło, bo w końcu to była dorosła dziewczyna i nie spodziewałam się, by mogło spotkać ją coś złego. I to w Czersku, gdzie nie licząc awantur domowych, nie dochodziło do poważniejszych przestępstw. Parokrotnie spróbowałam się do niej dodzwonić, ale faktycznie miała wyłączony telefon. Wysłałam jej SMS z prośbą o pilny kontakt. Przejrzałam jej profil na Facebooku, ale nic niepokojącego tam nie znalazłam.

Przez kilka godzin nawet nie myślałam o zniknięciu Emilii. Sądziłam, że do południa sprawa się wyjaśni. Objechałam kilka dozorów w Chojnicach, a potem zaliczyłam wizytę u dwóch skazanych w Czersku. Przy okazji postanowiłam odwiedzić Emilię Płotkę. Jej matka ponownie się ze mną nie kontaktowała, więc byłam przekonana, że dziewczyna właśnie wysłuchuje jej wyrzutów. Co z uwagi na stres, na jaki ją naraziła, było wręcz wskazane.

W południe podjechałam do domu Emilii, jednak w mieszkaniu zastałam tylko jej rodziców.

– Emilii nie ma? – zapytałam.

– Niestety. Nadal się nie odezwała, a jej telefon jest wyłączony.

– Macie jakieś nowe informacje?

Magdalena Płotka chodziła niespokojnie po pokoju, a jej mąż siedział na kanapie i bezskutecznie próbował dodzwonić się do córki.

– Niewiele. Jakub, jej chłopak, przyznał, że widzieli się wczoraj wieczorem, ale wyszli od niego przed dwudziestą trzecią. Odprowadził ją do cmentarza, a potem się rozstali. Do domu miała jakieś dwieście metrów... Coś musiało się stać... Była tak blisko... Przecież droga między cmentarzem a naszym blokiem jest oświetlona, nie ma tam żadnych zakamarków. Przecież nie mogła tak zniknąć... – powiedział Łukasz Płotka, cały czas trzymając telefon przy uchu.

– Pokłócili się?

– Nie, nic nam o tym nie wiadomo... – oznajmiła Magdalena Płotka. – Zapytałam go, czemu nie odprowadził jej pod klatkę, ale powiedział, że często rozchodzili się w tym miejscu. W jego głosie wyraźnie słyszałam troskę. Też zmartwił się jej zniknięciem.

Błada twarz Magdaleny Płotki świadczyła o tym, że odchodzi od zmysłów. Zmierzwione ciemne włosy sięgające ramion niedbale spięła kilkoma wsuwkami. Roztarte resztki tuszu tworzyły cienie pod oczami.

– Czy ona miała jakieś problemy?

Małżonkowie spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami.

– Raczej nie... Odkąd wróciła z odwyku, wszystko było dobrze... – przyznał po chwili ojciec dozorowanej. – Zachowywała się normalnie, spotykała się ze znajomymi. Nie unikała rozmów z nami. Wcześniej była zamknięta w sobie, niechętnie się nam zwierzała, ale w ostatnich miesiącach wydozrosła, była pogodna, snuła plany na przyszłość. Nie sprawiała żadnych kłopotów.

Magdalena Płotka przytakiwała, zgadzając się z opinią męża.

– Pokonaliście trasę między cmentarzem a blokiem?

– Oczywiście. Przeszliśmy nią ze trzy razy. Nie trafiliśmy na żaden ślad Emilki. Cmentarz też sprawdziliśmy, ale niczego nie znaleźliśmy. Jakby rozplynęła się w powietrzu.

– Czy z jej pokoju coś zniknęło? Ubrania? Jakieś rzeczy osobiste?

– Myśli pani, że mogła uciec? – zapytała Magdalena Płotka. – Spojrzałam tylko pobieżnie na zawartość jej szafy, ale nie zauważyłam, by czegoś brakowało. Miała ze sobą tylko to, co zmieściło się w jej torebce. Czyli telefon, klucze, pieniądze...

– Złożyliście zawiadomienie o zaginięciu?

– Jeszcze nie... mieliśmy czekać... Tylko nie bardzo wiemy, na co...

– Myślę, że już czas oficjalnie zawiadomić policję. Podjedźmy razem na komisariat, dobrze?

– A nie każą nam czekać do jutra?

– Nie. Tak naprawdę zgłoszenie mogą przyjąć od razu.

Małżonkowie narzucili na siebie kurtki i w pośpiechu opuściliśmy mieszkanie. Kwadrans później siedzieliśmy w biurze Darka Żuchowicza – komendanta Komisariatu Policji w Czersku. Wysłuchał relacji rodziców i w zamyśleniu drapał się po brodzie.

– Ogólnie zazwyczaj zawiadomienie o zaginięciu przyjmujemy po dobie, ale tu zrobimy wyjątek.

– Myśli pan, że coś mogło się jej stać? – Magdalena Płotka nie kryła niepokoju. – Ona nigdy nie uciekała z domu. Zawsze wracała na czas. Zawsze nas informowała o tym, że gdzieś zostaje na noc. To do niej niepodobne...

– Zachowywała się ostatnio jakoś inaczej? – dopytywał Darek.

– Nie... Raczej nie. Nie zauważyłam...

– A dragi? Brała teraz?

– Nie, od wielu miesięcy była czysta. Kilka tygodni spędziła w Ośrodku Leczenia Uzależnień w Toruniu. Pojechała tam dobrowolnie i naprawdę chciała przestać brać. Po jej powrocie do domu pani kurator wrywkowo robiła jej testy i zawsze wychodziły negatywnie. Nie widziałam, żeby ćpała...

– Możliwe, że znów zaczęła brać? – Darek zwrócił się z tym pytaniem do mnie.

– Niczego nie mogę wykluczyć, ale naprawdę nic na to nie wskazywało. W szkole zachowywała się dobrze. W domu też nie sprawiała kłopotów. Niedawno znów robiłam jej test i był negatywny. Nie sądzę, by uciekła. Chciała skończyć szkołę. Poza tym miała tu chłopaka. To on widział ją jako ostatni. Odprowadził ją niemal pod dom, a potem rozpląnęła się w powietrzu.

– Nie ma jej w domu ani w szkole, nikt ze znajomych nie wie, gdzie może być. Sprawdziliśmy drogę prowadzącą od Kuby do naszego domu, ale nie trafiliśmy na żaden ślad. Nie wiemy, co mamy robić... Nie wiemy, co mamy myśleć... Proszę nam pomóc...

Magdalena Płotka rozplakała się z bezsilności. Mąż objął ją ramieniem.

– Proszę nam pomóc... – poprosił Łukasz Płotka. – Coś musiało się stać... W przeciwnym razie już dawno byłaby w domu.

– Jak nazywa się chłopak państwa córki?

– Jakub Nadolny.

Darek spojrział na mnie, zmarszczył brwi, zamyślił się i po chwili do gabinetu poprosił jednego z policjantów.

– Przyjmij zawiadomienie o zaginięciu.

– Jasne, szefie – oznajmił młody posterunkowy, a potem poprosił państwa Płotków do pokoju obok.

– Co o tym myślisz? – zapytałam Darka, po tym jak rodzice Emilii opuścili jego biuro.

– Może pokłóciła się z chłopakiem i zanocowała u koleżanki?

– No nie wiem... Nigdy wcześniej nie odstawiła takiego numeru.

– Na razie bym tak nie panikował, ale trzeba to sprawdzić. Kiedy rodzice zgłoszą zaginięcie, można wrzucić post na Facebooka, podzwonić po jej znajomych, przede wszystkim pogadać z jej chłopakiem, i zobaczymy. Może okaże się, że jutro będzie po temacie, bo młoda wróci do domu.

– Mam taką nadzieję – przyznałam.

\*\*\*

Po godzinie państwo Płotka wrócili do domu, a ja pojechałam do liceum w Czersku. Chciałam porozmawiać z wychowawczynią Emilii. Zamierzałam podpytać ją, jak moja dozorowana zachowywała się w ostatnich dniach. Nie sądziłam, by mogło się jej coś stać, raczej obawiałam się, że znów zaczęła ćpać. Może brała coś, co nie wychodziło na testach – mefedron albo jakiś inny dopalacz?

Pewnym krokiem weszłam do ogólniaka. Znałam tu każdy kąt. W końcu pracowałam tu przez pięć lat i nawet się zadomowiłam. Wąskim holem przeszłam do pokoju nauczycielskiego i zapukałam do drzwi. Po chwili stanęła w nich Ewelina Szumowska. Na mój widok uśmiechnęła się serdecznie.

– Gośka! Cześć! Fajnie cię widzieć. – Przytuliła mnie mocno.

Kiedy nieco się ode mnie odsunęła, zmierzyłam ją wzrokiem.

– Ciebie też. Wyglądasz fantastycznie – przyznałam szczerze.

Ewelina była po pięćdziesiątce, ale trzymała się naprawdę świetnie. Praca z młodzieżą jej służyła. Blond włosy spięła w luźny kok, a idealnie dopasowane jeansy i biała koszula podkreślały atuty jej figury. Taki młodzieżowy look bardzo jej pasował.

– Mam okienko. Masz czas na małą kawę? Właśnie robię.

– Z tobą zawsze, tym bardziej że chciałabym pogadać.

Weszłyśmy do sali. Przez miniony rok nic się tutaj nie zmieniło. Stoły poustawiane w długi rząd stały na środku pokoju. Okno na wprost drzwi wychodziło na boisko szkolne i kawałek ogródka. Za gęstymi krzewami rododendronów palący papierosy uczniowie ukrywali się przed czujnym wzrokiem nauczycieli. Kiedyś wielu z przyłapanych na gorącym uczynku lądowało u mnie na dywaniku. Z pewnym rozrzewnieniem wspominałam tamte czasy.

– Jest pani Buława? – zapytałam.

Ewelina sięgnęła po niewielki słoik, wsypała do dwóch kubków po dwie kopiaste łyżeczki kawy rozpuszczalnej i zalała je wrzątkiem. Postawiła parujące filiżanki na stoliku przede mną.

– Siadaj, na stojąco kiepsko się rozmawia – powiedziała. – Widziałam ją dzisiaj, ale nie wiem, czy ma jeszcze lekcje...

Zamyśliła się i podeszła do wielkiej białej tablicy z wydrukowanym arkuszem planu lekcji wszystkich klas. Z uwagą go studiowała. Przejechała palcem wzdłuż jednej z kolumn.

– Przykro mi, wyszła dwie godziny temu.

– Niedobrze...

– Coś się stało?

Ewelina znów siadła naprzeciwko mnie i upiła łyk gorącej kawy.

– Emilia Płotka zniknęła.

– Jak to zniknęła? – zapytała zdziwiona.

– Wczoraj wieczorem po spotkaniu z chłopakiem nie wróciła do domu.

Sądząc po minie Eweliny, domyślałam się, o czym myśli.

– Wiem, nad czym się zastanawiasz. Myślę o tym samym. Najbardziej prawdopodobne jest, że znów zaczęła brać. Jednak nie chce mi się w to wierzyć. Była czysta od kilku miesięcy, ale wiesz... ciągnie wilka do lasu.

Ujęłam w dłonie gorący kubek.

– Wczoraj miałam z nią lekcję... – Zastanowiła się. – Jej zachowanie nie budziło zastrzeżeń. Niczego niepokojącego nie zauważyłam. Odkąd wróciła z odwyku, stała się pogodniejsza, bardziej uczuciowa. Zresztą mam porównanie. Jeszcze dwa lata temu byłam jej wychowawczynią. Pamiętam, jaka wtedy była. Delikatnie mówiąc: niełatwa.

– Krnąbrna, pyskata i trudno było do niej dotrzeć. Miała swoje zdanie i była uparta jak osioł. Do tego kłamała niemal na każdym

kroku. Jednak po tym, jak została w drugiej klasie, trochę się uspokoiła – powiedziałam.

– Jak się później okazało, była to cisza przed burzą – podsumowała Ewelina.

– Wtedy nikt nawet nie podejrzewał, że zacznie ćpać i handlować dragami. Każdy z nas widział w niej zbuntowana nastolatkę. Nikt nie przypuszczał, że jej zachowanie związane jest z narkotykami. Tym bardziej że towarzystwo, w jakim była w szkole, nie miało z tym nic wspólnego. Całe szczęście, że rok temu ją przyłapano, bo ta wpadka ją wyhamowała. Przestraszyła się, że trafi za to za kratki, więc zgodziła się na odwyk. Dlatego zastanawia mnie jej nagłe zniknięcie. Nawet w okresie największego buntu zawsze wracała do domu na noc. Jest silnie związana z rodzicami, miała z nimi naprawdę dobre relacje. Nie wierzę, że świadomie chciałyby sprawić im przykrość. Nigdy wcześniej się tak nie zachowała.

– Dziwne, ale może rozwiązanie jest prostsze, niż nam się wydaje.

– Może... Już sama nie wiem, co mam myśleć. Z jednej strony nie chcę panikować, bo być może faktycznie gdzieś zabalowała, ale jeśli coś jej się stało, czas gra na jej niekorzyść. Rodzice Emilii też są zdezorientowani. Zgłosili jej zaginięcie, ale nie oszukujmy się, to nie jest dziecko, które ktoś porwał z ulicy, to nastolatka z kryminalną przeszłością. Raczej nie będzie priorytetem.

– Mogłabyś zerknąć w e-dziennik? Może ostatnio częściej wagarowała?

– Jasne. Poczekaj chwilę.

Ewelina zabrała kawę i podeszła do komputera stojącego w kącie pod oknem. Wpisała swój login i hasło, po czym weszła na profil Emilii.

– Zobacz sama. Ogólnie nie opuszczała zajęć. Zdarzyło się jej kilka nieobecności, ale to pojedyncze godziny. Oceny też miała bez



zarzutu.

Stałam za jej plecami i przyglądałam się wynikom Emilii. W większości miała dobre stopnie. Gdzieniedzie rzuciła mi się w oczy pojedyncza dwójka czy trójka.

– A może chciałabyś pogadać z jej klasą? – zaproponowała Ewelina, odstawiając pusty kubek na biurko.

– Sama nie wiem...

Zastanawiałam się, czy aby nie wychodzę przed szereg. Jednak uznałam, że kilka zdań zamienionych z jej kolegami może dać odpowiedź na to, gdzie jest Emilia. Mogła zostać u któregoś z nich na noc. Przecież na razie nikt nie wiedział, że zaginęła. Sprawa jeszcze nie została nagłośniona. Dlatego uznałam, że nie mam nic do stracenia.

– Mogłabyś sprawdzić, czy są jeszcze w szkole?

– Zaraz zobaczę na planie.

W tym momencie zadzwonił mój telefon.

– Poczekaj, dzwoni Magdalena Płotka. Może zguba się znalazła.

Dotknęłam zielonej słuchawki na wyświetlaczu i przyłożyłam komórkę do ucha.

– Znalazła się? – zapytałam.

– Niestety. Nadal nie mamy z nią kontaktu. Zaczynam odchodzić od zmysłów. Ona nigdy wcześniej się tak nie zachowała. Pani Małgosiu, ta beczynność nas wykończy. Przeszliśmy alejami cmentarza, ponownie pokonaliśmy trasę od nas do Jakuba i na nic nie trafiliśmy...

W słuchawce usłyszałam, jak pani Płotka wydmuchuje nos.

– Co jeszcze możemy zrobić?

– Podajcie informację o zaginięciu Emilii w mediach społecznościowych: na Facebooku i Instagramie. Poproście rodzinę i przyjaciół o udostępnienie informacji. Im zatoczy szersze kręgi, tym większe szanse na jej odnalezienie, ustalenie, gdzie jest.

– Jest pani jeszcze w Czersku?

– Tak, jestem w liceum.

– Dowiedziała się pani czegoś?

Nadzieja, z jaką o to pytała, była wręcz namacalna.

– Na razie rozmawiałam tylko z panią Szumowską. Powiedziała, że w zachowaniu Emilii nie było niczego niepokojącego. Jeśli nie mieliby państwo nic przeciwko, chciałabym porozmawiać z jej kolegami z klasy.

– Nie, oczywiście, że nie. Pani na pewno powiedzą więcej niż nam. Jak cokolwiek pani ustalili, proszę o telefon.

– Z kim z klasy się przyjaźniła?

– Z Moniką Kubiszewską i Igorem Perszewskim. Od dwóch lat byli niemal nierozłączni.

– Spróbuję od nich czegoś się dowiedzieć. Zadzwonię, jak tylko stąd wyjdę, dobrze?

– Będziemy czekać.

Ewelina patrzyła na mnie wyczekująco.

– Co mówili? – zapytała.

– Tylko tyle, że nadal nie mają z nią kontaktu i nie wiadomo, gdzie może być.

Była wychowawczyni mojej dozorowanej wstała i sprawdziła na tablicy zawieszanej na ścianie plan lekcji czwartej a.

– Jeżeli chcesz pogadać z jej klasą, to musimy się zbierać. Za chwilę kończą fizykę w dwadzieścia osiem.

Włożyliśmy puste kubki do zmywarki i wyszliśmy z pokoju nauczycielskiego, zatraskując za sobą drzwi. Ruszyliśmy szerokimi drewnianymi schodami na górę. Cicho trzeszczały pod naszymi stopami. Spojrzałam w okno na półpiętrze. Na tle jasnego nieba widziałam unoszące się w powietrzu połyskujące drobiny kurzu. Przez chwilę miałam wrażenie, jakbym cofnęła się w czasie...

Ewelina zapukała do drzwi sali mieszczącej się na drugim piętrze, tuż przy wejściu na niewielki strych, po czym nie czekając

na zaproszenie, weszliśmy do środka. Zygmąński, nauczyciel fizyki, spojrzął na nas skonsternowany, kiedy do niego podeszliśmy. Stanęliśmy twarzami do uczniów. Najwidoczniej przerwałyśmy odpytywanie, bo stojący przy ławce Igor spojrzął na nas z wyraźną ulgą.

– Zajmiemy tylko chwilę – powiedziała Ewelina, przejmując inicjatywę.

Zygmąński dał znak Igorowi Perszewskiemu, by zajął swoje miejsce.

– Mamy z panią Gosią do was pytanie – zwróciła się do uczniów. – Czy ktokolwiek z was miał dziś kontakt z Emilią?

Uczniowie odpowiedzieli niemal chórem.

– Nie.

– Czy coś się stało? – zapytała Monika Kubiszewska, najlepsza przyjaciółka Emilii.

– Mamy nadzieję, że nie. Jednak nie wiemy, co się z nią stało. Nie wróciła na noc do domu i nie przyszła dzisiaj do szkoły. Trochę się o nią martwimy... – powiedziałam.

– Rano do niej dzwoniłam, ale jej telefon był wyłączony. Myślałam, że zasnęła albo postanowiła sobie zrobić wagary.

– Kiedy widziałyście się ostatni raz?

– Wczoraj w szkole. Wieczorem miała się spotkać z Kubą, swoim chłopakiem.

Przyjrzałam się twarzom siedzących naprzeciwko mnie nastolatków. Byli nieco zdziwieni, ale na pewno nie zmartwieni. W końcu oni też znali Emilię z jej wcześniejszych wybryków.

– Jeśli się czegoś dowiedziecie, powiadomcie mnie, rodziców Emilii albo policję, dobrze?

– Jasne, pani Małgosiu – powiedziała Monika. – Podzwonię po naszych znajomych. Jak coś ustalę, napiszę do pani.

– Świetnie.

Zapisałam zielonym mazakiem na białej tablicy swój numer telefonu. Na razie nic więcej nie mogłam zrobić. Może faktycznie Emila gdzieś zabalowała... Zapiła i jeszcze dziś wróci do domu... Może niepotrzebnie tak panikowałam. W końcu nic takiego się nie stało, nic nie świadczyło o tym, by mogła stać jej się krzywda. Jak każda nastolatka mogła zachować się kompletnie nieodpowiedzialnie... ale to mi do niej nie pasowało. Miałam nadzieję, że w ciągu kilku godzin sytuacja się wyjaśni. Teraz wszystko zależało od ustaleń policji.

Choć dzisiejszy dzień już mnie wyczerpał, miałam jeszcze jedno zadanie do wykonania. Musiałam odwiedzić Patrycję Czajkowską. Dziewczyny z CUS-u<sup>13</sup> w Czersku tydzień temu powiadomiły mnie, że kobieta urodziła. Chciałam sprawdzić, jak sobie radzi.

Podjechałam na Partyzantów i wdrapałam się na drugie piętro. By nie obudzić dziecka, nie użyłam dzwonka, tylko zapukałam do drzwi. Po chwili ukazała się w nich głowa mojej dozorowanej.

– Wejdzie pani... – rzuciła i uciekła do kuchni.

Weszłam do korytarza, zamknęłam za sobą drzwi i podążyłam za nią. Stałam w futrynie ciasnej kuchni i obserwowałam, co robi. W pośpiechu przygotowywała mleko dla dziecka. Maluch leżał w wózku przy oknie. Miał rumiane policzki i rzadkie, nastroszone, ciemne włosy. Smacznie spał z rączkami podniesionymi do góry.

Na kuchennym blacie stały dwie czyste butelki do karmienia, mleko modyfikowane i smoczek.

– Kiedy maluszek się urodził? – zapytałam, zaglądając do wózka.

– Dwa tygodnie temu. Trochę przed terminem, ale zdrowy jak rydz. Dwa dni na oddziale i do domu. Nawet mnie nie nacinali.

Wlała ciepłą wodę z czajnika do butelki, dołąła zimnej z dzbanka, wsypała kilka miarek mleka, zakręciła butelkę i mocno nią potrząsnęła.

– Jak ma na imię?

– Wiktor. Jak ten lekarz z serialu *Na sygnale*. Ogląda pani?

– Nie. Jakoś się nie złożyło...

– Musi pani zacząć. Ten Wiktor to zajebisty przystojniak – stwierdziła rozemocjonowana.

– Nie karmi pani piersią?

– Pokarmu miałam za mało. Położna naciskała, bym próbowała, ale nie będę się zmuszać. Co będę męczyć dzieciaka i siebie. Butelką to jest nawet wygodniej. No i najada się tak, że w nocy śpi jak zabity.

– Przesypia całe noce? – zapytałam zdziwiona.

– Jak zaśnie o północy, to śpi do siódmej. Dbą, by mamusia była wyspana – zaśmiała się i spięła blond włosy w niedbały kucyk. Obcisły top nieco się uniósł, a kiedy podnosiła rękę, odsłonił pokryty rozstępami brzuch.

Zawsze zastanawiała mnie pewna reguła: dzieci naszych podopiecznych przesypiały całe noce, za to dzieci moich znajomych darły się nocami wniebogłose, stawiając wszystkich domowników na nogi. Choć to była niepodparta żadnymi badaniami teoria, zastanawiałam się czasem, czy nasi podopieczni nie dodawali dzieciom czegoś na spanie albo czy ich nie „tresowali” – ignorując płacz dziecka tak długo, aż nauczyło się, że to nic nie daje. A kiedy płacz nie przywoływał opiekunów, przestawały zabiegać o uwagę.

Czajkowska podeszła do wózka, wyjęła z niego synka, siadła na krześle i zaczęła go karmić. Malec jadł łapczywie, mocno zasysając smoczek. Mleko wąską strzyką wyciekło mu na brodę. Patrycja sięgnęła po tetrową pieluchę leżącą na stole i podłożyła ją pod butelkę.

– Jak pani sobie radzi?

– Nie jest źle. Babka z CUS-u pomogła mi ogarnąć wnioski o pomoc. Poza tym mam dostać jakieś zasiłki dla samotnej matki

i jeszcze jakieś inne. Nie bardzo pamiętam, ale niech się pani nie martwi. Jak będę miała problem z ogarnięciem sprawy, to zgłoszę się do pani albo do tej kobitki, co tu była ostatnio. Mówiła, że jeszcze tu przyjdzie w przyszłym tygodniu.

Odstawiła butelkę na stolik, położyła pieluchę na ramieniu i ułożyła dziecko w pozycji pionowej, tak by mogło mu się odbić. Delikatnie poklepywała je po pupie.

– Ktoś czasem panią odwiedza?

– Nie licząc urzędników, nie mam zbyt wielu gości. Całymi dniami zajmuję się Wiktozem, ale czasem ktoś tu wpadnie przypilnować małego, bym chociaż zakupy mogła zrobić.

– No dobrze, w takim razie nic tu po mnie...

Przed wyjściem dyskretnie rzuciłam okiem na resztę pomieszczeń. Wszędzie czysto. Poza tym miała wszystkie akcesoria potrzebne dla dziecka, pachnące jeszcze nowością. Nie było się do czego przyczepić, co mnie nawet zdziwiło. Ze wstydem przed samą sobą przyznałam, że źle oceniłam tę dziewczynę. Spodziewałam się zupełnie innej postawy, a ku mojemu zdumieniu okazała się naprawdę odpowiedzialną matką.

\*\*\*

Po pracy wskoczyłam do rodziców i zjadłam z nimi szybką kolację. Od czterdziestu lat mieszkają przy ulicy Strzeleckiej, tuż przy granicy Lasku Miejskiego, w odziedziczonym po babci domu. Jego odnowienie pochłonęło masę czasu i pieniędzy, ale było warto. Dom wygląda jak niewielki dworek. Prowadzi do niego oświetlona dróżka otoczona różanymi krzewami, o które dbała Maria Drobińska. Tata również stał się zapalonym ogrodnikiem. Odkąd przeszedł na emeryturę, dogląda idealnie wystrzyżonego trawnika, pielęgniarki warzywniak i dba o dobrą kondycję drzewek owocowych posadzonych na tyłach ogrodu.

Mama jest cudowną gospodynią i przyzwyczała mojego tatę do codziennych domowych obiadów, w niedzielę składających się z dwóch dań i deseru. Zawsze zastanawiałam się, kiedy na to wszystko ma czas. Ja z trudem znajduję go na cokolwiek poza pracą. Gotowanie nie jest moją pasją. Jest koniecznością, dlatego zawsze cieszę się z przygotowanych przez mamę pakowanych na wynos gotowców, wymagających jedynie odgrzania.

Z czułością obserwowałam, jak dzisiaj krząta się po kuchni, pakując do plastikowego pojemnika sałatkę jarzynową. Spojrzała na mnie bystrymi niebieskimi oczami.

– Tyle ci wystarczy? – zapytała, upychając do pudełka kolejną łyżkę sałatki.

– Tak. Starczyłoby dla wojska – powiedziałam rozbawiona. – Mamuś, kto to wszystko zje?

– Już ja cię znam. Nic o sobie nie dbasz – powiedziała z lekkim wyrzutem. – Musisz więcej jeść. Czy mi się wydaje, czy ostatnio schudłaś?

– Wydaje ci się... – odparłam, zerkając dyskretnie w swoje odbicie w szklanych drzwiach lodówki.

– Chyba nie. Jesz regularnie? Dziecko, musisz o siebie bardziej dbać. Praca to nie wszystko. Trzeba jeszcze żyć.

Mama podeszła do lodówki i wyciągnęła z niej trzy niewielkie słoiki. Odstawiła je na kuchenny blat, po czym wyszła do spiżarki i wróciła z bawełnianą zakupową torbą.

– Tutaj masz cztery zrazy, tu dwa słoiki leczo. Wczoraj robiłam. – Mówiąc to, wkładała słoiki do torby.

– Mamuś, co ja bym bez ciebie zrobiła – powiedziałam, podchodząc do niej.

Przytuliła mnie i pocałowała w policzek.

– Z głodu byś umarła.

W duchu przyznałam jej rację.

– Jak wyjdiesz za mąż, będziesz musiała zacząć gotować.

– No chyba że znajdę męża, który będzie w tym ode mnie lepszy.

Mama spojrzała na mnie z powątpiewaniem. Wychowała się w czasach dominacji patriarchy, więc dla niej moje dywagacje były co najmniej dziwne. Dla własnego dobra postanowiłam nie ciągnąć tematu.

W tylnej kieszeni jeansów poczułam wibrowanie. Sięgnęłam po telefon i zerknęłam na wyświetlacz. Dostałam wiadomość od Moniki Kubiszewskiej: „Pani Gosiu, niestety niczego się nie dowiedziałam. Telefon Emilii cały czas jest wyłączony. Nie odczytuje wiadomości ani na WhatsAppie, ani Messengerze. Kuba widział się z nią ostatni. Odprowadził ją do domu koło dwudziestej trzeciej. Jak Emi się do mnie odezwie, dam Pani znać. Monika”. Zapisałam jej numer i odpisałam: „Wielkie dzięki, będziemy w kontakcie”.

\*\*\*

Przez kolejną dobę nic się nie zmieniło. Emilia nadal się nie odnalazła. Zaproponowałam jej rodzicom wydrukowanie ulotek i rozwieszenie ich w okolicy. Nie ograniczyli się do samego Czerska. Objechali też kilka okolicznych wiosek: Złe Mięso, Malachin, Będźmierowice i Złotowo. Pan Płotka dodał na Facebooku post z prośbą o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu córki, dokładnie podał jej rysopis i dołączył zdjęcie z jej ostatniego weekendu. Ze zdjęcia patrzyła na mnie uśmiechnięta nastolatka. Miała zadziorny błysk w oku i słodkie dołeczki w policzkach. Brązowe włosy splotła w dwa grube warkoczki opadające miękko na ramiona. Pewna siebie patrzyła błękitnymi oczami wprost w obiektyw. Odnosiłam wrażenie, że wodzi za mną wzrokiem. Mocny makijaż zdradzał jej zainteresowania, w latach dziewięćdziesiątych byłaby uznana za „metalowca”, dziś za „emo”.



Udostępniłam post pana Płotki, wrzucając go na stories. Teraz, kiedy Emilia przez dwa dni nie odezwała się do rodziców, naprawdę zaczęłam się o nią martwić.

Siedząca ze mną na dyżurze Malwina miała nietęgą minę. Była skupiona na czytaniu opasłych, trzytomowych akt i w zamyśleniu obgryzała długopis.

– Znalazła się ta twoja nielata? – zapytałam.

– Jeszcze nie. A twoja?

– Też nie.

– Zaczynam się zastanawiać, czy grasuje na naszym terenie jakiś seryjny porywacz albo, co gorsza, morderca – powiedziała całkiem poważnie.

– Ostatnim z naszej okolicy był Pękalski<sup>14</sup>. Minęło już jakieś trzydzieści lat, odkąd go zamknęli. Podobno nadal siedzi w ośrodku w Gostyninie.

– Nie masz pewności, czy nie przenieśli go do Czerska...

– Nawet jeśli, to jakie to ma znaczenie? Przecież gdyby nawiał, dawno wszczęto by alarm – stwierdziłam. – Zresztą nie sądzę, by umieścili go tutaj...

– No może masz rację – przyznała niechętnie Malwina. – Wracając do tematu Oliwii, to nie za bardzo przejęłam się jej zniknięciem. Uważałam, że związała z domu, by uniknąć konsekwencji. Policja zaliczyła ją do osób zaginionych drugiej kategorii. W końcu to recydywistka w tej dziedzinie. Uciekała już tyle razy, że na większości nie zrobiło to wrażenia. Jednak kiedy zaginęła też twoja podopieczna, zaczęłam się zastanawiać, czy te sprawy nie są ze sobą jakoś powiązane. Bo czy to może być przypadek?

Zastanowiłam się nad tym, co powiedziała, i musiałam przyznać jej rację.

– Obie zaginęły w krótkim odstępie czasu. Jednak Emilia, w przeciwieństwie do Oliwii, nigdy nie uciekała z domu. Nawet

wtedy, kiedy ćpała.

– Obie zniknęły nagle. Oliwia nie doszła do szkoły, a Emilia rozpląnęła się w powietrzu niemal pod domem. Mojej nielaty nie ma już dwa tygodnie, a ona nigdy nie przepadała na tak długo.

– Raczej nie podejrzewam, by uciekły razem. Niewiele je łączyło. Jedyne to, że obie są z Czerska i sięgały po dragi... – powiedziałam i wzięłam łyk zimnej kawy.

– Dodałabym jeszcze, że obie są ładne i zgrabne. Mogły paść ofiarą jakiegoś zboka. Ludzie w Czersku boją się o swoje dzieciaki i profilaktycznie pilnują jak oka w głowie.

– Trochę im się nie dziwię... Tym bardziej że nigdy wcześniej nie dochodziło tam do takich zdarzeń.

Sięgnęłam po leżącą na biurku komórkę i weszłam na profil Emilii na Facebooku. Powoli przeglądałam zamieszczone przez nią zdjęcia. Moją uwagę przykuło to dodane kilka miesięcy temu. Jeszcze przed pobytem w ośrodku odwykowym wrzuciła zdjęcie z wycieczki szkolnej do Warszawy. Leżąc na brzuchu z energetyką w ręku, na kanapie w pokoju hotelowym, patrzyła w obiektyw, wytykając język. Pochylona przed aparatem w obcisłej, mocno wyciętej czarnej bluzce na ramiączkach prowokująco odsłaniała dekolt. Zebrała pod zdjęciem dwieście osiemdziesiąt siedem lajków. Wśród osiemdziesięciu trzech komentarzy wyczytałam: „Niezła z Ciebie suczka XD”, „Chciałbym być tą kanapą”. Pojawiło się też mnóstwo serduszek i emotikonów. Większość wpisów pochodziła od uczniów czerskiego LO.

Podjechałam wyżej. Pod zdjęciami zamieszczonymi w tygodniu poprzedzającym jej zaginięcie wielu znajomych zamieściło nowe komentarze: „Emilia, odezwij się”, „Mila, czekamy na Ciebie...”, „Emila, martwimy się o Ciebie !!!”, „Odezwij się... Mam nadzieję, że z Tobą okej” – napisała Monika, przyjaciółka Emilii.

Przeszłam na konto jej ojca. Zamieścił tylko jedno zdjęcie, które ustawił jako profilowe. Był przystojnym mężczyzną po

czterdzieście, z krótko ostrzyżonymi szpakowatymi włosami. Niewielkie zmarszczki wokół zielonych oczu jedynie dodawały mu uroku. Rzadko wstawiał posty, nie obnosił się ze swoją prywatnością. Ostatni post dotyczący poszukiwań Emilii został udostępniony prawie tysiąc razy. Mimo to nadal nieznane były losy jego córki.

# Patron

Patron: Mogę Ci zadać niedyskretne pytanie?

Niezapominajka03: Jasne, najwyżej nie odpowiem ;P

Patron: Ilu miałaś partnerów?

Niezapominajka03: Chodzi Ci o to, z iloma facetami spałam?

Patron: Tak. Jeśli Cię uraziłem, przepraszam... Jak nie chcesz, nie odpowiadaj...

Niezapominajka03: Spoko, nie mam z tym problemu. Trzech.

Patron: Byli w Twoim wieku czy trochę starsi?

Niezapominajka03: Niewiele starsi.

Patron: Lubiałaś, jak Cię dotykali? Sex sprawiał Ci przyjemność?

Niezapominajka03: Raczej tak...

Patron: Jeśli tylko dasz mi szansę, przy mnie będziesz jęczeć z rozkoszy. Nie będziesz chciała, bym przestawał... Będę w Tobie rytmicznie się poruszać tak długo, aż stracisz oddech, a potem będziesz mnie błagać o więcej... Już czuję, że na samą myśl o tym robisz się wilgotna...

# Robert

W pracy podejmuję decyzje szybko i instynktownie. Nie muszę się zastanawiać nad każdym krokiem. Za to w życiu osobistym rozważam każdy ruch, a i tak nie jestem w stanie wszystkiego przewidzieć. Rozwód, choć w dzisiejszych czasach nie jest niczym nadzwyczajnym, pojmowałem w charakterze porażki. Zaczynałem od początku. Niemal totalnie od zera. Wróciłem w swoje rodzinne strony, chcąc odciąć się od przeszłości. W Bytowie nic mnie nie trzymało. Z Hanią rozstaliśmy się dwa lata przed rozwodem. Ale do samej rozprawy liczyłem na to, że jednak będzie chciała do mnie wrócić. Początkowo wręcz skomlałem o jej powrót. Była miłością mojego życia, sensem istnienia. Ja jej też... Do czasu, kiedy okazało się, że nie mogę mieć dzieci... Staraliśmy się o nie przez cztery lata. Początkowo, kiedy nie wychodziło, nie zrażaliśmy się, nawet z tego żartowaliśmy, ale z czasem starania o dziecko zaczęły przypominać udział w maratonie. Długim, męczącym i frustrującym. Zgłosiliśmy się do kliniki leczenia niepłodności, ale wyniki badań były dla mnie miazdzące. Hania początkowo starała się mnie pocieszać, ale widziałem, że się ode mnie oddala. Frustracja zamieniła się w niechęć. Nie umieliśmy sobie z tym poradzić...

Jeszcze przed rozwodem sprzedaliśmy niewielki dom i każde z nas poszło w swoją stronę. Nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktu, ale czasem zaglądałem na jej profil na Facebooku. To było jak uzależnienie. Z zamieszczonego wczoraj zdjęcia

spoglądała na mnie uśmiechnięta pulchna blondynka w niebieskiej koszuli nocnej i zielonym frotowym szlafroku. Rękami otulała śpiące w jej ramionach niemowlę. Pod powiekami poczułem pieczenie, w piersi ukłucie zazdrości. Spełniło się jej marzenie... ale nie ze mną... Musiałem się z tym pogodzić. Choć chciałem iść naprzód, cały czas stałem w miejscu.

Pół roku temu kupiłem niewielkie, dwupokojowe mieszkanie na osiedlu 700-lecia w Chojnicach, sam je wyremontowałem. Po kilku latach małżeństwa dorobiłem się czterdziestoosmiometrowego mieszkania obciążonego dwudziestoletnim kredytem i siedmioletniej skody octavii.

Odłożyłem telefon, przetarłem rękami twarz i starałem się skupić na tym, co tu i teraz. Wsiadłem z auta zaparkowanego na policyjnym parkingu i wszedłem na komendę. W niewielkiej szatni przebrałem się w granatowy mundur. Wziąłem głęboki oddech i starałem się odsunąć natrętne myśli. Pewnym krokiem przemierzałem korytarzem na drugi koniec budynku.

Zapukałem do drzwi szefa Komendy Powiatowej Policji w Chojnicach. Kiedy po chwili usłyszałem „proszę”, wszedłem do jego gabinetu. Za biurkiem siedział barczysty facet w średnim wieku. Miał czterdzieści pięć lat i mimo że pięć lat temu mógł przejść na emeryturę, wcale się na nią nie wybierał. Lubił poczucie władzy, które napawało go dumą. Wśród podwładnych cieszył się szacunkiem, ale nie było tajemnicą, że nie wylewał za kołnierz. Sześć lat temu żona porzuciła go dla przedstawiciela handlowego firmy farmaceutycznej. A po rozstaniu z mężem regularnie wrzucała na Facebooka zdjęcia z wycieczek zagranicznych, chwalać się cudownym i zaradnym małżonkiem numer dwa. Ewidentnie dając do zrozumienia Adamowskiemu, że w jej oczach jest nieudacznikiem, który nie licząc domu z kredytem i wrzodów na żołądku, niczego się nie dorobił. Komendant miał świadomość,

że z tego powodu jest obiektem kpin i żartów całej jednostki, ale nie miał na to żadnego wpływu.

Kiedy wszedłem do biura szefa, ten w skupieniu przeglądał jakieś papiery.

– Co byś chciał, Grubicki?

Spojrzał na mnie wyczekująco. Zniecierpliwiony brakiem odpowiedzi zaczął nerwowo pstrykać długopisem.

– Chcesz mnie prosić o rękę czy co? Wysłów się w końcu, bo nie mam całego dnia.

– Komendancie, chciałbym prosić o przeniesienie do wydziału kryminalnego.

Marcin Adamowski westchnął, uniósł brwi i zapytał z sarkazmem:

– I co jeszcze?

– Tylko tyle, panie komendancie.

Komendant westchnął poirytowany.

– Złóż wniosek i zobaczymy, co da się zrobić. Ale nie obiecuj sobie zbyt wiele. Nie ma ludzi do pracy, a prewencja leży jak przechodzona kurwa. Łatamy dziury na wszelkie sposoby, a i tak jesteśmy w czarnej dupie. Dlatego, Grubicki, nie napalaj się na przeniesienie, bo szanse są marniutkie. Prędszej świerzb w terenie złapiesz, niż cię przeniosą, ale wiesz, jak to mówią: nadzieja umiera ostatnia.

Skierował wzrok na dokumenty. Nie ruszyłem się z miejsca, dlatego znów spojrzał na mnie, mocno już zniecierpliwiony.

– Coś jeszcze, aspirancie?

– Wniosek mam przy sobie. Mogę złożyć go już dzisiaj.

– Połóż na biurku i możesz się odmeldować.

Zrobiłem, o co prosił, po czym cofnąłem się do drzwi.

– Dzięki, szefie – rzuciłem na odchodnym.

Adamowski na pożegnanie od niechcienia machnął w moją stronę ręką i skupił się na przeglądaniu akt. Nie chciałem go

drażnić, więc zszedłem mu z oczu i zabrałem się za zaległą papierkową robotę.

Po napisaniu kilku krótkich notatek wraz z Wroną mieliśmy udać się do Czerska. Wsiadliśmy do radiowozu i przejechaliśmy Warszawską w kierunku niewielkiego ronda łączącego Dworcową, Warszawską i Świętopełka. Na środku skrzyżowania stał wysoki brunet w rozciągniętym dresie i machając rękami, nieudolnie próbował kierować ruchem. Miał tępy wzrok i niezborne ruchy.

– Poznajesz go? – zapytałem Macieja, włączając koguty.

– Toć to nasz stary znajomy z Piłsudskiego, ten niedoszły samobójca. Dziś przynajmniej nie jest unurzany krwią. Weź, zgarnij go z ulicy, nim go ktoś potrąci, a ja zamelduję dyżurnemu, że odstawimy Karola Brodę do domu, nim chłopina zrobi sobie krzywdę.

Wyszedłem z radiowozu i skierowałem się do Brody. Rondo było już całkiem zablokowane przez tłoczące się samochody. Kierowcy obawiali się ruszyć, by przypadkiem nie potrącić zbłąkanego przechodnia.

– Panie Karolu – powiedziałem, zbliżając się ku niemu, jednak wcale nie zareagował. – Panie Karolu – powiedziałem ponownie, stając naprzeciwko niego.

Spojrzał na mnie, ale odniosłem wrażenie, że mnie nie rozpoznał. Patrzył na mnie tępym wzrokiem.

– Poznaje mnie pan? – zapytałem, łapiąc go za przedramię i prowadząc w kierunku chodnika.

Nie odpowiedział, jedynie przecząco pokręcił głową.

– Dobrze się pan czuje?

– Taaak – odpowiedział przeciągle. – Chcę do domuuu... Do domu... Zabierz mnie do dooomu...

Podprowadziłem go do radiowozu i pomogłem usiąść na tylnym siedzeniu. Osłoniłem jego głowę dłonią i zatrzasnąłem drzwi. Nim siadłem za kółkiem, samochody zaczęły opuszczać



skrzyżowanie. Zjechaliśmy drugim zjazdem i po kilkuset metrach zaparkowaliśmy przy kamienicy, w której mieszkał Karol Broda. Podprowadziliśmy go do mieszkania na drugim piętrze i zapukaliśmy do drzwi, które po chwili otworzyły się na oścież.

– O Jezu! Jakie to szczęście, że się znalazł! – powiedziała zatroskana matka Karola Brody, przepuszczając nas w drzwiach. – Gdzie go, panowie, znaleźliście?

– Na rondzie przy Polo Markecie. Próbował kierować ruchem – powiedział Maciej. – Może trzeba do niego wezwać karetkę? – zapytał. – Syn dzisiaj trochę niewyraźnie wygląda.

Karol Broda, powoli powłócząc nogami, przeszedł do swojego pokoju. Sylwetkę miał lekko pochyloną, głowę zwieszoną i jakby od niechcenia poruszał się naprzód.

– No jest taki, odkąd wrócił ze szpitala. Nafaszerowali go jakimiś lekami. No jest spokojny, nie powiem... ale jakby go nie było... Nie pogada, nie pomoże w domu... Co tu dużo gadać, jest otepiały. Bardzo dużo śpi. Lekarz mówił, że musi się przyzwycząić do nowych leków. Jak mu się nie poprawi, podejźmy gdzieś tutaj do psychiatry, bo na dłuższą metę to to nie jest życie... Ogólnie od czasu powrotu z psychiatryka wychodził co najwyżej przed dom. Stał chwilę i wracał. Patrzałam zawsze na niego z okna. A dzisiaj nie wiem, co mu do głowy strzeliło, że wypuścił się gdzieś dalej...

\*\*\*

Pół godziny później jechałem z Maciejem do Czerska. Znów zostaliśmy oddelegowani do pracy na tamtym rejonie. Cały czas brakowało tam ludzi, a roboty było aż nadto. Droga krajowa numer dwadzieścia dwa nazywana potocznie „berlinką” wymagała gruntownego remontu. Samochód podskakiwał rytmicznie na betonowych płytach zalanych asfaltem. Kiedyś

przemierzało się tę drogę w otoczeniu gęstego lasu. W dwa tysiące siedemnastym roku przeszła tędy nawałnica, która w ciągu zaledwie paru godzin zamieniła w pustynię kilkanaście tysięcy hektarów lasów i zabiła pięć osób. Tereny, do niedawna gęsto zalesione, wyglądały jak cementarzyska z wystającymi kikutami połamanych pni wysokich sosen, wśród których wyróżniały się pojedyncze ocalałe, ogołoczone z gałęzi drzewa. Po sześciu latach przywykłem do nowego krajobrazu, ale kiedy pierwszy raz zobaczyłem szkody wyrządzone przez wiatr, przeżyłem szok. Nie mogłem uwierzyć, że w kilka chwil wiatr zmiotł las, łamiąc drzewa jak zapalki.

Zameldowaliśmy się u komendanta komisariatu w Czersku.

– Chłopaki, dobrze, że już jesteście. – Darek Żuchowicz powitał nas bez zbędnych wstępów. – Właśnie dostaliśmy zgłoszenie o jakimś facecie, który onanizuje się w drzwiach kamienicy przy Starogardzkiej dwadzieścia osiem. Widziała to jakaś małolata. Pojedziecie to sprawdzić.

– Wiadomo coś więcej? – zapytał Wrona.

– Matka dziewczynki ma tu z nią za chwilę przyjechać. Zwijajcie się, może ten zbok jeszcze tam jest. A jak wróćcie, zbierzecie zeznania od dziecka. Mam tu w chuj innej roboty, a brak mi ludzi do pracy. To, co się tu odpierdala od czasu otwarcia tego nieszczęsnego ośrodka, przechodzi wszelkie pojęcie! Ludziom rozum odebrało!

Żuchowicz nie był dziś w humorze.

– Mam problem z dwiema zaginionymi i tym pieprzonym „ośrodkiem dla bestii”. Jeszcze onanisty mi tu brakowało! Na co tu jeszcze czekacie?! – zapytał podniesionym głosem. – Ruszajcie do roboty!

Pierwszy raz widziałem go tak wkurzonego. Nie chcąc się narażać, rzuciliśmy chórem:

– Tak jest!

I szybkim marszem wyszliśmy z komisariatu. Siadłem za kółkiem kii ceed i odpaliłem auto. Nie włączałem kogutów, nie chcąc robić hałasu, by nie spłoszyć zwyrrodnialca.

– Wesoło tu jak cholera – powiedział Maciej, zapinając pas. – Żuchowicz to dobry glina, ale jak się wkurwi, lepiej zejść mu z drogi. To stary kaszub.

– Może tej małej coś się przywidziało...

– Może... W każdym razie nawet jeśli nie, to nie sądzę, byśmy tego zbrojczycę jeszcze tam zastali. Zapewne pokazał ptaszka i zwiął.

Zaparkowaliśmy przed starą kamienicą z czerwonej cegły. Podwójne drzwi wejściowe były otwarte na oścież, ale na klatce schodowej było pusto. Po ekshibicjoniście nie było śladu. Pod schodami znajdowało się wejście do piwnicy. Nacisnąłem na mosiężną klamkę. Ugięła się pod ciężarem ręki, ale drzwi nawet nie drgnęły. Była zamknięta na klucz. Tam raczej się nie schował. Najpewniej po prostu wyszedł z budynku tuż po tym, jak pokazał się dziecku. W okolicy nie było kamer monitoringu, więc jeśli nie uda się trafić na świadków, raczej trudno będzie ustalić dane faceta.

Podeszliśmy do mieszkania na parterze. Nadusiłem dzwonek przy drzwiach wyglądających jak z dykty. Słyszałem każdy szmer dochodzący z mieszkania. Ktoś, szurając po podłodze kapciami, powoli zbliżał się do drzwi, spojrział przez wizjer i dopiero wtedy je otworzył. W futrynie ukazała się pomarszczona twarz zmęczonego starca.

– Aspirant sztabowy Robert Grubicki. Czy widział pan przed chwilą jakiegoś mężczyznę na klatce schodowej? – zapytałem mężczyznę koło osiemdziesiątki.

– Nie, a bo co? – skrzywił się.

– Odebraliśmy zgłoszenie o mężczyźnie, który miał się tu obnażać, jakieś dwadzieścia minut temu. Widziano go na klatce

tuż przy wejściu do budynku.

– Ja na pewno nie chodziłem na golasa! – obruszył się, odwrócił i krzyknął w głąb mieszkania: – Jadźka!

– Co?! – Usłyszeliśmy zachrypnięty kobiecy głos.

– Widziałas kogoś obcego, co by się kręcił dzisiaj po naszej kamienicy?

– Nie, ale ja z chałupy dziś nie wychodziłam.

– Kto tu jeszcze mieszka? – zapytałem.

– Naprzeciwko nas nastolatek z matką, Kozłowska ona z domu. Po mężu to nawet nie wiem. Ona po rozwodzie, sama tu z synem mieszka. Tera to jej raczej nie zastanieta, bo w pracy jest. W szkole podstawowej polskiego uczy. Porządna kobita. Jej syn to do liceum chodzi, zawsze „dzień dobry” powie. Matka dobrze go wychowała. A u góry to dwa małżeństwa z małymi dziećmi, Łangowscy i Ossowscy. Chłopy to tera w pracy na pewno, ale żony w domu.

– Spokojnie tu? – wtrącił się Maciej.

– Jo<sup>15</sup>. Dobre ludzie tu mieszkają. To chyba pierwszy raz, jak policję wezwano. Nie ma tu awantur. Czasem ino dzieciaki tych Ossowskich tak skaczą w mieszkaniu, że mam wrażenie, że sufit mi na głowę zwałą, ale jak miotłą w rury postukam, to zara jest spokój. Złego słowa na sąsiadów nie powim. To wszystko swoi. Od dzieciaka ich znamy. Porządni ludzie i do kościoła co niedzielę chodzą.

– A kręcą się czasem tu jacyś obcy?

– Nie. Ogólnie do sąsiadów ino rodzina i znajomi przychodzą, co my ich znamy, bo to wszystkie stąd pochodzą.

– Macie państwo klucz do piwnicy? – zapytałem. – Chcielibyśmy tam zajrzeć.

Starszy mężczyzna sięgnął po duży klucz wiszący na naściennym haczyku tuż przy wejściu i mi go podał.

Otworzyłem piwnicę i zapaliłem światło. Niewielkie żarówki pokryte gęstym kurzem oświetliły mi drogę. Ostrożnie i powoli

stawiając nogi, zszedłem betonowymi schodami na dół. Wilgotne, zateęchłe powietrze drażniło moje nozdrza. Cztery piwnice były zamknięte na niewielkie zatrzaskowe kłódki. Nie miałem tu czego szukać. Nikogo tu nie było.

Wyszedłem na zewnątrz, przekluczyłem zamek drzwi do piwnicy i klucz oddałem właścicielowi.

– Dziękujemy za pomoc i życzymy miłego dnia.

Starszy pan uklonił się i schował w mieszkaniu.

– To ja załatwiam dwójkę, a ty leć na piętro – zwróciłem się do Macieja.

– Okej.

W mieszkaniu samotnej matki nikogo nie zastałem, więc dołączyłem do Wrony. Porozmawialiśmy z dwiema rodzinami, ale niczego istotnego nie ustaliliśmy. Mieszkańcy kamienicy zgodnie przyznali, że nigdy niczego niepokojącego nie zaobserwowali. Nie widzieli, by ktokolwiek obcy kręcił się po budynku, a już „broń Boże”, by widywali tu jakiegoś zboczeńca.

– Gówno ustaliliśmy – skwitował Maciej, wsiadając do radiowozu.

Zdjął czapkę z daszkiem i podrapał się po głowie.

– Trudno, tutaj niczego więcej się nie dowiemy. Wracamy na komisariat i pogadamy z tą małą. Może rzeczywiście coś jej się przywidziało... Zobaczymy, co nam powie.

Po dziesięciu minutach weszliśmy do punktu przyjmowania interesantów. Za długim, półokrągłym biurkiem siedziała młoda stażystka, a przed nią, na drewnianych krzesłach, siedziały czekające na nas trzydziestoletnia kobieta z jedenastoletnią córką. Obie były schludnie ubrane, ale po stanie ich odzieży widać było, że w domu się nie przelewało. Dziewczynka trzymała w rękach komórkę i oglądała filmik o kotkach na TikToku. Przynajmniej był nieszkodliwy, bo w ostatnim czasie internet zalewały filmiki z challenge'ami. Najpopularniejsze było wdychanie dezodorantów

i jedzenie mielonego cynamonu. W mediach społecznościowych aż się od tego roiło. A dzieciaki, chcąc zaimponować rówieśnikom, bezrefleksyjnie to powtarzały.

– Dzień dobry, czy to pani zgłaszała zdarzenie z ulicy Starogardzkiej? – zapytałem, podchodząc do szczupłej, wysokiej szatynki.

Miała ziemistą cerę i podkrążone oczy.

Kobieta wstała, pociągając córkę za ramię. Dziewczynka stanęła obok mamy i zagryzając zaciśnięte wąskie usta, uważnie mi się przyglądała.

– Tak. Dzwoniłam na sto dwanaście. Potem oddzwonił do mnie jakiś policjant i poprosił, bym przysła tu z córką.

– Dasz sobie radę? – spytał mnie Maciej. – Ogarnę notatki z wyjazdu.

– Jasne, zajmę się tym – odparłem, po czym wróciłem do rozmowy ze zgłaszającą.

– Przejdziemy do pokoju, tam spokojnie porozmawiamy.

– Dobrze – powiedziała zestresowana kobieta i złapała córkę za rękę.

Stażystka wręczyła jej plastikowe przepustki, po czym poprowadziłem je wąskim korytarzem w głąb budynku.

W pokoju przesłuchań było duszno i śmierdziało potem. Uchyliłem okno, by nieco przewietrzyć. Poprosiłem dziewczynkę i jej matkę, by usiadły na drewnianych krzesłach, takich jakie kiedyś widywałem w szkołach, a sam zająłem miejsce naprzeciwko nich, za wąskim, obdrapanym biurkiem. Sięgnąłem po leżący na nim długopis i kartkę.

– Nie zdążyłem się przedstawić. Aspirant sztabowy Robert Grubicki. Jak pani się nazywa?

– Aleksandra Pakowska.

– A córka?

– Nadia Pakowska.

– Gdzie mieszkacie? – zapytałem, notując zbierane informacje na czystej kartce A4.

– W Czersku, przy Starego Urzędu pięćdziesiąt sześć.

– Ile masz lat, Nadia?

Dziewczynka spojrzała na mnie poważnie i z dumą przyznała:

– Jedenaście.

– Mogłabyś mi opowiedzieć, co się dziś wydarzyło? Najbardziej szczegółowo, jak potrafisz.

Spojrzała na mamę, czekając na akceptację, a kiedy ta skinęła głową, Nadia wzięła głęboki oddech, jakby za chwilę miała zanurkować w głębinach.

– Po lekcjach... Bo dziś skończyliśmy dwie godziny wcześniej, poszłam do Marysi Kownackiej. Ona mieszka za mostkiem. Niedawno Pusia, jej kotek, urodziła trzy śliczne kotki. Są takie malutkie, że mieszczą mi się w jednej ręce. – Nadia uśmiechnęła się, a oczy aż jej rozbłyły. – Pobawiłyśmy się z nimi, no a potem mama kazała mi wracać do domu, bo mam jutro sprawdzian z matematyki.

Dziewczynka mówiła bardzo spokojnie i starała się wszystko skrupulatnie opowiedzieć.

– O której wyszłaś od Marysi? – dopytałem.

– Tak po czternastej. Marysia kawałek mnie odprowadziła, ale tylko do mostku. Potem szłam już sama. – Dziewczynka znów wzięła głęboki wdech. – No i wtedy w tym domu przy Starogardzkiej zauważyłam jakiegoś pana w drzwiach.

– W drzwiach wejściowych?

– Tak... – Zastanowiła się. – Stał w głębi korytarza... Tak trochę w cieniu...

– Wiem, że to dla ciebie trudne, ale muszę zapytać cię o szczegóły, mogę?

Przytaknęła, a matka, chcąc dodać jej otuchy, złapała ją za rękę.

– Co robił, kiedy go zobaczyłaś?

– Miał spuszczone spodnie... i...

Wpatrywała się w swoje dłonie leżące na kolanach. Widziałem, że wstydziła się o tym mówić. Poza tym z całą pewnością ta sytuacja ją przeraziła.

– Był goły? – zapytałem.

Przytaknęła i się zarumieniła.

– Nie całkiem... Miał bluzkę, ale majtki miał zdjęte i... trzymał siusiaka. I tak dziwnie oddychał... – Odetchnęła, jakby zrzuciła z siebie duży ciężar.

– Coś do ciebie mówił?

– Nie, tylko na mnie patrzył. Trochę się przestraszyłam, bałam się, że do mnie podejdzie, więc uciekłam i od razu zadzwoniłam do mamy.

– Bardzo dobrze się zachowałam. Pamiętasz, jak ten pan wyglądał?

– Nie za bardzo... Nie widziałam go zbyt dobrze, bo stał w ciemnym korytarzu. Ale miał na sobie spodnie takie jak żołnierz.

– Zielone z kieszeniami po bokach?

– Tak, właśnie takie.

– Był młody czy stary?

Nadia przygryzła wargę i ściągnęła delikatnie zarysowane brwi. Starła się przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów.

– Miał wąsy albo brodę?

– Nie wiem... bo twarzy nie widziałam za dobrze – powiedziała rozczarowana.

– A widziałaś, jaki miał kolor włosów?

– Wydaje mi się, że miał czarne włosy, ale nie jestem pewna...

– I tak bardzo dużo zapamiętałaś – pochwaliłem ją. – Jesteś bardzo bystrą dziewczynką. Mama może być z ciebie dumna.

Pakowska pogłaskała córkę po głowie.

– Jestem i to bardzo.



– Postaramy się ustalić, co to za człowiek, ale gdyby Nadii coś jeszcze się przypomniało, proszę zadzwonić.

– Oczywiście – powiedziała Aleksandra Pakowska, wstając z krzesła i szykując się z córką do wyjścia.

\*\*\*

Dwie godziny przed końcem służby okazało się, że kryminalni musieli zająć się plantacją marihuany, którą przypadkiem odkryto w starej, opuszczonej szopie na obrzeżach Złego Mięsa. Skierowali tam wszystkie siły. Kryminalni mogli się wykazać niemałym sukcesem. Okazało się, że wnuczek opiekujący się zniedołężniałym dziadkiem od kilku tygodni był poszukiwany za niealimentację. Chcąc się ukryć przed dzielnicowym, zaszył się w szopie. Nie docenił jednak determinacji policjanta, który dokładnie przeszukał posesję i znalazł zarówno poszukiwanego, jak i jego uprawę. Teraz mundurowy mógł wystawiać pierś do medalu, bo informacje o jego sukcesie obieżyły wszystkie lokalne media. Z braku innych funkcjonariuszy do roboty oddelegowali mnie i Macieja do rozmowy z rodzicami jakiejś zaginionej dziewczyny.

Podjechaliśmy przed blok przy ulicy Hallera dziewięć. Z niedawno wykonanego na budynku muralu spoglądał na mnie nie kto inny, jak generał Józef Haller. Czarno-biała postać na tle falującego błękitnego nieba górowała nad mieszkańcami, baczenie im się przyglądając. Cztery bliźniacze bloki zostały pobudowane na początku lat dziewięćdziesiątych. Osiedle z jednej strony sąsiadowało z cmentarzem i targowiskiem, z drugiej z podstawówką. Kilkaset metrów dalej znajdowały się niewielki dworzec kolejowy i okryty złą sławą „ośrodek dla bestii”. Wdrapaliśmy się na czwarte piętro, wcześniej zapowiedziawszy wizytę przez domofon. Do mieszkania zaprosił nas lekko siwiejący brunet w średnim wieku. Po przedstawieniu się przeszliśmy do

salonu i usiedliśmy na kanapie w zielone liście. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, mieszkanie jak tysiące innych. Niczym się nie wyróżniało – ani stylem, ani standardem. Rodzice zaginionej usiedli naprzeciwko nas na niewielkich pufach i wpatrywali się w nasze twarze wyczekująco.

– Wiadomo już coś o Emilii? – zapytała Magdalena Płotka.

– Na razie nie trafiliśmy na żaden ślad. Jak rozumiem, córka nadal się do państwa nie odezwała?

– Niestety. Nie mamy od niej żadnych wiadomości. Nie wrzucała nic ani na Instagrama, ani TikToka czy Facebooka, a jej telefon nadal jest nieaktywny. Nie używała też karty bankomatowej. A na pewno miała ją przy sobie. Przecież nawet gdyby uciekła z domu, musiałyby mieć pieniądze, chociażby po to, by kupić sobie coś do jedzenia.

– Kiedy zaginęła państwa córka?

– Cztery dni temu. Wyszła do swojego chłopaka po południu i miała wrócić wieczorem. Przychodziła najpóźniej koło północy. Zawsze wracała na czas. To był pierwszy raz, kiedy nie wróciła na noc...

– Kiedy zauważyliście jej zniknięcie?

– Dopiero rano. Mąż był na szkoleniu w Starogardzie Gdańskim, a mnie dopadła taka migrena, że zasnęłam koło dwudziestej trzeciej... Pierwszy raz nie poczekałam na jej powrót. Cały czas to sobie wyrzucam... Gdybym nie zasnęła, to już w nocy zacząłabym jej szukać...

– Kto ją widział ostatni?

– Kuba, jej chłopak. Mieszka na Słonecznej piętnaście w Czersku, to jakieś półtora kilometra od nas. Koło dwudziestej trzeciej odprowadził ją do cmentarza, a potem się rozeszli. Mówił nam, że był przekonany, że poszła do domu.

– Czy macie jakieś przypuszczenia, gdzie mogłaby przebywać? – zapytał Maciej, wyciągając notatnik z kieszeni kurtki.

– Nie – odparł przybity Płotka.

– Rozmawialiście z jej znajomymi?

– Tak, ale oni nic nie wiedzą. Emilia nie miała żadnych wrogów... Jest bardzo lubiana – powiedziała matka nastolatki. – Boję się, że coś jej się stało... To niemożliwe, by tak zniknęła bez słowa. Niemożliwe, by uciekła z domu i nie mając pieniędzy, ani razu nie użyła karty.

– Czy córka kiedykolwiek sprawiała jakieś problemy wychowawcze? – włączyłem się do rozmowy.

Małżonkowie spojrzeli na siebie wymownie. Przypuszczałem, że trafiłem w czuły punkt.

– Dwa lata temu miała kłopoty w szkole. Nie uczyła się, wagarowała. Wtedy zaczęła brać narkotyki – przyznała matka zaginionej, po czym szybko dodała: – Ale potem poszła na odwyk i od kilku miesięcy jest czysta.

– Skąd ta pewność?

– Bo wielokrotnie robiła testy. Zawsze wychodziły negatywnie.

– Była karana?

– Niestety... Za posiadanie kilkunastu gramów amfetaminy. Nie handlowała nią, kupiła na własny użytek. Dostała zawiasy i dozór kuratora.

– Jak się nazywa ten kurator?

– Małgorzata Drobińska.

Coś mi to nazwisko mówiło, tylko nie bardzo wiedziałem co.

– Możemy przejrzeć jej rzeczy? Może natkniemy się na coś, co rzuci nowe światło na sprawę.

Państwo Płotka skinęli głowami i poprowadzili nas do pokoju. Założyliśmy lateksowe rękawiczki i weszliśmy do pomieszczenia. Na ścianie nad łóżkiem wisiała korkowa tablica z kilkunastoma żółtymi samoprzylepnymi karteczkami. Widniały na nich krótsze i dłuższe fragmenty tekstu wyglądające jak wiersze.

Państwo Płotka stanęli w drzwiach i bacznie nas obserwowali.

– Spisywała pomysły tekstów piosenek – powiedział ojciec, widząc, że na dłużej zatrzymałem wzrok na korkowej tablicy.

Spojrzałem na niego pytająco, dlatego kontynuował:

– Emilia należy do zespołu muzycznego Red Dragon. Jest wokalistką i autorką tekstów.

– Co to za zespół? – zapytałem.

Płotka wzruszył ramionami.

– Wie pan, ja to za bardzo się nie znam na tych gatunkach, ale raczej rockowy...

– Długo istnieją?

– Ponad rok.

– A kto jeszcze do niego należy?

– Jej chłopak Jakub Nadolny, Monika Kubiszewska i Igor Perszewski.

Wyciągnąłem notatnik i zapisałem podane nazwiska.

– Proszę, byście spisali mi ich dokładne dane: numery telefonów, adresy, szkoły, do których chodzą, dobrze?

– Tak. Zaraz panu wszystko podam – powiedziała Płotka.

– Skąd się znają?

– Z Moniką i Igorem Emilia chodzi do klasy, a z Jakubem poznali się na osiemnastce ich wspólnej znajomej.

– To on ją widział ostatni?

– Tak. Odprowadził Emilkę do cmentarza i choć do domu miała tak blisko, zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu.

– Jaką byli parą?

– Zgodną. Nigdy nie słyszałem, by się kłócili.

Rozejrzałem się po pokoju. Był czysty. Nigdzie nie leżały żadne zbędne rzeczy.

– Sprzątaлиście tu? – zwróciłem się do ojca Emilii.

Trochę inaczej wyobrażałem sobie pokój nastolatki. Spodziewałem się porozrzucanych po podłodze ubrań, okruchów

na dywanie, stosu brudnych naczyń czy pomazanych mazakami ścian.

– Nie, niczego nie ruszaliśmy. Emilia zawsze pedantycznie dba o porządek. Już od dziecka musiała mieć wszystko poukładane.

Na biurku stał niewielki srebrny laptop oklejony nalepkami z postaciami anime oraz lampka z diabełkiem z wystawionym językiem. W białej masywnej szafie z Ikei dominowały czarne ubrania. Wisiały równo jak na sklepowej witrynie. Pachniały lawendowym płynem do płukania. Zajrzałem do każdej kieszeni spodni i bluz, ale poza paragonami z Biedronki czy Żabki nie znalazłem nic więcej. Większość zostało wystawionych za zakup piwa, energetyków i chipsów. Było to standardowe menu nastolatków. Nie mieliśmy żadnego punktu zaczepienia. W szafce biurka żadnych notatników z prywatnymi zapiskami, tylko podręczniki i zeszyty, równo ułożone na dwóch stosach. Na dnie szuflady leżały rozrzucone długopisy, przybory szkolne, żółte samoprzylepne karteczki. Zamknąłem ją i podszedłem do łóżka, na które narzucono pluszowy ciemnoszary koc. Przerzuciłem pościel, sprawdziłem, czy Emilia Płotka nie ukryła czegoś pod materacem lub w poszewkach. Jednak niczego nie znalazłem. Kiedy skończyłem, matka nastolatki poprawiła rozrzuconą pościel i ułożyła na niej koc, wygładzając dłonią każdą nierówność.

Na przeciwległej ścianie wisiały zdjęcia oprawione w białe drewniane ramki o różnych kształtach. Na wszystkich była zaginiona. Rozpoznałem ją, bo widziałem w internecie ogłoszenie o jej zaginięciu. Część fotek wykonano w jej pokoju, inne na imprezach lub w plenerze. Na wszystkich zdjęciach Emilia prezentowała konsekwentnie ten sam styl emo. Ubierała się na czarno i preferowała mocny, ciemny makijaż.

– Kto jest na tych zdjęciach? – zapytałem rodziców dziewczyny.

– Tutaj jest Emilka, a to jest Jakub.

Pani Płotka wskazała na wysokiego szatyna z włosami sięgającymi łopatek na zdjęciu zrobionym na pomoście przy jeziorze. Chłopak jedną ręką obejmował swoją dziewczynę, a w drugiej trzymał piwo w zielonej butelce marki Perła. Obok niego siedziała całująca się para.

– A to Igor i Monika.

Zdjęć tej trójki było tu więcej. Spojrzałem na to, które zrobiono im w trakcie koncertu.

– To zdjęcie sama zrobiłam – powiedziała drżącym głosem matka zaginionej. – Tuż przed finałem WOŚP w Czernsku. To był ich pierwszy publiczny występ.

Na komodzie pod zdjęciami stało kilka figurek pop. Otworzyłem pierwszą szufladę bieliźniarki. Tu także dominowała czerń, ale jeden komplet schowany na samym końcu wyróżniał się kolorem i fasonem. Był koronkowy, niemal całkiem prześwitujący i na pewno drogi. Krwistoczerwony komplet Victoria's Secret raczej nie był na kieszeń nastolatki wywodzącej się z klasy średniej. Chyba że to podróba... Wyciągnąłem z kieszeni spodni telefon komórkowy i sprawdziłem w internecie, że ten komplet kosztuje łącznie pięćset dziewięćdziesiąt złotych.

– Czy kiedyś widzieli państwo tę bieliznę?

Spojrzeli na mnie zdumieni.

– Nie, nigdy – odpowiedziała Magdalena Płotka. – Gdzie pan to znalazł?

– W szufladzie z bielizną. Może dostała ją na osiemnastkę?

– Nie... Raczej nie... – Zastanowiła się. – Dostała pieniądze, które przeznaczyła na prawko. Może niedawno go kupiła?

– Kosztuje około sześciuset złotych – powiedziałem.

– Ile? – zapytał zaskoczony ojciec Emilii.

– Tak mniej więcej... – sprostowałem.

Pani Płotka spojrzała smutno na męża. Widać oboje byli tym zaskoczeni.

– Nie sądzę, by było ją na to stać. Nie pracowała, a marne kieszonkowe na pewno by na to nie starczyło. Zawsze kupowała bieliznę w sieciówkach. A jeśli ona...

Nie dokończyła, a lzy pociekły po jej policzkach. Sięgnęła po chusteczki leżące na stole i wydmuchała nos. Po chwili kontynuowała zdenerwowana:

– Jeśli... zaczęła handlować narkotykami? Może wpakowała się w jakieś kłopoty? Może była winna komuś pieniądze... Może ktoś jej coś zrobił, a może przed kimś uciekła? Może nie użyła karty, bo miała gotówkę z jakiegoś nielegalnego źródła? Przecież tym by się nie chwaliła...

– Coś byśmy zauważyli – powiedział Łukasz Płotka. – Nie chce mi się w to wierzyć.

– Skądś musiała mieć na to pieniądze. – Magdalena Płotka wskazała palcem na bieliznę. – No chyba że Kuba jej to kupił? – zapytała go żona.

– Tego nie można wykluczyć – stwierdziłem. – Czy zauważyli państwo, by córka kupowała sobie drogie rzeczy? Albo miała większą gotówkę?

– Nie. Wiedziała, kiedy coś kupuje, bo sama przelewałam jej pieniądze. Najczęściej kupowała rzeczy przez internet, ale śledziłam historię jej rachunku. Widziałam, na co wydawała pieniądze. Głównie na ubrania i kosmetyki. Nie zauważyłam, by obnosiła się z większą gotówką.

– Chcielibyśmy zabezpieczyć laptopa Emilii. Być może jego zawartość da odpowiedź na to, gdzie jest lub z kim się kontaktowała – powiedział Maciej.

– Jasne, skoro to konieczne – zgodził się Łukasz Płotka.

\*\*\*

Wczoraj po całym dniu pracy pragnąłem jedynie relaksu. Po służbie wraz z kilkoma policjantami poszliśmy do klubu w centrum Chojnic. Wlałem w siebie kilka pięćdziesiątek wódki i chociaż na chwilę odciąłem się od szarej rzeczywistości. Obudziłem się z lekkim kacem. W pokoju śmierdziało papierosowym dymem i alkoholem. Spojrzałem na zegar w telefonie. Jedenasta. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak długo spałem.

Obróciłem się na bok i przyjrzałem się twarzy młodej dziewczyny leżącej obok mnie. Nad ranem w pijackim amoku wylądowaliśmy w moim mieszkaniu. Wchodząc w takie niezobowiązujące relacje, nie musiałem się spinać, nie musiałem się zastanawiać, co dalej, bo... po kilku dniach, tygodniach lub miesiącach znajomość się kończyła. Bez dramatów, bez awantur, bez obietnic, bez żalu. To było takie proste...

Śpiąca dziewczyna przeciągnęła się, wyciągając ręce nad głowę. Jej ciemne włosy tworzyły na poduszce miękkie, falujący wzór. Przewróciła się na bok i spojrzała na mnie zaspanymi oczami.

– Ale wczoraj daliśmy czadu... – powiedziała.

– Dlatego spaliśmy jak zabici – powiedziałem, uśmiechając się do niej.

– Nie idziesz do pracy?

– Mam dzisiaj wolne.

– Szczęściarz. Ja mam od dziesiątej zajęcia – powiedziała, głaszcząc dłonią mój nagi brzuch. – Nie wiem, jak dam radę na nich wysiedzieć...

– To jesteś spóźniona, już po jedenastej.

– Cholera! – krzyknęła i wyskoczyła z łóżka jak poparzona.

Niemal w biegu złapała w garść czarną koronkową bieliznę i zieloną sukienkę, po czym świecąc gołą zgrabną pupą, zniknęła za drzwiami łazienki.



# Gosia

Nadal nie miałam żadnych wieści o Emilii, a nie chciałam niepokoić jej rodziców, więc postanowiłam przedzwonić do jej przyjaciółki. Miałam nadzieję, że dowiedziała się czegoś o powodach zniknięcia Emilii, może wcześniej chciała ją chronić. A nie chcąc sprawiać przyjaciółce zawodu, milczała jak zakłeta.

Stałam przy kuchennym oknie wychodzącym wprost na Żabkę i obserwowałam dwóch nastolatków sączących energetyki. Z dezaprobatą pokręciłam głową i sięgnęłam po telefon leżący na blacie. Odłączyłam go od ładowarki i wśród kontaktów zaczęłam szukać numeru do Moniki. Nacisnęłam zieloną słuchawkę i w lekkim napięciu czekałam, aż odbierze. Wsłuchiwałam się w miarowy sygnał, a w tym czasie dwaj nastolatkowie opróżnili puszki. Zgnietli aluminiowe opakowania i wrzucili do niewielkiego śmietnika. Obserwowałam, jak powoli się oddalają, do momentu, kiedy połączenie zostało przerwane.

Po całym dniu w terenie i użeraniu się z bezrobotnymi dozorowanymi, których musiałam odnaleźć na ogródkach działkowych w Chojnicach, miałam dość. Wyjęłam z lodówki zimne piwo i z pilotem w ręku liczyłam na błogi spokój. Wyłożyłam się na kanapie pod grubym kocem, przeskakując po kanałach, szukałam filmu, na którym na dłużej mogłabym zawiesić oko. Zasłużyłam na spokojny wieczór. Ledwo zdążyłam wziąć do ręki butelkę dobrze schłodzonego Książęcego, kiedy zadzwonił telefon. Zerknęłam na wyświetlacz: numer nieznany.

Mogę nie odbierać... Była dwudziesta pierwsza i jakieś licho podkusiło mnie, bym dotknęła zielonej słuchawki na wyświetlaczu.

– Kuratorka? – Usłyszałam na powitanie.

– Tak... A z kim rozmawiam?

Już czułam, że ta rozmowa zwiastuje problemy. W moim głosie na pewno wyraźnie słyhać było irytację.

– To nieważne. Chciałam tylko pani powiedzieć, że u Patrycji Czajkowskiej, co to pani do niej chodzi, jest jakaś nieciekawa akcja. Słyhać jakieś krzyki. Nie wiem, czy kogoś tam biją. Ona ma dziecko, więc może pani coś z tym zrobi?

– Proszę zadzwonić na policję.

– Zwariowała pani? Po psy mam dzwonić? Prędzej zdechnę, niż się do nich zwróć! – krzyknęła oburzona. – Zadzwonię, a oni potem powiedzą Patrycji, kto na nią doniósł, a ja życia nie będę miała. Pani podobno dyskretna.

– Dobrze... – powiedziałam zrezygnowana. – Sprawdzę to.

– No to fajno, bo dzieciaka szkoda – rzuciła w słuchawkę i się rozłączyła.

Zdjęłam dres i wsunęłam się w granatowe jeansy. Na czarny T-shirt nałożyłam grubą, czerwony golf, piwo wylałam do zlewu i już byłam gotowa do wyjścia. Nici ze spokojnego wieczoru.

Mając jeszcze resztki instynktu samozachowawczego, wystukałam numer chojnickiej komendy i wyszłam z mieszkania. Nie zamierzałam jechać tam sama.

– Komenda Policji w Chojnicach? – Usłyszałam niski głos dyżurnego.

– Małgorzata Drobińska, kurator sądowy. Dostałam zgłoszenie, że w Czersku przy ulicy Partyzantów czterdzieści osiem przez dziesięć jest awantura. Czy ktoś mógłby tam pojechać i to sprawdzić? Pod tym adresem mieszka Patrycja Czajkowska, moja dozorowana. Ma pod opieką noworodka.

– Kto panią powiadomił?

– Telefon był anonimowy. Przekazano mi tylko, że z mieszkania Czajkowskiej słychać krzyki, odgłosy awantury.

– Zadysponuję tam patrol, ale czy mogłaby pani tam pojechać?

– Jasne. Już wsiadam do auta, ale zanim dojadę, to minie spokojnie trzydzieści, czterdzieści minut. Dopiero wyjeżdżam z Chojnic.

– Patrol będzie w podobnym czasie, bo startuje z Angowic.

– Okej. Dzięki.

Chojnicka obwodnica błyszczała od stojącej po ulewie wody. Większe kałuże rozbryzgiwały się po bokach forda modeno rocznik dwa tysiące trzystaście. Na szczęście na grafitowym lakierze brud i zacieki nie były aż tak widoczne. Co chwilę oślepiały mnie światła jadących z naprzeciwka ciężarówek. Trochę mi się spieszyło, ale po ostatnim mandacie nie miałam zamiaru przekraczać dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Jadąc do Czajkowskiej, brałam pod uwagę różne scenariusze. Od najbardziej optymistycznego, że zgłoszenie okaże się fałszywe, po najbardziej pesymistyczne, kiedy będę musiała zawiadomić inne służby o potrzebie zabezpieczenia dziecka. Nigdy nie brałam w czymś takim udziału, więc sama myśl o tym napawała mnie lękiem.

Jadąc równym tempem, dotarłam do Czerska w trzydzieści dwie minuty. Zaparkowałam przed kamienicą przy Partyzantów, wysiadłam z auta i się rozejrzałam. Pusto... ani żywego ducha. Powoli, prawie bezszelestnie wsunęłam głowę w szparę uchylonych drzwi wejściowych prowadzących do budynku. W szerokim, dobrze oświetlonym korytarzu stało pięć osób, głośno rozmawiając i paląc papierosy. Kiedy mnie dostrzegły, spojrzwały złowrogo w moją stronę, więc wycofałam się na chodnik. Znów rozejrzałam się po ulicy. Nigdzie nie widziałam radiowozu, ale przecież policjanci mogli przyjechać nieoznakowanym. Spojrzałam

na zegarek. Od zgłoszenia upłynęło trzydzieści sześć minut. Mogli być jeszcze w drodze... Ale może są już na górze... W czasie kiedy wahałam się, czy ponownie wejść na klatkę schodową, czy jednak czekać, zza zakrętu wyłonił się radiowóz. Zatrzymał się tuż za moim fortem. Z auta wysiadło dwóch umundurowanych policjantów. Światła ulicznych latarni dawały niewielką poświatę, więc z tej odległości nie mogłam rozpoznać ich twarzy. Kiedy podeszli dostatecznie blisko, zobaczyłam, że to ci sami policjanci, którzy ostatnio wlepili mi mandat. Pamiętałam nazwisko jednego z nich – Grubicki, ten mniej pobłażliwy.

– To już nie ma innych policjantów? – wycedziłam cicho przez zęby.

– Słucham? – zapytał Grubicki, zbliżając się do mnie.

– Nic, nic... – odparłam zmieszana.

W końcu nie chciałam zadzierać z „władzą”. W tej chwili byłam zdana na ich łaskę, więc nie zamierzałam z nikim się konfliktować.

– Pamiętam panią – powiedział policjant z lekką nadwagą. – Piratka drogowa.

Roześmiał się, a ja poczułam, jak pali mnie twarz.

– Zaraz piratka... Raz się zdarzyło – odparłam zmieszana.

– To pani prosiła o asystę?

– Nie do końca, prosiłam o sprawdzenie zgłoszenia. Podobno z mieszkania mojej dozorowanej dochodzą odgłosy awantury, a opiekuje się kilkutygodniowym dzieckiem. Ma dozór za jazdę po pijaku. Dyżurny prosił, bym też tu przyjechała, ale o tej porze bałam się iść tam sama. Tym bardziej że na klatce jest komitet powitalny.

– Chce tu pani poczekać czy iść z nami? – zapytał Grubicki.

– Idę – powiedziałam hardo.

Weszliśmy na korytarz kamienicy. Na betonowej posadzce leżało kilkanaście niedopałków. Z pięciu osób niedawno siedzących na schodach zostały trzy. Lokalne towarzystwo

mierzyło mnie złowrogim wzrokiem. Oj, nie będę tu miała łatwo po takim wejściu. W powietrzu unosił się smród uryny i bigosu.

Gęsiego wspinaliśmy się po szerokich schodach. Czułam się jak VIP, kiedy szłam w obstawie uzbrojonych policjantów. Na drugim piętrze żarówka oświetlająca klatkę schodową mrugała rytmicznie, uprzedzając, że za chwilę się przepali. Stanęliśmy przed drzwiami mieszkania Czajkowskiej i nasłuchiwalismy... Nic. Cisza jak makiem zasiał. Przyłożyłam ucho do drzwi i... nadal nic. Spojrzałam porozumiewawczo na policjantów. Zapukali do drzwi... Zadzwonili dzwonkiem. Nadal cisza. No przecież gdyby była z dzieckiem w środku, to mały, słysząc hałas, raczej by chociaż zakwilił.

Teoretycznie wchodzić do domów podopiecznych mogłam do godziny dwudziestej drugiej. Była dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt trzy.

– Na to wychodzi, że ktoś panią wkręcił – powiedział z lekkim wyrzutem kolega Grubickiego.

Westchnęłam zrezygnowana.

– Aż trudno mi w to uwierzyć... Ale wszystko możliwe. Na pusto przejechałam ponad trzydzieści kilometrów.

Naprawdę nie sądziłam, by ktoś celowo chciał mnie wprowadzić w błąd. Jednak najwidoczniej tak było.

– Skoro już tu jesteśmy, to może przejdźmy się po sąsiadach – zaproponowałam.

– Nie zaszkodzi – przyznał Grubicki. – Może coś słyszeli. Aczkolwiek myślę, że nawet jeśli coś się tu działo, i tak nie doniosą.

Podeszliśmy do drzwi obok i zapukaliśmy. Po chwili otworzył je trzydziestoletni facet w czapeczce z daszkiem. Wydawało mi się, że widziałam go na klatce schodowej, zanim przyjechała policja. Z wnętrza mieszkania dochodziły odgłosy głośnych rozmów, śmiechu. Najwyraźniej miał gości. Spojrzał na nas zdziwiony

i oparł się łokciem o futrynę, zasłaniając ciałem widok na wnętrze mieszkania.

– O co chodzi?

– Mieszka tu pan? – zapytał Grubicki.

– Tak.

– Jak się pan nazywa?

– Tomasz Sawicki.

– Słyszał pan dziś, by z mieszkania którychś sąsiadów dochodziły odgłosy awantury albo płacz dziecka?

Sawicki zaciągnął się trzymanym w dłoni papierosem.

– Nie. Cisza i spokój – powiedział, wydmuchując ostentacyjnie dym.

– Zna pan może Patrycję Czajkowską? – zapytałam.

– Znam, a co?

– Szukam jej. Widział pan ją dzisiaj?

– Nie, nie widziałem.

– Dobrze, to wszystko, dziękujemy – powiedział Grubicki.

– Spoko – rzucił na pożegnanie Sawicki i zamknął drzwi.

Żarówka oświetlająca korytarz coraz szybciej mrugała, aż w końcu zgasła. Należało się tego spodziewać. Wyciągnęłam telefon i włączyłam latarkę.

– Nic tu po nas. Zwijajmy się – stwierdził Grubicki.

Nie pozostawało nam nic innego. Gdyby chodziło o samą Patrycję Czajkowską, to w ogóle nie przejęłabym się jej zniknięciem, ale miała pod opieką małe dziecko, które było od niej całkowicie zależne. Pamiętałam, że nie miała krewnych, do których mogłaby się udać. No ale przecież mogła wyjechać do znajomych, nikt nie mógł jej tego zabronić. Była dorosła.

# Patron

Niezapominajka03: Co tam u Ciebie? Może miałbyś ochotę na jakieś zdjętka? Ostatnio przysłałeś mi fajny prezent ;) Pokażę Ci się w nim ;)

Patron: Byłoby cudownie... Już się nie mogę doczekać :) Najpiękniej wyglądasz bez bielizny, ale te czerwone fikuśne majteczki powinny podkreślić Twoje atuty. Masz tak seksowny tyłeczek, że chciałbym go schrupać.

Niezapominajka03: Nie miałabym nic przeciwko...

Patron: Może spotkalibyśmy się w jakimś ustronnym miejscu? Zabrałbym Cię gdzieś na noc...

Niezapominajka03: Poważnie?

Patron: Możesz się wyrwać?

Niezapominajka03: To może w sobotę? Nie mam żadnych planów i byłabym cała Twoja...

Patron: Skąd Cię odebrać?

Niezapominajka03: Będę czekać na parkingu przy Hotelu Olimp w Chojnicach.

Patron: Przy starym cmentarzu?

Niezapominajka03: Tak.

Patron: W takim razie jesteśmy umówieni... Znajdę jakieś przytulne miejsce i porywam Cię w sobotę koło dwudziestej, pasuje?

Niezapominajka03: Już nie mogę się doczekać...



# Gosia

Emilia nadal nie wróciła do domu. Minęły już trzy tygodnie, a dotychczasowe poszukiwania nie przyniosły nowych ustaleń. Państwo Płotka starali się poruszyć niebo i ziemię. Co tydzień organizowali poszukiwania w pobliskich lasach, ale na nic się to zdało. Nie znaleziono żadnego śladu dziewczyny. Jej telefon po raz ostatni logował się w noc zaginięcia w okolicy domu. Potem najprawdopodobniej go wyłączył albo się rozładował. Coraz częściej policja skłaniała się ku wersji wspólnej ucieczki Emilii i Oliwii. Tym bardziej że obie w przeszłości sięgały po używki. Mimo że sceptycznie się do tego odnosiłam, wszystko wskazywało na to, że mogą mieć rację. Śledztwo zwolniło, były pilniejsze sprawy aniżeli szukanie dwóch nastolatek, które zwiały z domu. Tym bardziej że jedna z nich była już pełnoletnia. Jednak zaginięcie Emilii nie dawało mi spokoju. Znałam ją od kilku lat i nie chciało mi się wierzyć, by uciekła z domu na tak długo. Planowałam podrażnić temat i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej od jej znajomych. Przypuszczałam, że wpadła w tarapaty i się ukryła. Nie rozumiałam tylko, dlaczego tak długo nie dawała znaku życia rodzicom. Przecież musiała zdawać sobie sprawę, że odchodzą od zmysłów. Nie wierzyłam, że nikomu nie zwierzyła się ze swoich kłopotów, dlatego znów pojechałam do szkoły. Tym razem po to, by spotkać się z jej wychowawczynią – Weroniką Buławą. Miałam nadzieję, że rozmowa z nią da odpowiedź na nurtujące mnie wątpliwości. Spotkałyśmy się o szesnastej przy

głównym wejściu do szkoły i wąskim brukowanym chodnikiem ruszyliśmy w kierunku domu kultury.

– Emilia nadal nie wróciła do domu. Boję się, że coś jej się stało – powiedziałam. – Mam złe przeczucia. Obawiam się, że albo wpadła w kłopoty i przed kimś uciekła, albo znów zaczęła brać. Możliwe, że wpadła w narkotykowy biznes po uszy albo przedawkowała.

– Też się nad tym zastanawiałam. Zakładam, że gdyby żyła, to odezwałaby się do rodziców. Mimo różnych perypetii byli ze sobą silnie związani.

– Pani Weroniko, a jak ona zachowywała się w szkole przed zaginięciem?

– Normalnie. Naprawdę w jej zachowaniu nie było niczego niepokojącego. Czasem się spóźniała, bywała rozkojarzona, ale to nie wyróżniało jej na tle rówieśników. To młodzież w wieku, w którym buzują hormony. Przeżywają pierwsze miłosne uniesienia i rozczarowania. Czasem dramatyzują, ale wpisuje się to w okres dorastania.

– Z kim Emilia spędzała większość czasu?

– Głównie z Moniką Kubiszewską. To jej najlepsza przyjaciółka. Od dwóch lat to takie papużki nierozłączki. Wszędzie razem, i w szkole, i poza nią. Jakiś rok temu razem założyły zespół. Są w nim jeszcze Igor Perszewski, chłopak Moniki, i Jakub Nadolny, z którym spotykała się Emilia.

– Igora pamiętam jeszcze z okresu, kiedy byłam tu pedagogiem. Chodzi do klasy z Moniką i Emilią, ale Jakuba Nadolnego nie kojarzę – przyznałam.

Chłodny wiatr zwiastował zmianę pogody. Zapięłam się pod szyję i narzuciłam na głowę kaptur pikowanej kurtki.

– Możesz go nie znać, jest starszy od Emilii o dwa lata. Nie znam go osobiście, ale widywałam go, kiedy przychodził po nią do szkoły. Czasem też odprowadzał ją rano na zajęcia. Nigdy nie

słyszałam o nim nic złego. Nie uczył się w liceum, tylko w zawodówce w Malachinie. Od kilku lat pracuje w warsztacie mechanicznym, tym przy Starogardzkiej. Wydaje mi się, że to porządny chłopak. Nie wygląda ani na chuligana, ani na ćpuna. Podobno to on wyciągnął Emilię z nałogu i wspierał, kiedy była na terapii.

– Nie wiedziałam, że to dzięki tej znajomości przestała brać. Wiedziałam, że się z kimś spotyka, ale nie sądziłam, że to coś poważnego. Emilia co prawda nigdy nie unikała ze mną kontaktu, ale nie była zbyt wylewna w rozmowach. Miałam wrażenie, że zawsze mówiła mi tyle, ile chciała, żebym wiedziała.

– Z pozoru otwarta, a w rzeczywistości skryta. W szkole też taka była.

– A jeśli chodzi o jej znajomych z klasy, coś zwróciło pani uwagę?

Weronika Buława się zamyśliła, poprawiła okulary i przystanąła przy wejściu do domu kultury. Zrobiłam to samo.

– Przed zniknięciem Emilii wszyscy zachowywali się jak zwykle, a potem wiadomo, byli w szoku. Był to gorący temat ostatnich tygodni. Dzieciaki snuły przypuszczenia dotyczące przyczyn zaginięcia Emilii. Głównie stawiając na ucieczkę z domu lub przedawkowanie. Najbardziej przybici zaginięciem są Monika i Igor. W końcu to oni spędzali z nią najwięcej czasu. Emilia co prawda ma naturę ekstrawertyka, wszędzie jej pełno, ma milion pomysłów na minutę, ale z kłopotów niechętnie komukolwiek się zwierzała. Jeśli wpakowała się w jakieś problemy, to myślę, że zwierzyła się jedynie Monice, Igorowi i Jakubowi.

– Pewnie już rozmawiała z nimi policja, ale może komuś, kogo znają, powiedzą trochę więcej. Skoro już tu jestem, wejdę sprawdzić, kiedy mają próby.

– Jasne. Kiedyś mieli we wtorkowe wieczory, ale może coś się zmieniło. Powodzenia, Gosiu.

– Dziękuję.

Pożegnałam się z panią Buławą i weszłam do szarego, parterowego budynku Gminnego Centrum Kultury w Czersku. Już z daleka słyszałam, że ktoś wybija rytm na perkusji. Pod stopami czułam lekkie drganie. Dźwięki niosły się echem przez cały hol, prowadząc mnie do głównej sali. Otworzyłam szerokie drzwi i zobaczyłam trójkę przyjaciół Emilii. Kiedy mnie spostrzegli, nie kryli zdziwienia.

– Dzień dobry, pani tutaj? – zapytała Monika.

Ciemne włosy spięła w wysoki koczek. Dwa niebieskie pasemka wyraźnie się w nich odznaczały.

– Dzień dobry, szukałam was.

– Nas? – spytał Igor schowany za perkusją.

– Chciałam z wami pogadać o Emilii.

Zbliżyłam się do nich i wyciągnęłam rękę w kierunku nieznanego wysokiego młodzieńca, stojącego przy klawiszach. Ciemnobrązowe włosy sięgające za łopatki spiął gumką. Niesforne krótsze kosmyki opadające na twarz założył za ucho.

– Małgorzata Drobińska.

– Jakub Nadolny – powiedział, ściskając moją dłoń. – Słyszałem o pani. Emilia mi mówiła, że jest pani jej kuratorem.

Przytaknęłam i usiadłam na skraju drewnianego stołu. Monika zdjęła z szyi pas i odłożyła gitarę basową na stojak. W czarnych obcisłych lewisach i czarnym golfie prezentowała się elegancko i zadziornie. Przez ostatnie półtora roku wydorosłała, a jej figura nabrała pełniejszych kształtów.

– Mogę zająć wam chwilę? – zapytałam.

– Oczywiście – powiedzieli niemal chórem.

– Myślę, że znacie Emilię najlepiej. Jej rodzice odchodzą od zmysłów, odkąd trzy tygodnie temu zniknęła z domu i przez ten czas nie nawiązała z nikim kontaktu. Czy wcześniej coś was zaniepokoiło w jej zachowaniu?

– Pewnie zastanawia się pani, czy znowu nie zaczęła brać? – spytał Jakub.

– Była to pierwsza rzecz, o jakiej pomyślałam, kiedy dowiedziałam się, że zniknęła. Z powodu jej wcześniejszych kłopotów takie podejrzenia nasuwały się same. Jednak uważam, że nawet gdyby znów zaczęła brać, to raczej już do kogoś by się odezwała. Znam ją od kilku lat i nawet jak dokazywała, zawsze wracała do domu – powiedziała Monika.

– Nie mogę za nią całkowicie ręczyć, bo nie byliśmy ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale nie sądzę, by znów zaczęła brać to gównu. Była dumna z tego, że wytrwała na terapii i jest czysta. Z tego, co mówiła, to wrywkowo robiła jej pani testy – powiedział Jakub.

– Zawsze dawały wynik negatywny – przyznałam. – Ale nie można wykluczyć, że zaczęła sięgać po dopalacze. One nie wyszłyby na testach.

– W szkole i na próbach zachowywała się jak zawsze – włączyła się Monika. – Nie wspominała też o żadnych kłopotach. Miała plany związane z naszym zespołem. Chcieliśmy nagrać demo z naszymi utworami, więc nie wierzę, by nawiała. I to tak nagle, bez słowa.

– Ale od zawsze ciągnęło ją do wielkiego miasta, powtarzała, że się dusi w Czersku, że potrzebuje przestrzeni – powiedział Igor, wychylając się zza perkusji.

– No tak... Często tak mówiła, ale nie sądzę, by wyjechała stąd tak bez uprzedzenia, bez pożegnania... Przecież byliśmy parą, mieliśmy plany. Wiedziała, że wspieram ją, że chciałbym, by była szczęśliwa. Najbardziej boję się, że spotkało ją coś złego, że ktoś zrobił jej krzywdę albo...

Jakub nie zdążył skończyć swojej myśli, bo przerwała mu Monika.

– Ani się waż tak myśleć! Ani się waż! – krzyczała, płacząc. – Zabraniam ci!

Igor podszedł do Moniki, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Dziewczyna wcisnęła głowę w jego ramiona i płakała, a on delikatnie głaskał ją po plecach. Był od niej znacznie wyższy. Odniosłam wrażenie, że jego zielone oczy nieznacznie się zaszkliły. Wziął głębszy oddech, by się uspokoić, i przeczesał palcami jasne włosy sięgające ramion.

– Od dawna się tu spotykacie? – zapytałam.

– Mniej więcej od roku ćwiczymy od dwóch do czterech razy w tygodniu. Liczba prób zależna jest od tego, jak stoimy z czasem. Od zaginięcia Emilii jest to nasze pierwsze spotkanie. Tak naprawdę bardziej przyszłiśmy trochę pogadać i wzajemnie podtrzymać się na duchu niż pograć. Nie mamy już zbytnio pomysłu na to, co jeszcze można zrobić. Wstawianie postów, rozwieszanie ulotek i przeszukiwanie pobliskich lasów, pól i parków na niewiele się zdało. Czujemy się bezużyteczni. Gówniane uczucie... – powiedział Igor, nie wypuszczając z ramion Moniki.

– Wiem. Wyobrażam sobie, co czujecie, ale pozostaje czekać i mieć nadzieję, że wkrótce ta historia zakończy się happy endem.

# Robert

Wyjąłem ze schowka kanapkę z szynką i sięgnąłem po termos z kawą. Jedzenie drugiego śniadania w radiowozie nie było przyjemnością, a koniecznością, ale kiedy było się głodnym, to się nie wybrzydzało. Maciej, choć walczył z nadwagą, nie żałował sobie kolejnego hot doga z Orlenu.

– Że nie szkoda ci wątroby.

– Bez przesady. Raz na jakiś czas mogę sobie pozwolić na śmieciowe żarcie. Nic nie poradzę na to, że tak je lubię. Ty tego nie zrozumiesz, bo sam sobie gotujesz, a moja żona liczy mi każdą kalorię. – Nadgryźł hot doga i kontynuował: – Wysłała mnie do dietetyka. Wstydu się najadłem jak cholera i jeszcze za konsultację zapłaciłem trzysta złotych. Prędzej się rozwiodę, niż przejdę na jakąś pieprzoną dietę! Á propos: jak tam po ostatniej randce? – zapytał z pełną buzią.

– Daj spokój, to nie dla mnie.

Maciej niemal opluł się rozbawiony.

– Nie bądź dziwakiem. Może załóż sobie konto na Tinderze albo zagadaj do panienek z Facebooka. Tam się aż roi od napalonych wolnych lasek. Gdybym był na twoim miejscu, tobym wykorzystał fakt, że nie mam żadnych zobowiązań, i bym trochę poszalał. Przecież nie musisz się z nimi żenić.

– Byłem na kilku takich randkach.

– No i? – dopytywał zaciekawiony Maciej. – Nie bądź taki! Podziel się smaczkami z kumplem, który od lat prowadzi

ustatkowane życie małżeńskie i wszedł w niemal co wieczorną tradycję „boli mnie głowa”.

– Nie ma co opowiadać.

Maciej spojrział na mnie, nie dowierzając.

– Poważnie. Nic z tych znajomości nie wyszło. Czasem ja lasce nie przypadłem do gustu, a czasem ona mnie. Nic na siłę. Zresztą drażni mnie to, że większość pańienek nastawiona jest na kasę. Moim stanem konta ani wozem raczej im nie zaimponuję.

– Zachowujesz się jak stary ramol. Ja na twoim miejscu wyrzywałbym laski co tydzień.

Tym razem ja się roześmiałem.

– Ty? Przecież bez swojej Paulinki żyć byś nie mógł.

– No może i bym nie mógł, ale na razie mam w domu wizję bez fonii, więc pomarzyć chyba mogę? No, ale konkretnie: spotykasz się z kimś czy nie?

– Parę razy spotkałem się z taką małą, ale nie wiem, czy coś z tego będzie. Fajne ciało, ale mam wrażenie, że jesteśmy z różnych biegunów.

Wziąłem duży kęs kanapki i popiłem kawą. Temat uważałem za zakończony.

– Osiemnaście do zero, zero. – Usłyszałem głos dyżurnego w radiu.

– Melduję się.

– Jesteście w Czersku?

– Tak.

– Jest wezwanie na 21 Lutego czterdzieści pięć. Stoi tam taki stary rozpadający się dom. Nie wiem, czy ktokolwiek tam mieszka, ale dostaliśmy cynk, że przebywa tam ta zaginiona nastolatka. Podjedźcie dyskretnie, tak by nie wiedziała o was cała okolica.

– Ma się rozumieć.

Zakręciłem termos, nadgryzłem jeszcze raz kanapkę i odłożyłem do schowka z boku drzwi. Maciej wepchnął do ust



resztkę hot doga i odpalił srebrno-niebieską kię ceed.

Zaparkowaliśmy w odległości stu metrów od wskazanego budynku i szybkim marszem pokonaliśmy resztę trasy. Weszliśmy na posesję przez wyłamaną drewnianą furtkę. Z budynku nie dobiegały żadne dźwięki. Do domu wchodziło się od strony podwórka, porośniętego wyschniętą wysoką trawą. Dopiero przy szczycie budynku zauważyliśmy brązowego kundla wylegującego się na progu domu. Kiedy nas zobaczył, najeżył się i zaczął warczeć. Maciej, nie okazując strachu, podszedł do niego.

– Pójdiesz! – wycedził przez zęby i mocno tupnął nogą tuż przed jego pyskiem.

Pies spojrział na niego zdezorientowany, a potem podkulił ogon i nadal nas obserwując, przeszedł na drugi koniec podwórza. Delikatnie zapukałem do drzwi, a kiedy nikt nie odpowiedział, chwyciłem za zardzewiałą klamkę. Ustąpiła pod naciskiem, a popchnięte drzwi, nie stawiając oporu, otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Na betonowej posadzce w korytarzu widoczne były brunatne ślady męskich butów. Ruchem głowy dałem Maciejowi znak, że wchodzimy. Odpiąłem broń z kabury i powoli przesuwalem się w głąb domu. Maciej był tuż za mną i zabezpieczał tyły. Minęliśmy łazienkę, z której śmierdziało szambem. Na podłodze leżały rozrzucone brudne męskie ubrania. Na końcu korytarza, po lewej stronie, znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Podeszliśmy do nich i zaczęliśmy nasłuchiwać. Słyszac odgłosy pisków, dynamicznie weszliśmy do środka. Zobaczyliśmy zakapturzoną postać stojącą nad leżącą na kanapie nastolatką. Dziewczyna, widząc nas, krzyknęła:

– Gliny, uciekaj!

Facet obejrzał się nieznacznie, ukazując jedynie część swojej twarzy. Był brudny i zarośnięty. Zobaczywszy nas, wpadł w popłoch. Szybko wbiegł do pokoju obok i zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszałem tylko dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

– Na pewno będzie chciał wyjść oknem – powiedziałem do Macieja, czujnie obserwując otoczenie, bo nie wiedzieliśmy, ile osób tu zastaliśmy.

Przytaknęła i wybiegła na zewnątrz. Spojrzałem na dziewczynę: była ubrana, nie miała żadnych widocznych obrażeń. Lekko podniosła się z kanapy.

– Nawet o tym nie myśl! Rusz się, to cię skuje, rozumiesz?

Przytaknęła i podkuliła nogi.

– Otwieraj! – krzyknąłem do faceta przez zamknięte drzwi, ale odpowiedziała mi cisza.

Naparłem na nie barkiem. Nie chciały się otworzyć. Pchnąłem je z całej siły. Po kilku próbach w końcu nieco się uchyliły. Pchnąłem je mocniej i wyłamałem zamek. Nie licząc kilku mebli, pokój był pusty. Tak jak podejrzewałem, facet zwiął przez okno, w którym powiewała poszarpana firana.

Ponownie zerknąłem na dziewczynę i rozpoznałem w niej zaginioną kilka tygodni temu nastolatkę.

– Nic ci nie jest? – zapytałem z troską.

– A co miałyby mi być? – Jej ton był agresywny.

– Nie wiem. Ten facet ci nic nie zrobił?

– Nie. Był spoko.

Objęła rękami podkulone nogi i patrzyła na mnie poirytowana.

– Znasz go? – dopytywałem.

– Nie za bardzo. – Roześmiała się prowokująco.

– Jak się nazywasz?

– Chuj cię to obchodzi! – prychnęła.

– Wiesz, że od kilku tygodni wszyscy cię szukają?

Wzdrygnęła obojętnie ramionami i nałożyła kaptur na głowę.

– A kto pytał? – odparła.

– Zabieramy cię na komisariat – powiedziałem zdecydowanym tonem.

Dziewczyna spojrzała na mnie i przewróciła oczami.

– Nigdzie z wami nie jadę. Spróbuj mnie zmusić! Nie możesz mnie dotykać, pieprzony krawężniku!

– Nie prowokuj, nie będę się z tobą patyczkować.

Do pokoju wpadł zadyszany Maciej. Pochylił się i oparł dłonie na udach, próbując wyrównać oddech.

– Uciekł, skubany. Przeszukałem pobliskie uliczki i nic. Jakby się zapadł pod ziemię. Pieprzony Houdini!

– Trudno. Wrócimy tu później i się rozejrzemy. Może wtedy go zastaniemy – powiedziałem. – A teraz zabieramy młodą i się zwijamy.

Wbrew wcześniejszym groźbom dziewczyna potulnie z nami poszła i wsiadła do radiowozu. Siedziała naburmuszona na tylnym siedzeniu i wpatrywała się w krajobraz za oknem.

– To co? Powiesz nam, co to był za facet?

– Znajomy – odburknęła.

– A jak się nazywa?

– Nie powiedziałabym, nawet gdybym sama wiedziała. Kazał do siebie mówić „Bary”.

– Gdzie go poznałaś?

– Na melanżu u takich koleś w Chojnicach. Ale nie powiem, gdzie ani u kogo, bo nie mam zamiaru mieć łatki „sześdziesięcio”<sup>16</sup>.

– Przez cały czas byłaś w Chojnicach? – zapytał Maciej.

– Nie. Najpierw wylądowałam w Starogardzie Gdańskim, ale koleś, u którego się zadekowałam, zaczął marudzić, że do niczego się nie dokładam, więc przeniosłam się do Chojnic. A kilka dni temu wylądowałam w Czersku i zamelinowałam się u Bary’ego.

– W jakim wieku jest ten Bary?

– A bo ja wiem? – Zerknęła na moje odbicie we wstecznym lusterku. – Stary. Pewnie trochę starszy od was, a może w waszym wieku. Jakoś tak... wywiadu z nim nie robiłam.

– Zrobił ci krzywdę? Dotykał?

Roześmiała się, jakbym opowiedział jej najlepszy kawał.

– On? To nedorajda. Nawet palcem mnie nie tknął. Niejeden chciałby pobzykać, a on czasem chciał tylko sobie na mnie popatrzeć. Do niczego mnie nie zmuszał. Piętnaście lat skończyłam, więc nic byście mu nie zrobili. Ja tam prawo trochę znam.

– W to nie wątpię – stwierdził z przekąsem Maciej. – A z czego żyłaś? Przecież jeść musiałaś.

– Czy to są *Rozmowy w toku*, bym się wywnętrzala? Panowie... szanujmy się trochę. Ja się tu pruć nie będę! – oburzyła się.

– Brałaś w ostatnim czasie dragi?

– A myśli pan, że powiem panu prawdę? – spytała kpiąco.

– Punkt dla ciebie – przyznałem. – Ale myślę, że na jedno pytanie możesz nam odpowiedzieć...

– Niech pan próbuje. – Uśmiechnęła się zawadiacko.

– Uciekłaś sama czy byłaś z koleżanką?

– Sama, a z kim miałam uciec?

– Znasz Emilię Płotkę?

– Tę alternatywkę<sup>17</sup>, której szuka pół internetu?

Kiedy przytaknąłem, dodała:

– Nie. Ja ją tylko z widzenia znałam. Nie kumplowałyśmy się.

– Zniknęła w podobnym czasie, co ty.

– Myśleliście, że razem dałyśmy nogę? – zapytała zniesmaczona. – Panowie, błądziecie po całości.

Zaparkowałem na niewielkim parkingu przed komisariatem w Czersku. Wyprowadziliśmy dziewczynę z auta i poprowadziliśmy do pokoju przesłuchań. Maciej z nią został, a ja udałem się do komendanta.

– Odnalazła się ta zaginiona nastolatka – zameldowałem Żuchowiczowi.

– Która? Bo poszukiwaliśmy dwóch.

– Ta młodsza, Oliwia Kowalik.

- Czyli ta zaprawiona w boju. Cała i zdrowa?
- Cała i zdrowa, choć pewnie trochę niedomyta.
- Wiadomo, z kim była w tym czasie?

– Nie chce sypać. Podobno trochę czasu spędziła w Starogardzie, a potem w Chojnicach. W Czersku była dopiero od kilku dni. Dyżurny ustalił, że właściciele domu przy 21 Lutego czterdzieści pięć od pięciu lat nie żyją. Sprawy spadkowe ciągną się od lat, bo ci ludzie nie mieli własnych dzieci i prawo do majątku przeszło na dalszą rodzinę. W każdym razie od wielu lat nikt tam nie mieszka. Ta małolata nie była tam sama. Był z nią jakiś dorosły mężczyzna. Wyglądał jak menel.

– Co to za element? – zapytał komendant.

– Nie wiemy, bo zwiął, jak tylko nas zobaczył. – Aż wstyd było się do tego przyznawać. – I zapadł się pod ziemię.

Wzrok komendanta mówił sam za siebie, nie był z tego zadowolony.

– Oliwia powiedziała, że kazał do siebie mówić „Bary”. Mi nic nie mówi ta ksywa, ale może tutejszym powie coś więcej.

– Pierwszy raz słyszę. Nikt taki się tu nie przewijał. Podjedźcie do tego domu jeszcze raz, ale wieczorem... Może wtedy facet tam wróci.

– Jasne. A co zrobić z dziewczyną?

– Jak co z nią zrobić? Odwieźć do domu. Nie można dowieźć jej do ośrodka wychowawczego, bo trzeba zorganizować konwój. Z godziny na godzinę nikt tego nie robi, a zresztą miejsce w ośrodku też na pewno przepadło. Trzymają je chyba miesiąc, więc musztarda po obiedzie.

– Przecież jak odstawimy ją do domu, to na pewno za chwilę znowu ucieknie.

– Co mam ci powiedzieć? Nic na to nie poradzimy. Ucieknie to ucieknie. Znow będziemy jej szukać.

– Zajebicie! – skwitowałem.

– Grubicki, co ty, kurwa?! Życie znasz od wczoraj? Rób, co mówię, odwieź ją! Nie mam czasu z tobą dyskutować. Ale wiesz co? – Zastanowił się. – Tak dla świętego spokoju weźcie dziewczynę do lekarza, niech ją dokładnie obejrzy, by za chwilę nie przypomniało się uciekinierce, że została zgwałcona albo co innego.

Żuchowicz machnął ręką, dając mi jasno do zrozumienia, że mam wyjść.

– Jasne – powiedziałem zrezygnowany i wyszedłem z gabinetu komendanta komisariatu.

Przeszedłem do pokoju przesłuchań, gdzie czekali Maciej i Oliwia. Mój kolega w skupieniu wpatrywał się w ekran komórki, a małolata, siedząc na drewnianym krześle, obgryzała końcówki włosów.

– Stary kazał jechać z nią do szpitala. Ma ją zobaczyć lekarz, zrobić badania toksykologiczne, głównie na dragi, i obdukcję. Zawiadomi Kowalików o tym, że mają tam podjechać, by ją odebrać. My kończymy zadanie z chwilą przekazania młodej rodzicom.

Maciej spojrzał na mnie z niedowierzaniem i już otwierał usta...

– Nie komentuj... – powiedziałem.

Wrona podniósł ręce w geście poddania.

– Nawet nie zamierzałem.

\*\*\*

Wieczorem, tuż przed zakończeniem służby, ponownie podjechaliśmy do domu przy 21 Lutego czterdzieści pięć. Z oddali dobiegało szczekanie. Kundel na pewno gdzieś się tu kręcił. Służące do ucieczki wychodzące na ulicę okno było zamknięte. W domu panowała ciemność. Nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek był w środku. Najwidoczniej spłoszyliśmy dzikiego

lokatora. W milczeniu obeszlśmy posesję, sucha trawa szeleściła pod naszymi stopami. Krwawy księżyc otoczony rozsypanymi po niebie gwiazdami górował nad naszymi głowami. Jego obecność potęgowała wyczuwalne w powietrzu napięcie.

– Wchodzimy do środka? – zapytał Maciej.

– Tak, ale nie sądzę, byśmy kogokolwiek tam zastali.

Czubkiem buta pchnąłem uchylone drzwi wejściowe. Otwierając się, lekko zaskrzypiały. Odbezpieczyliśmy broń i po cichu weszliśmy do budynku. Korytarz pogrążony był w ciemności. Włączyłem małą latarkę i oświetliłem go wąskim jasnym snopem. Wyglądało tu tak samo jak kilka godzin temu. Powoli posuwaliśmy się do przodu. Piach skrzypiał pod naszymi ciężkimi butami. Odwróciłem się w kierunku Macieja, zajrzał do łazienki. Była brudna i zaniedbana. Z podłogi wyłożonej linoleum zniknęły wcześniej rozrzucone ubrania. Przypuszczałem, że posprzątał je nasz uciekinier.

– Nic tu nie ma, żadnych osobistych rzeczy – wyszeptał.

Wskazałem palcem na drzwi do pokoju. Maciej skinął głową na znak zgody. Kiedy już chciałem wejść do środka, z pomieszczenia dobiegł nas głośny dźwięk spadającego i tłukącego się szkła. Szybko wyłączyłem latarkę i delikatnie nacisnąłem klamkę. Byłem przekonany, że nikogo tu nie ma. Najwyraźniej się myliłem. Maciej stał za moimi plecami, w dłoni trzymał glocka z lufą skierowaną ku podłodze. Energicznie pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Blask księżyca oświetlał pomieszczenie. Rozejrzałem się po pokoju i na podłodze dostrzegłem rozbity talerz. Na stole na wprost nas stał kot, który spłoszony czmychnął na podłogę i schował się pod kanapą. Ponownie włączyłem latarkę i omiotłem światłem pokój. Był skromnie urządzone. Znajdowały się w nim stara, sprężynowa, bordowa kanapa pikowana obitymi guzikami, dębowa, rozpadająca się komoda z lat osiemdziesiątych oraz okrągły stół z dwoma zniszczonymi, drewnianymi krzesłami. Szuflady komody

były puste. Nie było żadnych wskazówek przybliżających nas do ustalenia tożsamości „Bary’ego”. Skoro został namierzony z jedną nastolatką, może miał też coś wspólnego z zaginięciem tej drugiej. Jeżeli wierzyć słowom Oliwii Kowalik, spędzili tu razem kilka ostatnich dni, więc raczej powinni tutaj coś po sobie zostawić. Przeszliśmy do drugiego pokoju, jeszcze skromniej umeblowanego niż poprzedni. Zajrzałem do zielonej welurowej kanapy. W pojemniku na pościel były trzy koce, a w stojącej obok szafie jedynie stare albumy ze zdjęciami, należące najprawdopodobniej do właścicieli domu.

Wszystkie pomieszczenia były zagrzybione i zaniedbane. Meble pokrywał kilkumilimetrowy kurz. Dom porzucono wiele lat temu, a okazjonalnie pomieszkujący w nim przypadkowi dzicy lokatorzy nie przywiązywali wagi do porządku. W kuchni brudne naczynia nie mieściły się w zlewie i piętrzyły się na blacie szafki. W rogu, przy oknie, opierały się o ścianę dwa worki wypełnione puszkami po piwie, a na parapecie stały w równym rzędzie butelki po Żubrze.

– Nic tu po nas. Ten facet raczej tu nie wróci.

W śmietniku pod zlewem leżały opakowania po zupkach chińskich i słoiki po pulpetach. Lodówka świeciła pustkami, ale dopiero po chwili spostrzegłem, że nawet nie była podłączona do gniazdka.

– Na to wygląda. W każdym razie nieprędko... Chodź, lepiej pogadajmy z sąsiadami, może coś widzieli.

Przeszliśmy do parterowego, niewielkiego domu naprzeciwko. Uliczne lampy oświetlały okolicę. Właściciela zastaliśmy w oborze, podczas wieczornego obchodu gospodarstwa. Przedstawiliśmy się, po czym zaczęliśmy ustalać, czy widywał kogoś w domu po drugiej stronie ulicy.

– Czasem widziałem, że ktoś się tam kręci, ale ja tam cudzymi sprawami się nie interesowałem. Specjalnie nie hałasowali, to



i uwagi na nich nie zwracałem.

– Kogo tam pan widywał? – zapytałem.

– A różnych, i starych, i młodych. Często się zmieniali.

– A w ostatnim czasie? – dopytywał Maciej.

– Bywał tu taki facet, taki, a bo ja wiem... może koło trzydziestki, może czterdziestki... Trudno powiedzieć, bo taki trochę zarośnięty i często na głowę miał narzucony kaptur. Chodził przygarbiony, jakby nie chciał, by ktokolwiek go zobaczył. Wydaje mi się, że była z nim taka młoda dziewczyna. Widziałem ją czasem, jak karmiła psa na podwórzu.

Pokazałem mu zdjęcie Oliwii Kowalik.

– Ta?

– Tak. Ale wcześniej bywały tu też inne dzieciaki. Ten dom od wielu lat jest opuszczony. Nocują tu czasem te nasze lokalne moczymordy, ale nie rozrabiają, to i nikt do rejonowego<sup>18</sup> nie zgłasza. Schodziły się tu czasem nastolatki, ale któregoś razu ktoś ich postraszył, bo już długo żem ich nie widział.

Pokazałem mu zdjęcie Emilii Płotki.

– A ją pan tu widywał?

Długo przyglądał się zdjęciu.

– Nie jestem pewien... Twarz jakby znajoma, ale... Nie pamiętam. Przykro mi. Takich czarnulek na czarno ubranych widywałem wiele. Zlewają mi się w jedno, bo wyglądają prawie tak samo. Przykro mi.

– Zostawię panu swój numer telefonu. Gdyby pan zobaczył, że znowu ktoś się tu kręci, proszę zadzwonić.

– Jasne.

# Gosia

Ostatnio nie mam żadnego życia osobistego. Całymi dniami siedzę w terenie albo za biurkiem. A kiedy wygospodaruję sobie wolną chwilę, to odsypiam. Mam trzydziechę na karku i żadnych perspektyw na znalezienie normalnego faceta. Do niedawna uważałam, że nic mnie nie goni, ale ostatnio dotarło do mnie, że mieszkam w niedużym mieście, gdzie faceci są albo już zajęci, albo wolni, ale niewarci uwagi. Pewnie są też pojedyncze wyjątki, ale jeszcze ich nie spotkałam. Większość moich koleżanek, żeby nie powiedzieć, że wszystkie, jest mężatkami, matkami, a przynajmniej rozwódkami. A ja? Nie mogłam poszczycić się nawet tym ostatnim. Na takie jak ja mówiło się kiedyś „stara panna”. Teraz używało się modniejszego słowa – „singielka”. Może to i dumnie brzmi w metropoliach, ale na pewno nie w moich stronach.

Takie rozmyślenia byłyby do przyjęcia, gdybym użalała się nad sobą, sącząc lambrusco i oglądając po raz milionowy *Dumę i uprzedzenie*. Ale nie... ja snułam głębokie rozważania dotyczące mojego nieudanego życia osobistego, siedząc za kółkiem i zapychając się hot dogiem ze stacji benzynowej. Właśnie stojąc w kolejce na Orlenie, uświadomiłam sobie, jak żalodne prowadzę życie. Nie mam dla kogo gotować, więc zapycham się fast foodami... Uważam się za wolną od zobowiązań, ale jednocześnie żałuję, że ich nie mam. Co prawda nikt niczego mi nie narzuca, ale też nikt na mnie nie czeka. Może nikt nie doprowadza mnie do

szału niezakręconą tubką pasty do zębów, ale też nikt wieczorem po ciężkim dniu mnie nie przytula... Od filozoficznych wynurzeń ratowało mnie zajmowanie się cudzym życiem i cudzymi problemami.

Wytarłam usta papierową serwetką, włożyłam śmieci do jednorazowego foliowego woreczka i rzuciłam go na podłogę przed fotelem pasażera. Na pewno nie byłam miss czystości. Jak większość kobiet miałam porządek w szafach, za to bałagan w samochodzie. Taka już nasza niepoprawna natura.

Po niedawnym donosie Patrycja Czajkowska cały czas chodziła mi po głowie. Nie mogłam się do niej dodzwonić, więc postanowiłam ponownie ją odwiedzić. Przyjechałam przed południem. Nie kusiłam losu. Po tym, jak zrobiłam nalot z policją, nie mogłam liczyć na przychyłność lokalnego środowiska.

Zadzwoiłam do mieszkania dozorowanej. Po chwili otworzyła drzwi i zaprosiła do środka. W mieszkaniu panował idealny porządek. Czajkowska test białej rękawiczki zaliczyłaby bezbłędnie. W kuchni pozmywane naczynia suszyły się na stojaku, butelki na mleko stały w równym rzędzie na bawełnianej ścierece położonej na szafce, a posadzka wyłożona linoleum lśniła tak, że prawie widziałam swoje odbicie. Wiktor spał w łóżeczku turystycznym w pokoju przechodnim. Zajrzałam dyskretnie do niewielkiego pokoju obok. Stała tam wielka szafa, a na podłodze leżał zaplamiony materac. Pomieszczenie było raczej rzadko używane.

– Wszystko u pani dobrze? – zapytałam, rozpinając kurtkę i siadając na pufie.

– Jo, a bo co?

– Tak ogólnie pytam...

Czajkowska usiadła naprzeciwko mnie, na kanapie. W szarym znoszonym dresie pękały szwy w nogawkach. Różowa bluzka z krótkim rękawem miała niewielkie plamy od potu pod pachami.

– Może kawy zrobię? – zapytała.

– Nie, dziękuję. Jak pani sobie radzi z opieką nad dzieckiem?

– Dobrze. Taki dzieciak to skarb.

– Nadal przesypia noce?

– Zazwyczaj tak, ale jak ryczy, to biorę go do siebie, do łóżka, i wtedy się uspakaja.

– Wyjeżdżała gdzieś pani ostatnio?

Chciałam, by to pytanie zabrzmiało normalnie, ale chyba nie byłam zbyt dobrą aktorką.

– Tak, tydzień temu kilka dni spędziłam u siostry.

– Pogodziłyście się? – spytałam zdziwiona.

– Kiedy dowiedziała się od naszej kuzynki, że urodziłam, zaprosiła mnie do siebie. Poprosiłam, by została chrzestną Wiktora. Zgodziła się, bo jak to mówią: „dziecku się nie odmawia”.

Nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy, nie do końca wierzyłam jej słowom, ale nie miałam dowodów na to, że było inaczej.

– Dzielnicowy był u mnie ostatnio. Trochę się zdziwiłam... Toć wcześniej nigdy tu nie zaglądał. Powiedział, że tydzień temu była u mnie policja z powodu awantury w moim mieszkaniu – oznajmiła oburzona i nerwowo odrzuciła włosy z twarzy. – Jak tu mogła być awantura, jak nikogo nie było?

Skoro dzielnicowy nic nie wspominał o tym, że ja też tu byłam, zamierzałam tę informację zachować dla siebie.

– A kiedy to było?

– Jak u siostry byłam. Jak przyjechali, to okazało się, że to nieprawda, więc odjechali. Ciekawe, kto na mnie doniósł? Ktoś pewnie ma oko na to mieszkanie i chciałby mnie stąd wykurzyć, ale ja się nie dam! – Czajkowska energicznie wstała. – Ludzie to jednak parszywe są.

Patrycja wyszła na chwilę do kuchni i wróciła z butelką mleka. Odstawiła ją na stolik, po czym podeszła do łóżeczka i wyjęła syna.

Chłopczyk machał niezgrabnie nogami. Patrycja Czajkowska sięgnęła po czystego pampersa leżącego na skraju kanapy i zaczęła przebierać syna. Chłopiec był czysty, nie miał żadnych odparzeń. Kiedy już został podmyty, przewinięty i na powrót ubrany w śpiochy, mama wzięła go na ręce i trzymając w ramionach, nakarmiła. Przyglądałam się jej z uwagą. Mimo moich wcześniejszych obaw jako matka radziła sobie naprawdę bardzo dobrze.

– Współpracuje pani z pracownikami socjalnymi?

– Tak. Rozmawiałam z nimi wczoraj. Podobno zasiłki mam dostać niedługo na konto i dobrze, bo teraz z kasą u mnie trochę krucho. Sama pani widzi, jaka drożyzna wszędzie, a pieluchy i mleko kosztują majątek. Ubranka dostałam od koleżanek, co już dzieci odchowwały. Część kupiłam w lumpie, na wagę, ale naprawdę w dobrym stanie. Spójrzy pani, śpiochy niezmechacone, prawie jak nowe. Zresztą, ile on to ponosi? Miesiąc? Rośnie jak na drożdżach.

– Spotyka się pani z kimś?

– Chodzi pani o faceta?

Przytaknęłam, lekko się uśmiechając.

– Na razie nie mam do tego głowy. Wie pani, mam ważniejsze sprawy. Skupiona jestem na Wiktorze. Zresztą, kto by chciał kobietę z dzieckiem. Faceci nie lubią takich komplikacji. Czasem mnie ktoś zaczepi na Messengerze, ale... – Pochyliła się w moją stronę. – Coś pani powiem... Ostatnio taki jeden pisał do mnie przez kilka tygodni. Całkiem fajny. I zapytał wczoraj, czy moglibyśmy razem zamieszkać. – Czajkowska mówiła podekscytowana.

Spojrzałam na nią zdumiona, ale nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, dodała:

– Napisałam mu, że na razie to niemożliwe. Niech nie myśli, że jestem jakaś łatwa. – Zaśmiała się kokieteryjnie.

– Widzieliście się chociaż?

– No tylko na zdjęciach, ale jakby powiedziała moja babcia, to „porządny kawaler”. Pracę ma.

– A skąd jest? Gdzie pracuje? Czy ma dzieci? – dopytywałam, próbując uświadomić Czajkowskiej, jak wielu rzeczy może o tym mężczyźnie nie wiedzieć. W internecie nawet totalny nieudacznik może się podawać za Leonardo DiCaprio.

– A tego to ja, pani, nie wiem.

– To zanim zamieszkacie razem, powinna się pani tego dowiedzieć.

– Dobrze pani mówi! – przyznała gorliwie. – Przecież drugiego nedorajdy, co mi dzieciaka zrobi, to już nie chcę.

# Patron

Niezapominajka03: Cześć, przystojniaku. Może byśmy się spotkali? Mam wolną nockę z piątku na sobotę. Może zabrałbyś mnie tam, gdzie ostatnio? Do tego pensjonatu w lesie? Poprzednim razem chyba Ci się podobało ;)

Patron: Jak najbardziej, jestem zainteresowany ;) W blasku kominka wyglądałaś bardzo ponętnie.

Niezapominajka03: Ostatni prezent od Ciebie był klasa :) ale tak się zastanawiam...

Patron: Miałabyś jakieś życzenie? :D Z przyjemnością je spełnię.

Niezapominajka03: Jeśli mogłabym... Trochę mi głupio...

Patron: Mów śmiało... Dla Ciebie wszystko!

Niezapominajka03: Jeśli to nie problem, to... wolałabym kasę...

Patron: Jeśli tak wolisz, mi to nie przeszkadza ;)

# Robert

Do socjalnego weszła stażystka. Rozejrzała się po zebranych i zatrzymała na mnie wzrok.

– Gruby, stary cię wzywa. Ma dla ciebie misję specjalną. – Zaśmiała się rozbawiona.

– Tylko dla mnie? – zapytałem, odstawiając kubek po kawie do zlewu.

– Nie, masz zabrać ze sobą swojego giermka. – Stażystka wymownie spojrzała na Wronę

– Poważnie? To o mnie? – obruszył się Maciej. – Mógłbym to uznać za mobbing!

– Nie marudź, Sancho, i chodź. – Mrugnąłem do niego żartobliwie, ale Maciej chyba nie załapał żartu i tylko się skrzywił.

Przeszliśmy posłusznie do gabinetu komendanta. Siedział w skórzanym fotelu i podejrzenie się uśmiechał. Nie zwiastowało to niczego dobrego. Spod blatu biurka ulatniała się wąska smuga dymu. Żuchowicz sięgnął po papierosa, zgasił go w popielniczce ukrytej w szufladzie i energicznie ją zamknął.

– Chłopaki, pani Lubecka przysłała złożyć zawiadomienie. Przyjmijcie je, a potem sprawdźcie.

– To ta miejscowa wariatka, o której krążą legendy? – zapytał poirytowany Maciej. – Nie mógłby tego zrobić któryś z młodzików?

– Czy ja się ciebie, Wrona, pytałem o zdanie?! Póki co, to ja tu jestem szefem, a nie ty! – Żuchowicz podniósł nieco ton. – Odmaszerować.



Nie zamierzaliśmy z nim polemizować. Maciej spojrział na mnie skonsternowany i jedynie skinął głową. Nie odzywając się ani słowem, opuściliśmy gabinet komendanta. Najwidoczniej szef nie był w nastroju do żadnych dyskusji, a my nie zamierzaliśmy jeszcze bardziej podnosić mu ciśnienia. I tak komuś się oberwie, ale nie chciałem, by jego złość skupiła się na nas. Czasem trzeba trzymać jęzor za zębami, by niepotrzebnie nie oberwać.

Przechodząc korytarzem do punktu interesanta, Maciej początkowo zachowywał spokój, ale kiedy zostaliśmy sami, nie krył oburzenia.

– Wiesz, że odsyłając nas do takich spraw z dupy, Żuchowicz odgrywa się na nas za ucieczkę tego menela z 21 Lutego? Próbuje nam pokazać, kto tu rządzi. Niech sobie tych po szkółce tresuje.

W pełni się z tym zgadzałem, ale to on był szefem i dyskusja z nim na nic by się zdała.

– Rozumiem, ale co zrobisz, jak nic nie zrobisz?

– No przecież to nie była moja wina, że zwiął. Biegłem za nim jak szalony, nawet ty byś go nie dogonił – mówił wzburzony.

– Wiem, ale nie ma co stękać i wkurwiać starego, każe nam pogadać z Lubecką, to zróbmy to i miejmy z głowy.

Przy kontuarze punktu podawczego stała kobieta po sześćdziesiątce, z utapirowanymi blond włosami i mocno wyrysowanymi brwiami. Zniecierpliwiona przestępowała z nogi na nogę.

– Pani Leokadia Lubecka? Robert Grubicki, podobno chciała pani złożyć zawiadomienie.

Maciej sięgnął po kartkę i długopis.

– Tak, ale nikt mnie poważnie nie traktuje. Panie... Grubicki? Tak?

Skinąłem głową.

– Może pan będzie inny. Nie znam pana, więc może pan profesjonalnie podejdzie do tematu. Pan chyba nie jest stąd? –

Przyjrzała mi się uważnie. – Bo ci tutejsi policjanci to szkoda gadać, niedorajdy jakieś. Papierka na sznurku by nie umieli przypilnować, a co dopiero porządku! – mówiła oburzona, a żyłka na środku jej czoła nabrzmiała i zrobiła się fioletowa. – Ja już skarżyłam się do głównego komendanta, że tu korupcja jest i znajomości. Połowę komisariatu powinni zwolnić! Wie pan, co robi dzielnicowy po godzinach? Ten...

Maciej wymownie przewrócił oczami, ale nic nie skomentował. Czulem, że to może być dłuższy wywód, więc postanowiłem skierować panią na właściwe tory.

– Dobrze, a z czym pani dziś przyszła?

– Ano... – Wytrącona z rytmu zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią. – Czasem do mojego domu zakrada się mężczyzna i chce ze mną uprawiać seks. Ja się nie zgadzam, wtedy on patrzy na mnie i mi mówi, że jak tego nie zrobię, to wpadną kibice Wisły i zrobią ze mną porządek.

– Zna pani tego mężczyznę, wie pani, jak się nazywa?

– A gdzie tam. Nie znam go.

– A kiedy był ostatni raz?

– Wczoraj wieczorem – powiedziała z przekonaniem.

– A jak dostał się do mieszkania? – zapytał Maciej, puszczając do mnie oko.

– Normalnie. Przez drzwi – odparła obruszona.

– A zamyka je pani na klucz? – Kiedy przytaknęła, dodał: – Ale jest pani tego pewna? Może tylko się pani wydaje. Proszę codziennie przed pójściem spać sprawdzać, czy zamknęła je pani na klucz.

– Czy kiedy tamten mężczyzna panią nachodził, kiedykolwiek wezwała pani policję?

– Nie, bo bałam się tych kibiców. Zresztą on jest w zмовіе z dzielnicowym, co przychodził mnie podglądać, jak się kąpię... –

Ściszyła głos do szeptu. – Widzi pan, to jedna klika – powiedziała z całą powagą i starła drobne kropelki potu znad górnej wargi.

– Ten człowiek często do pani przychodzi?

– Tak ze dwa razy w miesiącu.

– A może tylko się pani wydaje? – zapytał z lekką ironią w głosie Maciej. Lubecka zgromiła go wzrokiem.

– Panie! – uniosła głos zdenerwowana. – Przecież wiem, co widzę! Nikt mi nie będzie wmawiał, że coś wymyślam.

Wzburzona Lubecka patrzyła na Macieja z pogardą, więc wtrąciłem się do rozmowy.

– Pani Leokadio, a jak się pani czuje? – zapytałem z troską.

Spojrzała na mnie jak na wariata.

– Dobrze, a bo co?

– Do lekarza pani chodzi?

– Rodzinnego, ale rzadko. Bogu dzięki, zdrowie dopisuje. A czemu pan pyta? – spytała podejrzliwie.

– Wyłącznie z troski... – Westchnąłem z bezsilności. – Leki jakież pani przyjmuje?

– Tylko na nadciśnienie – mówiła, szukając czegoś w torebce. Po chwili wyjęła plastikowe opakowanie tabletek. – Kardiolog mi je przepisał. Wkłada się je pod język.

Kobieta zachowywała się chaotycznie. Nie potrafiła na dłużej skupić uwagi. Włożyła do torebki leki i znów czegoś w niej zawzięcie szukała.

– Pani Leokadio... – powiedziałem spokojnie. Dopiero wtedy znów skupiła na mnie wzrok. – Proszę do domu nie wpuszczać obcych. A jak ten mężczyzna znów się zjawi, proszę wyjść z mieszkania i przyjść do nas albo od razu zadzwonić po pomoc, najlepiej pod numer sto dwanaście.

Przytaknęła i usatysfakcjonowana wyszła z komisariatu.

– Jeden zero dla nas – podsumował Maciej. – Trzeba pogadać z socjalnymi z centrum usług społecznych, bo ta kobieta wymaga

leczenia psychiatrycznego. Zrobię notatkę i podrzucę dzielnicowemu.

– Co starość robi z człowiekiem... – podsumowałem.

Już przechodziliśmy w kierunku dyżurki, kiedy przez drzwi wejściowe wpadł z impetem niedomyty, obdrapany i śmierdzący uryną kłozard w brązowym prochowcu.

– Ja znalazłem chyba jakiegoś trupa – wymamrotał przez prawie bezzębne usta.

Spojrzeliliśmy na niego skonsternowani. W pierwszej chwili pomyślałem, że albo się przesłyszałem, albo facet ma omamy wzrokowe po alkoholu.

– Jakiego trupa? – zapytałem, patrząc na niego z niedowierzaniem.

– No... normalnego... Nieżywego trupa – wysapał. – Niech pan tak na mnie nie patrzy jak na wariata. Wiem, co widziałem. – Z ust kłozarda wydobywał się zapach zgnilizny.

– Gdzie jest ten trup?

– W Czersku na takiej niedokończonej budowie, w bok od Truskawkowej.

– Jak pan się nazywa?

– Zygmunt Stanisławski.

– Ile pan dziś wypił? – zapytałem bez pardonowo, bo zionęło od niego jak z taniej gorzelni.

– Niedużo... Troszkę winka z rana na rozruch, ale ja wiem, co żem widział! – Uderzył się w pierś. – Przysięgam!

Choć mnie nie przekonał, otworzyłem drzwi dyżurki i zameldowałem, że jedziemy sprawdzić zgłoszenie. Szybko wsiedliśmy do radiowozu i pojechaliśmy we wskazanym przez Stanisławskiego kierunku. Przejechaliśmy przez centrum miasta, kierując się na obrzeża Czerska. W zaułku za sklepem spożywczym przy Starego Urzędu kwiat lokalnej społeczności delektował się najtańszym winem. Rozbawione towarzystwo poklepywało się po

plecach. Żyli bez stresu, nie czując żadnej presji, skupiali się jedynie na codziennej rutynie.

– Panie władzo, moglibyśmy stanąć przy markecie?

– Czemu?

– Strasznie mnie suszy.

– Mam wodę w bagażniku, dam panu, jak dotrzemy na miejsce.

– Panie władzo, bądźże człowiekiem... Nie na wodę mnie suszy. – Stanisławski zerkał na mnie we wstecznym lusterku. Brał mnie na litość.

– Jak nie na wodę, to musi pan z tym poczekać. Najpierw musimy zobaczyć, co pan znalazł.

– Ale potem kupicie mi ze trzy piwka? – dopytywał Stanisławski, niecierpliwie wierząc się na tylnym siedzeniu.

– Dwa, jeśli to naprawdę będzie umrzyk.

– Niech będzie...

Wjechałem w Truskawkową, minąłem osiedle domków jednorodzinnych, a następnie odbiłem w wąską polną drogę prowadzącą przez gęsto zadrzewioną okolicę. Dotarliśmy na niewielką polanę, na której stała niszcząca, porzucona budowa. Mury porastał mech. Dom otaczały wysoka trawa i chaszczce. Od dawna nikt tu nie wykonywał żadnych prac.

Odwróciłem się do Stanisławskiego.

– To tu?

– Tak, panie władzo. Tam w środku jest takie zejście do piwnicy. Część jest wybetonowana. A część nie. Trup leży w rogu, pod schodami, przykryty kupą gruzu.

Maciej sięgnął po radio i zameldował naszą pozycję. Wysiedliśmy z auta. Rozejrzałem się po opustoszałej okolicy. Budynek z czterech stron otoczony był iglastym lasem.

– Pan tu poczeka – powiedziałem zdecydowanym tonem do Stanisławskiego, bo miałem wrażenie, że za chwilę ucieknie.

– Nigdzie się nie ruszę – zapewnił gorliwie. – Ale piwko będzie?

– Będzie, będzie, niech pan się nie martwi.

Podłoże było suche. Ostrożnie stawialiśmy kroki, cały czas patrząc pod nogi, by nie zdeptać ewentualnych śladów. Przeszliśmy przez zarośniętą wysoką trawą działkę i spojrzalem w stronę radiowozu. Stanisławski nie ruszył się z miejsca. Wskazując palcem, kazał nam wejść do budynku. Weszliśmy przez dwustanowiskowy garaż. Pokonaliśmy dwa korytarze i stanęliśmy na środku czegoś, co miało być zapewne salonem. Na parterze stały wszystkie ścianki działowe. Na piętrze tylko ściany nośne. Dom nie miał dachu, więc deszcz zalewał wszystko od piętra po piwnicę.

– Schodzimy na dół? – zapytał Maciej.

– Schodzimy.

Schodząc po betonowych schodach, latarką oświetlaliśmy sobie drogę. Już po przejściu kilku kroków poczuliśmy wyraźny zapach stęchlizny i ciężki, przenikliwy, słodki zapach rozkładającego się ciała. Jest tak charakterystyczny, że z niczym innym nie można go porównać. Przeszedłem we wskazywane przez Stanisławskiego miejsce. W rogu pod schodami, pod stosem gruzu, z całą pewnością leżały zwłoki należące do kobiety. Ciało zostało niedbale przykryte kawałkami pustaków. Od pasa w dół było nagie. Jedynie na stopach pozostały czarne skórzane głany. Z gnijących nóg zwisały resztki podartych rajstop.

– Chryste, musimy wezwać kryminalnych – powiedziałem.

Maciej zbladł i siłą woli powstrzymywał odruch wymiotny. Był w służbie krócej ode mnie i nie był przyzwyczajony do zapachu psującego się ciała. Przez chwilę targaly nim torsje, więc w pośpiechu wyszedł na zewnątrz. Nie chcąc zatrzeć śladów, ruszyłem za nim. Wrona przykucnął przy radiowozie, a ja zawiadomiłem o znalezisku dyżurnego. Do niego należał obowiązek poinformowania wszystkich zainteresowanych. Nim

przyjechała cała ekipa zajmująca się zabezpieczeniem ciała i miejsca znalezienia zwłok, przepytaliśmy nieco Stanisławskiego.

– Panie Zygmuncie, jak pan znalazł ciało?

– W lato często tutaj nocowałem. Nikt mnie stąd nie przepędzał, miałem spokój. Ostatnie miesiące tu nie zaglądałem, bo miałem odsiadkę. Kilka dni temu żem dopiero wyszedł. Zimno było, więc zadekowałem się u kolegi spod celi, w takiej altance przy wylocie na Karsin. Dzisiaj rano mnie wywalił, nie bardzo miałem gdzie pójść, więc postanowiłem się tu przekimnąć. Kupiłem wiśniówkę i tu przyszedłem. Na parterze wiało przez te nieobite okna, więc zeszłem do piwnicy. Już na schodach czułem smród, ale żem nie wiedział, co to jest. Jak zeszłem na dół, to zacząłem się rozglądać, bo już wiedziałem, że coś tu nie gra. Podejrzywałem, że jakieś zwierzę tu zdechło... – Stanisławski się wzdygnął. – Ale jak zobaczyłem te nogi wystające spod gruzu, to przestraszyłem się nie na żarty i żem uciekł.

– Panie Zygmuncie, to ważne. Dotykał pan tu czegoś?

– Panie władzo, niczego! Na dole z wrażenia upuściłem winko, które chyba się rozbiło... Nawet nie wiem, bo żem nie patrzył, ino biegłem do was. A wszystkie oszczędności żem na nie wydał – wyznał z nieskrywanym żalem.

– A zanim pan zszedł na dół?

– Zanim zeszłem do tej piwnicy, to na parterze chwilę przespałem się w tej folii, co w rogu leży. Tak wincej to chyba nic nie dotykałem.

Nim skończyłem wypytywać Stanisławskiego, zaroiło się od niebieskich świateł. Po chwili pojawili się pierwsi ciekawscy mieszkańcy Czerska, a także lokalne media. Najchętniej porobiliby zdjęcia leżącego ciała i powrzucaли do internetu. Zachowywali się jak hieny, szukając taniej sensacji. Kilku policjantów chroniło dostęp do budynku i jego okolicy. Jeszcze by tego brakowało, by cywile zdeptali ślady.

Na miejscu pojawili się też prokurator, dochodzeniowiec, lekarz i technik kryminalistyki. Ten ostatni wykonał zdjęcia piętra, parteru i piwnicy. Ciała początkowo nie ruszano. W piwnicy znaleźliśmy nie do końca opróżnioną butelkę po winie „Winiaczyk”. To najprawdopodobniej o niej wspominał Stanisławski. Była wyszczerbiona i w połowie pełna. Część płynu wylała się na posadzkę, tworząc brunatną plamę na betonie. W kilku miejscach leżały pety papierosów L&D. Włożyliśmy je do woreczków strunowych i opisaliśmy. Tuż przy ciele znajdowała się zakurzona butelka, po piwie Żubr. Zmurszała szyjka miała ciemnobrązowe zabarwienie. Musiała tu długo leżeć. Dopiero po tych czynnościach zdjęto leżący na ciele gruz. Zmarłej nie można było zidentyfikować. Skóra pokrywająca twarz, ręce i nogi była niemal czarna. Twarz straciła rysy, a oczodoły zionęły pustką. Czarne włosy okalające czaszkę wyglądały jak wystrzępione, długie ciemne pióra.

– Dziewczyna nie żyje już od wielu tygodni. Stopień rozkładu jest zaawansowany. Głowa zdeformowana, lekko wgłębiona. Mogła doznać urazu twarzoczaszki. Jednak trudno to dokładnie ocenić, bo skóra twarzy szerniała i czaszka zdeformowała się na skutek przygniecenia pustakiem. Poza tym nie widzę żadnych innych obrażeń. Na ten moment nie potrafię stwierdzić z całą pewnością, jaka była przyczyna zgonu – powiedział lekarz pochylający się nad ciałem.

– Zabezpieczcie dłonie i możecie ją wkładać do worka – zarządził prokurator obserwujący działania patologa. – Podejrzewacie, kto to może być? – zwrócił się z pytaniem do mnie i Wrony.

– Teraz to ją trudno rozpoznać, ale przypuszczamy, że to może być ta zaginiona nastolatka z Czerska, Emilia Płotka. Rysopis pasuje do wyglądu ciała. Zgadza się: wzrost, kolor włosów, sposób ubierania. Zaginęła niecałe dwa miesiące temu – poinformowałem.



– Ten okres pasowałby do stopnia rozkładu zwłok – wtrącił lekarz.

– Trzeba zawiadomić jej rodziców. Lepiej, żeby dowiedzieli się od nas niż z mediów. Pismaki już zacierają ręce, by opublikować te sensacje. Na razie staramy się trzymać ich z daleka, ale, bez urazy, za chwilę ktoś sygnie – stwierdził prokurator, patrząc na zebranych.

Dziennikarze od zawsze mieli swoich informatorów w policji. Za dobry cynk odpalano im niezłą kasę. Sensacyjne wiadomości były na wagę złota. Tym bardziej że trafiały nie tylko do lokalnych mediów, ale też ogólnopolskich.

Komendant spojrzał na nas wymownie.

– Wy byliście u Płotków na przeszukaniu?

– Tak – potwierdził Maciej.

– No to niestety na was spadnie ten wątpliwy zaszczyt. Niech im to przekaże ktoś, kogo już wcześniej widzieli – zarządził Darek Żuchowicz. – Jak tu skończycie, powiadomicie rodziców o tym, że podejrzewamy, że znaleźliśmy ich córkę.

W ciągu kilku godzin zrobiliśmy oględziny ciała, zdjęcia miejsca jego odnalezienia, zebraliśmy dowody. Materiał musiał być kompletny, bo wielu rzeczy nie będziemy mogli odtworzyć.

Naczelnikowi kryminalnego przekazaliśmy wszystkie informacje podane nam przez Stanisławskiego. Jeszcze tam na miejscu został formalnie przesłuchany, a na komendzie ściągnięto mu odciski palców, pobrano DNA. Zgodnie z umową w drodze powrotnej kupiliśmy mu dwa browary i odstawiliśmy do altanki kolegi. Miał codziennie meldować się na komisariacie. Kiedy wykonaliśmy wszystkie konieczne czynności, przyszła kolej na nieuniknione... Zaparkowaliśmy przed blokiem przy Hallera i wcale nie kwapiliśmy się do odwiedzenia Płotków. Powiadomianie bliskich ofiar było jednym z najbardziej

niewdzięcznych zadań policji. W szczególności, kiedy śmierć ponosiły osoby młode, przed którymi życie stało otworem.

– Nie ma co tego odwlekać... – powiedział Maciej, wyciągając kluczyki ze stacyjki.

Westchnąłem, bo czułem się tą sytuacją przytłoczony. Choćbyś nie wiadomo jak się starał, w takich sytuacjach nie możesz wyłączyć emocji. Takie doświadczenia będą prześladowały cię do emerytury, a może nawet i do końca życia. Czy chcesz, czy nie, myślisz o tym, co przeżywają bliscy ofiar, widzisz rozpacz w ich oczach, jeszcze nim otworzysz usta.

Było późne popołudnie, na dworze panowały ciemności, powietrze było ciężkie od wilgoci. Nasze kroki niosły się echem po pogrążonej w ciszy klatce schodowej. Stanęliśmy przed drzwiami Płotków i wiedzieliśmy, co za chwilę nastąpi. Niepewność i tęsknotę zastąpi ogromny ból. Niewyobrażalny ból, nie do zniesienia. Nacisnąłem dzwonek i czekałem...

Po chwili w drzwiach stanęli oboje małżonkowie. Spojrzeli na nas zdziwieni, przez chwilę chcieli o coś zapytać, ale widząc nasze miny, już wiedzieli... Kolana Magdaleny Płotki nieznacznie się ugięły, mąż chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. W jego oczach stanęły łzy.

– Wejdą panowie... – powiedział zbolalym głosem.

Podążyliśmy za rodzicami Emilii do pokoju gościnnego. Zapadli się w kanapie. Miałem wrażenie, że w ciągu jednej minuty postarzelisi o dziesięć lat. Ich twarze poszarzały, a szkliste oczy wpatrywały się w nas z niedowierzaniem.

– Znaleźliście ją? – zapytała łamiącym się głosem Magdalena Płotka.

– Tak podejrzewamy, proszę pani... – odparłem.

– Nie żyje, prawda?

– Bardzo mi przykro...

Pani Płotka zanosła się rozpaczliwym szlochem. Mąż mocno objął ją ramieniem, sam starał się trzymać emocje na wodzy. Z zaciśniętymi oczami bezgłośnie płakał. Przez chwilę trwalismy w bezruchu, czekając, aż oboje nieco się uspokoją.

– Gdzie jest moja córeczka? – zapytała pani Płotka, ocierając dłońmi twarz. Rozmazany tusz spływał po jej policzkach, tworząc na nich czarne smugi.

– Znalezione ciało kobiety w okolicach ulicy Truskawkowej w Czersku. Na razie nie możemy potwierdzić, że to z całą pewnością państwa córka, ale rysopis Emilii pasuje do osoby, którą dziś odnaleziono. Prawdopodobnie jutro możliwe będzie okazanie państwu rzeczy znalezionych przy zmarłej.

Pan Płotka wziął głęboki oddech.

– Rzeczy? – spytał niemal szeptem.

– Tak.

– Czy mogłabym się z nią pożegnać?

Jak powiedzieć rodzicom, że nie mogą zobaczyć po raz ostatni swojego dziecka, że nie mogą go po raz ostatni przytulić, bo ciało zgniło? Na to nie przygotowują cię żadne szkolenia.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Odnalezione ciało... leżało tam od dłuższego czasu...

– Rozumiem... Pojadę sam... – powiedział Łukasz Płotka.

– Czy wiadomo, co się stało? – zapytała szeptem Magdalena Płotka.

– Nie. Na razie nie. Zostanie wykonana sekcja. Powinna dać odpowiedź, co było przyczyną śmierci.

– Możliwe, że przedawkowała?

– Nie chcę spekulować. Nie można tego wykluczyć. Na pewno patomorfolog wykona wiele badań, w tym toksykologiczne. Na razie nie możemy powiedzieć nic więcej.

– Gdzie ją znaleźliście? – zapytała matka.

– Na niedokończonyj budowy przy Truskawkowej. W głębi lasku, za sklepem meblowym.

– Co ona tam robiła?

– Tego na razie nie wiemy. Miała w okolicy jakichś znajomych?

– Nie, Jakub mieszka na Słonecznej, Monika na Sienkiewicza, a Igor w Kaliskach.

– Jutro skontaktuje się z państwem któryś z policjantów prowadzących dochodzenie. Naprawdę bardzo nam przykro...

Małżonkowie obejmowali się, dodając sobie otuchy. Opuściliśmy ich mieszkanie, a potem w milczeniu pokonaliśmy drogę do Chojnic. Takie zakończenie służby i nas przytłoczyło. Mogłeś zachować profesjonalizm na interwencji, odnajdując ciało i myśląc o nim jak o czymś nierealnym, ale widząc rozpacz bliskich dowiadujących się o śmierci dziecka, ciężko jest się zdystansować.

# Gosia

Z nogą założoną na kolano siedziałam na kanapie wyłożonej puszystymi poduszkami. Karolina przyniosła mi gorącą, świeżo zaparzoną kawę. Rozmawiałyśmy ze sobą niemal codziennie, ale spotykałyśmy się średnio dwa, czasem cztery razy w miesiącu. Karolina była moją powierniczką i rozumiała mnie bez słów.

– Jak ci się układa w pracy? – zapytała, siadając po turecku obok mnie.

– Jest dobrze. Z grubsza ogarniam, a to, co sprawia mi kłopoty, omawiam z dziewczynami z zespołu. Ale jest lepiej, niż myślałam.

– A sprawy sercowe?

Roześmiałam się.

– Na razie głównie obracam się wśród skazanych. Znęcacze, ćpuny, nieroby to raczej marni kandydaci na męża. Jestem z tych wybrednych, więc poszukiwania kandydata do mojej ręki jeszcze potrważą. A u was jak?

– Planujemy wylecieć na krótkie wakacje. Tak na pięć, może siedem dni. Jeszcze nie wiemy dokąd. Może Egipt, może Turcja. Na razie szukam jakichś ciekawych ofert *last minute*. Czekam, aż trochę stanieją. Nie chcesz się wybrać z nami? Wyjazd dobrze by ci zrobił.

– Dzięki, ale krucho stoję z kasą, a rodziców nie chcę prosić o pomoc.

– Zosia samosia. Czasem byś mogła odpuścić.

– W wieku trzydziestu lat słabo prosić rodziców o pieniądze na wakacje. Wystarczy, że ich objadam.

– Czytałam na stronie Weekend fm, że znalazła się ta twoja poszukiwana podopieczna.

– Tak. Ale zbyt wiele nie wiem. Dziś po południu jadę do Czerska i odwiedzę jej rodziców. Są zrozpaczeni. Tak naprawdę to nawet nie wiem, jak z nimi rozmawiać... Nie wyobrażam sobie, jak muszą się czuć. Ich jedyne dziecko...

– W gazetach pisali, że ciało było w znacznym rozkładzie.

– Słyszałam tylko, że znaleźli ją na jakiejś opuszczonej budowie na peryferiach Czerska. Łukasz Płotka wspominał mi, że córkę zidentyfikował po ubraniu. By w stu procentach potwierdzić jej tożsamość, zostały wykonane badania DNA.

– A wiadomo, kto ją zamordował?

– Też słyszałam, że mogła zostać zabita, ale nie wiem, czy to prawda. Może to tylko plotki. Póki śledztwo trwa, niczego nie można wykluczyć, również tego, że się zaćpała.

Zadzwoił mój telefon. Dzwonili z Centrum Usług Społecznych w Czersku.

– Cześć, Gosiu. Dostałam cynk od jednej naszej klientki, że Czajkowska planuje dziś zabalować. To by się nawet zgadzało, bo dzisiaj wypłacane są zasiłki.

– Sprawdzę, ale nie wierzę, by to była prawda – powiedziałam sceptycznie. – Jakiś czas temu ktoś dzwonił do mnie z informacją, że u Czajkowskiej w mieszkaniu jest awantura. Postawiłam na nogi policję i sama też tam pojechałam, a okazało się, że nawet jej tam nie było.

Naprawdę byłam poirytowana tym, że robiono ze mnie głupka. Czasem anonimowe informacje były prawdziwe, ale często zdarzało się też, że to sąsiad złośliwie donosił na sąsiada tylko po to, by mu dokuczyć. Miałam wrażenie, że tu miałam do czynienia właśnie z taką sytuacją.

– To rozmawialiśmy chyba z tą samą osobą. Wspominała mi, że ostatnio do ciebie dzwoniła, ale nie wiedziała, czy tam pojechałaś – przyznała Dagmara. – Powiedziała, że kiedy do ciebie dzwoniła, z mieszkania Czajkowskiej dochodziły krzyki. Ja jej wierzę. W tajemnicy powiem ci, kto to jest, ale musisz przysiąc, że nigdy nigdzie jej nie opiszesz.

– Słowo. Nigdy nie zdradzam swoich źródeł.

– To Leokadia Lubecka.

Nie mogłam uwierzyć, że Dagmara, tak doświadczony pracownik socjalny, wierzy w donosy kobiety, która wymaga leczenia psychiatrycznego.

– Przecież to wariatka – powiedziałam poirytowana i czułam, jak z nerwów podnosi mi się ciśnienie.

– Może i wariatka, ale pewne rzeczy widzi.

– Również te, których nie ma! Łącznie z dzielnicowym, który ją podgląda? – prychnęłam.

– Gośka, ona ma manię prześladowczą i z tym trudno dyskutować, ale w sprawach, w których zagrożone jest dobro dzieci, zawsze jest bardzo czujna. Ona nie zawsze taka była. Kiedyś pracowała w banku. Była elegancką, bardzo zadbaną kobietą. Razem z mężem wychowywali syna. To była bardzo szanowana rodzina. Jej mąż zmarł na raka dwadzieścia lat temu, a krótko potem ich syn zginął w wypadku samochodowym. Wracał ze znajomymi z imprezy z Czarnej Wody. Zginął tylko on, u reszty skończyło się na złamaniach. Lubecka bardzo silnie to przeżyła. Załamała się i sfiksowała. Dlatego nie bądź dla niej taka surowa. Może to i dziwaczka, ale ogólnie nieszkodliwa.

– Ja raczej sceptycznie podchodzę do jej rewelacji. Mówiła ci coś jeszcze?

– Że podobno Patrycja związała się z takim młodym chłopakiem, który mieszka na tym samym piętrze. Podobno to nieciekawy element. Zdaniem Lubeckiej tych dwoje razem

imprezuje. Popijają, ale po mieście chodzą słuchy, że ćpają. Nic więcej nie wiem. Porozmawiaj z dzielnicowym. Może powie ci coś więcej. To co, wjedziesz tam?

– Dla własnego spokoju wjadę i dam ci znać, co ustaliłam.

Nie tak planowałam spędzać dzisiejszy wieczór, ale gdyby jednak okazało się to prawdą, a Wiktorowi coś by się stało, wyrzucałabym to sobie do końca życia.

– Jesteśmy umówione – powiedziała wyraźnie zadowolona Dagmara.

Odłożyłam telefon na stół i jednym haustem dopiłam kawę.

– Karo, przepraszam cię, ale muszę się zbierać.

– Tak myślałam... ale musisz mi obiecać, że w następną niedzielę wpadniecie do nas na obiad.

– Będę na pewno.

Chmknęłam ją na pożegnanie i po chwili wskoczyłam do mondeo.

W drodze do Czerska nie zamierzałam próżnować. W końcu to czterdzieści minut jazdy. Zadzwoiłam do dzielnicowego, by zasięgnąć języka o Czajkowskiej i jej sąsiedzie.

– Nie za wiele ci o niej powiem. Odwiedziłam ją raz po tamtej interwencji, ale nic mnie nie zaniepokoiło. W domu miała czysto, dzieciak zadbany. Nie było się do czego przyczepić.

– A znasz jej sąsiada? Tomasza lub Tomka Sawickiego?

– Nie, a co to za facet?

– Sama nie bardzo wiem. Widziałam go raz, jak pojechałam sprawdzić z policją tamto zgłoszenie. Koło trzydziestki, trochę wydziarany. Dostałam cynk, że to ćpun i chyba polubił się z Czajkowską. Podobno razem imprezują.

– Ech, to jeszcze o niczym nie świadczy. Ja faceta w każdym razie po nazwisku nie kojarzę. Mogę ci go sprawdzić w systemie, ale musisz mi podać jego pesel.



– Może jeszcze numer buta? Nie znam jego peselu, nawet daty urodzenia. U nas nie miał żadnej sprawy.

– Skąd ten sarkazm? – zapytał rozbawiony. – Chyba nie jesteś dziś w humorze. Niestety po imieniu i nazwisku nic nie znajdę. Sprawdzę po adresie, ale wtedy wyskoczą mi tylko informacje o tym, czy były tam interwencje, a skoro faceta nie kojarzę, to raczej ich tam nie było.

– Dobra, sprawdź cokolwiek.

Usłyszałam odgłos uderzania palców w klawiaturę.

– To chwilę potrwa.

– Spokojnie, poczekam, ile trzeba.

W ciszy oczekiwałam na jakieś sensacyjne wiadomości.

– Nic. – Usłyszałam. – Nie było żadnych interwencji. Jak będziesz miała jego pesel, prześwietlę go bardziej, a na razie nic więcej ci nie ustalę.

– Mimo wszystko dzięki.

No to lipa. Rewelacje Lubeckiej nie wniosły niczego nowego do sprawy. Uważałam, że jej historie są wyssane z palca i z rzeczywistością nie mają nic wspólnego. Jednak dla swojego świętego spokoju musiałam to sprawdzić.

Nim się spostrzegłam, przekraczałam granicę Czerska. Chociaż wcale do tej wizyty się nie paliłam, najpierw odwiedziłam rodziców Emilii Płotki. Nie miałam pojęcia, jak z nimi rozmawiać, ale wiedziałam, że spotkanie z nimi jest nieuniknione. Kiedy stałam przed drzwiami ich mieszkania, serce waliło mi jak młot. Wzięłam głęboki oddech, przydusiłam palcem przycisk i wsłuchiwałam się w brzęczący dźwięk dzwonka. Po chwili przywitała mnie zboląła twarz Magdaleny Płotki. Miała podkrążone oczy i bladożółtą cerę. Tłuste włosy opadały na jej szyję i czoło.

– Niech pani wejdzie. Może napije się pani kawy? – zapytała zachrypniętym głosem.

Niby od czasu mojej ostatniej wizyty nic w mieszkaniu się nie zmieniło, a jednak było inaczej. Panował zaduch, na meblach leżała cienka warstwa kurzu.

– Nie, proszę sobie nie robić kłopotu. Chciałam się tylko pożegnać i powiedzieć, że jeśli państwo czegoś by potrzebowali, to proszę śmiało mówić...

– Dlaczego pożegnać? – zapytał pan Płotka, patrząc na mnie przekrwionymi od płaczu oczami.

– Dozór został zakończony, więc...

– Rozumiem... No tak, Emilka umarła, więc sprawę zamknięto... Ale... Miałabym do pani pytanie... Pani Gosiu, nie chcę prosić pani o zbyt wiele, ale... Teraz już wiadomo, Emilka nie żyje, policja na razie nie ustaliła, co jej się stało... Nie sądzę, by to szybko się zmieniło. Wiem, że o dużo proszę, ale czy mogłaby pani... spróbować porozmawiać jeszcze raz z jej kolegami? Nam nie za dużo chcą mówić... Może nie chcą nam sprawić przykrości... Może próbują ją kryć.

Byłam zaskoczona tą prośbą. Nie bardzo wiedziałam, jak na nią zareagować.

– Nie wiem, czy takim działaniem nie zaszkodzę prowadzonemu śledztwu.

– Nie sądzę. Widzi pani, minęło już kilka dni, a sprawa nie posunęła się o ani milimetr do przodu. Najgorsze jest to, że nadal nie możemy jej pochować. Cały czas czekamy na sekcję zwłok. Podobno ma odbyć się w tym tygodniu.

– Może gdyby policja nie była taka opieszala, Emilka by żyła... Przecież nie kwapili się do jej szukania. Od początku przyjęli, że jest dorosła, w przeszłości związana z narkotykami, karana, więc nie za bardzo przejęli się jej zniknięciem. Gdyby nie byli takimi ignorantami, może teraz siedziałyby tu z nami... – powiedział ojciec dziewczyny, a oczy jego żony wypełniły się łzami.

– Na razie trudno nam to wszystko zrozumieć. Może kiedy dowiemy się, co się stało, jaka była przyczyna jej śmierci... Odnajdziemy jakieś ukojenie... Teraz czujemy się zdruzgotani – stwierdziła Magdalena Płotka, sięgając po paczkę chusteczek leżących na stole.

– Mąż chodzi do pracy, bo nie może sobie znaleźć miejsca w domu, ale ja jestem na zwolnieniu. Jestem kłębkim nerwów. Lekarz przepisał mi coś na uspokojenie, bo sama ze sobą nie mogę wytrzymać – wyszeptala Magdalena Płotka, zaciskając chusteczkę w dłoniach. – Nie wiem, ile jeszcze zniosę...

– Coś wiadomo na temat okoliczności jej śmierci? – zapytałam.

– Niewiele, ale pewne dowody mogą świadczyć, że została zamordowana. Policjanci nie chcieli za dużo mówić, byli bardzo oszczędni w słowach. Na razie zasłaniają się dobrem śledztwa.

\*\*\*

Wizyta u Płotków wyczerpała mnie psychicznie. Samo patrzeć na ich cierpienie było dla mnie bolesne. A ten dzień jeszcze się nie skończył. Zrobiłam trzy wywiady: w Złym Mięsie, Odrach i Będzimerowicach. Jedno szczęście, że wszystkich zastałam. Teraz został mi ostatni punkt programu – wizyta u Patrycji Czajkowskiej.

Wdrapałam się na drugie piętro kamienicy i nasłuchiwałam. Zerknęłam na zegarek: dziewiętnasta czterdzieści. Z mieszkania dozorowanej nie dochodziły żadne dźwięki. Za to w mieszkaniu obok impreza trwała w najlepsze. Słyszać było muzykę, radosne piski, śmiech. Zapukałam do mieszkania Czajkowskiej. Nadal cichutko. Wyciągnęłam telefon z torebki i wybrałam jej numer. Usłyszałam dzwonek telefonu dobiegający z jej mieszkania, więc nie mogła odejść daleko. Może była w łazience. Odczekałam kolejne dziesięć minut i znów zapukałam do drzwi. Kiedy nikt ich

nie otworzył, ponownie wybrałam jej numer. Tym razem prócz telefonu usłyszałam płacz dziecka. Zaczęłam odczuwać niepokój... Skoro dziecko było w mieszkaniu, teoretycznie pani Czajkowska też powinna w nim być... A jeśli zasłabła? Zaczęłam pukać bardziej natarczywie. Bez efektu, a płacz dziecka nie ustawał. Miałam wrażenie, że z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy. Nie widząc innego wyjścia, nacisnęłam kłamkę i drzwi się otworzyły. Przez chwilę się wahałam, czy wejść do środka, ale słysząc przeraźliwy krzyk Wiktora, podbiegłam do łóżeczka i go wyjęłam. Przytuliłam zanoszącego się płaczem chłopca, odnalazłam leżący na materacu smoczek i włożyłam mu go do ust. Kiedy delikatnie, rytmicznie go bujałam, zaczął się uspakajać. Od intensywnego płaczu miał spoconą główkę, a mokre delikatnie włosy przykleiły mu się do czoła.

– Pani Patrycjo! Jest pani tutaj?! – nawoływałam, ale nikt nie odpowiadał.

Z niemowlęciem na rękach przeszłam do drugiego pokoju. Panował w nim bałagan, na podłodze leżały porozrzucone ubrania. Przeszłam do łazienki, ale w niej również nie znalazłam Czajkowskiej.

– Pani Patrycjo!

Wchodziłam do kuchni, kiedy w drzwiach wejściowych pojawiła się Czajkowska. Zmroziła mnie wzrokiem.

– Co pani tu robi?! – zapytała oburzona.

Zmieszałam się. W końcu weszłam do mieszkania pod jej nieobecność.

– Przepraszam... Weszłam, bo przez dłuższą chwilę słyszałam płacz dziecka. Dzwoniłam..., ale pani nie odbierała. Przestraszyłam się, że coś się stało i weszłam.

– Byłam u sąsiadki u góry! – wykrzyknęła oburzona Czajkowska.

Miała na sobie poplamiony rozciągnięty dres i znoszone szare adidas.

– Trochę to trwało. Nie powinna pani zostawiać dziecka samego na tak długo – powiedziałam spokojnie, choć stanowczo.

Byłam przekonana, że Czajkowska nieco się uspokoi i przyzna mi rację. Nawet nie wiedziałam, w jakim byłam błędzie.

– Zagadałam się – odburknęła. – Nie było mnie z pięć minut, niech pani nie dramatyzuje. Przecież małemu nic się nie stało! Jak wychodziłam, to spał – mówiła wzburzonym tonem. – Pewnie go pani obudziła, dobijając się do mieszkania. Gdyby nie hałas, co go pani narobiła, to spałby jeszcze z godzinę.

Czajkowska jasno dawała mi do zrozumienia, że jest wściekła. Patrzyła na mnie szklistymi, zaczerwienionymi oczami. Nic sobie nie robiła z moich uwag, wręcz ją irytowały. Nie uważała, że zrobiła coś niewłaściwego.

– Pani Patrycjo, to nie było pięć minut! Stałam pod pani mieszkaniem ze dwadzieścia – powiedziałam z wyrzutem. – To było nieodpowiedzialne.

– Może mi pani go oddać? – zapytała poirytowana, ponagłając mnie wzrokiem.

Stała przy mnie z wyciągniętymi rękami w oczekiwaniu, aż przekazę jej dziecko.

Maluch przysnął mi na rękach, więc delikatnie przekazałam go matce, a ta odniosła go do łóżeczka. Odwróciła się w moją stronę i oparła ręce na biodrach.

– Czy czegoś jeszcze pani chce? – Jej ton był obcesowy.

– Nie, przyjechałam tylko sprawdzić, co u pani.

– No chyba widzi pani, że dobrze – mówiła z sarkazmem. – A jeśli to wszystko, to pozwoli pani, że zajmę się dzieckiem. Jest pora kąpieli i karmienia. Muszę sobie wszystko przygotować, zanim Wiktor się obudzi.

Czajkowska spojrzała na mnie wymownie. Ewidentnie dała mi do zrozumienia, że mam wyjść. Nie mając nic więcej do powiedzenia, pożegnałam się i wyszłam. Czułam się zawstydzona i skonsternowana. Pierwszy raz ktoś tak wrogo mnie potraktował. Rozumiem, że weszłam do jej mieszkania bez zaproszenia, ale jej złość była nieadekwatna do sytuacji. Może w słowach Lubeckiej kryła się jednak prawda...?

# Patron

Niezapominajka03: Cześć ;)

Patron: Cześć :) Nie odpisywałaś ostatnio.

Niezapominajka03: Byłam trochę zajęta... Starzy suszyli mi głowę, bo ostatnio dostałam kilka pałek. Kontrolowali każde wyjście. Nie mam tak dobrze jak Ty, że nikomu nie muszę się tłumaczyć.

Patron: To kiepsko... ale się im nie dziwię... Też bym Cię gonił do nauki... najchętniej pasem ;)

Niezapominajka03: Nooo... Nie wątpię ;D Może uda mi się wyrwać na trzy godziny w czwartek. Co Ty na to?

Patron: Tym razem ja nie mogę. Zgadamy się w innym terminie.

Niezapominajka03: Mam nadzieję, że nie każesz mi zbyt długo czekać.

Patron: Bez obaw ;)

Niezapominajka03: Skoro inaczej się nie da... Daj znać, jak znajdziesz dla mnie chwilkę, buziaczki :\*

Patron: Buziaczki :\* A na pocieszenie poproszę zdjęcie Twoich pięknych sterczących cycuszków ;)

# Robert

Od rana koczowaliśmy na komisariacie w Czersku. Maciej siedział naprzeciwko mnie i pochłaniał trzecią kanapkę, a ja uzupełniałem dokumentację z ostatnich interwencji. Zaległa papierkowa robota sama się nie robi, a zaległości rosły. Ciągłe czekałem na przeniesienie do kryminalnego, ale na razie nic tego nie zapowiadało. Czekałem cierpliwie, ale zacząłem rozważać przeniesienie się do Inowrocławia. Od znajomego, który pracował w tamtejszej dochodzeniówce, dowiedziałem się, że są u nich trzy wakaty. W Chojnicach nic prócz kredytu mnie nie trzymało, więc sprawa była do rozważenia.

Rozdzwonił się stojący na biurku telefon. Odebrałem po trzech sygnałach. By mieć wolne ręce do pieczętowania i podpisywania raportów, położyłem słuchawkę na barku, dociskając ją uchem.

– Słucham?

– Gruby. – Usłyszałem zachrypnięty głos dyżurnego. – Podobno nawiązałeś dobre relacje z panią Lubecką. – Roześmiał się. – Dzwoni i prosi o rozmowę z tobą. Przełączam.

Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, usłyszałem zniecierpliwioną Leokadię Lubecką.

– Halo, jest tam ktoś? No, halo? Ile można czekać?

– Dzień dobry, pani Leokadio. – Wymownie spojrzałem na Macieja. – W czym mogę pomóc?

– Przy śmietniku stoi mężczyzna i się onanizuje.

– Przy jakim śmietniku?



– Przy mojej kamienicy na Starogardzkiej czternaście w Czersku, za betonowym śmietnikiem. Widzę go teraz z okna. Stoi ze spuszczoneymi spodniami i się rozgląda.

Spojrzałem na Macieja, gestem dałem mu znać, że wychodzimy.

– Już jedziemy – rzuciłem w słuchawkę i się rozłączyłem.

– Umówiłeś się na randkę z Lubecką? – zapytał Maciej, narzucając na siebie kurtkę.

– Zbieraj się szybko, może uda się dopaść tego ekshibicjonistę ze Starogardzkiej, zanim znów przepadnie.

W pośpiechu wybiegliśmy z komisariatu i radiowozem dotarliśmy na miejsce w dwie minuty. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy złapać tego zbrojeńca. Podejrzywałem, że to ten sam facet, który obnażał się w kamienicy przy Starogardzkiej dwadzieścia osiem. To nie mógł być przypadek.

Wspominany przez Lubecką śmietnik był z trzech stron otoczony betonowym murem. W środku znajdowało się kilka wielkich kontenerów. Nie widzieliśmy, czy facet jeszcze tam jest, ale nie chcąc go spłoszyć, powoli weszliśmy do środka i się rozdzieliliśmy. Chcieliśmy zapędzić go w kozi róg... Po obejściu wkoło śmietnika okazało się, że już go tam nie ma. Najwidoczniej zdążył uciec, nim przybyliśmy.

– Co robimy? – zapytał Maciej.

– Idziemy do Lubeckiej. Mówiła, że go widziała, więc może będzie potrafiła go nam opisać.

– Pamiętasz, że ona nie ma po kolei w głowie? – Maciej spojrzał na mnie z politowaniem.

– Pamiętam, ale trzeba to sprawdzić. Tym bardziej że to drugie takie zgłoszenie w ostatnich kilku tygodniach. Uważam, że to może być ten sam facet. Tamta dziewczynka widziała ekshibicjonistę też przy Starogardzkiej, raptem parę domów stąd.

– Dobra, chyba masz rację – przyznał niechętnie Wrona. – Sprawdźmy to, bo jak kolejny raz nawalimy, Żuchowicz nam łeb

upierdoli.

Stara kamienica z czerwonej cegły wymagała generalnego remontu. Stanęliśmy na pierwszym piętrze przed drzwiami mieszkania Lubeckiej. Otworzyła drzwi, nim jeszcze do nich zapukałem. Czekala zniecierpliwiona i bez słowa poprowadziła do okna wychodzącego na śmietnik pozbawiony dachu. Stąd widziała wszystko jak na dłoni.

– Tam stał. Tam. – Wskazała palcem. – Za tym drugim zielonym kontenerem. Miał spuszczone do kolan spodnie i się zadowalał. A potem uciekł w kierunku byłej restauracji Pomorzanka i tyle zem go widziała.

– Widywała go pani wcześniej? To mógł być miejscowy? – zapytałem, wyglądając przez okno i rozglądając się po okolicy.

Gęsto usytuowane budynki i ciasne podwórka ułatwiały szybką ucieczkę.

– Nie. Nigdy wcześniej go tu nie widziałam. W ogóle faceta nie kojarzę. Nie sądzę, by był stąd.

– A jak wyglądał?

– Miał czarną bluzę z kapturem. Kaptur miał założony na głowę. A spodnie takie zielone, szare... Jakoś tak... Ale mogę go wam pokazać.

– Ale jak? – zapytał Maciej, skrupulatnie spisując w notatniku zebrane informacje.

– Zrobiłam mu zdjęcie. Nie za bardzo znam się na tych nowych komórkach, ale chyba mi się udało. Nie jest zbyt wyraźne, ale co nieco widać. Zaraz przyniosę telefon.

Leokadia Lubecka wyszła do kuchni i po chwili wróciła ze swoim telefonem – samsungiem SGH X600. Produkowali takie prawie dwadzieścia lat temu. Aż nie chciało mi się wierzyć, by tym antykiem udało się zrobić zdjęcie. Lubecka otworzyła galerię i pokazała nam dwa ostatnie zdjęcia. Były dość niewyraźne, ale widać było na nich mężczyznę w czarnej bluzie, z kapturem

nałożonym na głowę i w wojskowych spodniach. Wziąłem telefon do ręki i dokładnie przyjrzałem się postaci na zdjęciu.

– Widzisz to? – zapytałem Macieja. – Pasuje do rysopisu tego gościa ze Starogardzkiej dwadzieścia osiem. To musi być ta sama osoba. To nie może być zbieg okoliczności – stwierdziłem.

– Pani Leokadio, jeśli ponownie gdzieś go pani zobaczy, proszę od razu do nas dzwonić.

\*\*\*

Kiedy w tureckim kebabie załatwiałem nam szybką kolację, Maciej czekał na mnie w radiowozie. Byłem przekonany, że od ciągłego żarcia tych śmieci jeszcze przed czterdziestką dostanę zawału albo roztyję się jak Wrona. Na razie trzymałem formę, ale nic nie było dane na zawsze.

– Co tak długo? – zapytał Maciej, kiedy wręczałem mu podwójnego hamburgera z serem.

– Kasa się zacięła.

– Musimy się śpieszyć, bo pod „ośrodkiem dla bestii” jest niezła rozróżba. Ściągają tam wszystkie jednostki. Nas też tam skierowano.

– No to zapowiada się grubo – skwitowałem, odpalając radiowóz i włączając koguty.

– Zameldowałem, że będziemy tam za pięć minut. A od tego czasu minęły już cztery, więc gaz do dechy.

Ulice Czerska były opustoszałe, za to pod „ośrodkiem dla bestii” szalał rozwścieczony tłum. Jak żyję, czegoś takiego nie widziałem. Ludzie kłębili się na całej szerokości ulicy. Krzyczeli: „Won z Czerska”, „Won ze świrami”, „Czorsk wolny od bestii”. Gęsty dym z rac unosił się nad tłumem. Jakiś facet rzucił koktajl Mołotowa w kierunku budynku. Płonąca butelka z benzyną spadła na podjazd i rozbijając się, rozprysła na kilkadziesiąt kawałków.

W okolicy ośrodka i pobliskiego dworca podjeżdżały kolejne radiowozy pełne policjantów. Trzeba było zapanować nad tłumem, póki nie wdarli się na teren ośrodka. Wysiedliśmy z samochodu i wraz z innymi policjantami staraliśmy się kordonem odsunąć od budynku szalejący tłum. Naprzeciwko mnie stał mężczyzna i wykrzykiwał mi w twarz:

– Od czego wy tu jesteście?! Kogo bronicie? Tych zboczonych świrów?! To nie ludzie! To zwierzęta! Wpuście tam nas, zaraz zrobimy porządek!

Stojąca obok młoda kobieta mu wtórowała:

– Wy pieprzone świnie! Macie krew na rękach. To na pewno jakiś zboczeniec stąd uciekł i zabił tę biedną dziewczynę, a wy, zamiast zrobić porządek z tymi degeneratami, to ich bronicie! Kanalie! Kogo chronicie?!

– Nikt stamtąd nie uciekł, proszę się uspokoić! – przekrzykiwałem.

– To niby kto zamordował tę nastolatkę? Została zabita przez któregoś z tych psycholi! Nikt normalny tego nie robi!

– Proszę pani, proszę się uspokoić!

– Dopóki nie ściągnięto tych świrów, było tu spokojnie. Wiedziałem, że tak będzie! Wiedziałem, że otwarcie ośrodka do niczego dobrego nie doprowadzi. Burmistrz na pewno wziął za to grubą kasę i ma to w dupie! – wrzeszczał facet.

Na nic zdawały się tłumaczenia, bo ci ludzie nie zamierzali nas słuchać. Mieli swoje zdanie i nic nie było w stanie tego zmienić. Tłum coraz bardziej na nas napierał. Robiło się groźnie. W oddali zawyła syrena strażacka.

– Proszę się rozejść! – Usłyszeliśmy tubalny głos Darka Żuchowicza, komendanta tutejszego komisariatu. Stał na wyciągniętej drabinie wozu strażackiego i próbował przekrzyczeć wzburzonych ludzi.

Kiedy zebrani nie zareagowali, ponownie zawyła syrena.

– Proszę się rozejść! Natychmiast! – mówił zdecydowanym tonem przez megafon. – Nie chcemy używać wobec was siły. Rozejdźcie się do domu! Nikt z tego ośrodka nie uciekł. Sprawdziliśmy to przed chwilą. Osobiście ręczę za to swoim stanowiskiem! Proszę się rozejść, bo w przeciwnym razie zostaną użyte armatki wodne, a awanturujący się zostaną zatrzymani! Nie będę więcej ostrzegać!

Ludzie spojrzeli na siebie skonsternowani, ucichły krzyki, dogasały pojedyncze czerwone race, ale nadal nie ruszyli się z miejsca.

– Proszę... idźcie do domu – powiedział spokojnie komendant. – Pozwólcie nam działać! Wasza obecność tutaj nam nie pomaga. Policjanci zamiast pracować przy śledztwie dotyczącym Emilii, zajmują się wami. Tego chcecie?! – zapytał retorycznie. – Mnie też zależy na tym, by znaleźć sprawcę i wymierzyć mu sprawiedliwość... Wracajcie do domu i pozwólcie nam pracować...

Ku mojemu zdziwieniu tłum powoli zaczął się rozchodzić. Jedyne pojedyncze osoby nawoływały do ataku na ośrodek, jednak i one po chwili dały za wygraną. Po tłumie zebranych pozostały jedynie śmieci oraz resztki transparentów przesuwane po chodniku przez wiatr. Ta nagła cisza była niesamowicie wymowna. Czersk to niewielkie miasteczko. Tu każdy każdego zna. Tragedia związana ze śmiercią Emilii nie dotknęła jedynie jej najbliższej rodziny, ale każdego mieszkańca Czerska. Ci ludzie mieszkali tu od pokoleń, byli ze sobą silnie związani. Nawet jak toczyli ze sobą batalie sądowe o metr ziemi rolnej, to i tak łączyły ich wspólne doświadczenia albo doświadczenia przodków. Nigdy wcześniej nie zdarzyła się tutaj tak tragiczna śmierć młodego człowieka. Nigdy wcześniej nie doszło do zbrodni, która zburzyła spokój lokalnej społeczności. Zasiano ziarno niepewności... i dopóki przyczyny i okoliczności śmierci Emilii nie zostaną wyjaśnione, dopóty ziarno będzie kiełkować.

# Patron

Niezapominajka03: Ostatnio nie masz dla mnie czasu. Coś się stało?  
Już ci się nie podobam?

Patron: Przepraszam, Złotko... Oczywiście, że mi się podobasz. Jesteś przepiękna, masz cudowne, delikatne ciało, ale od dwóch tygodni jestem w delegacji. Obiecuję, że jak wrócę, od razu się spotkamy.

Niezapominajka03: A może masz już inną?

Patron: Tym się nie martw... Jesteś moją jedyną muzą :)

Niezapominajka03: No nie wiem, czy Ci wierzyć ;)

Patron: Nie masz wyboru ;)

Niezapominajka03: Będziesz musiał mi wynagrodzić tak długą rozłąkę...

Patron: Dla Ciebie wszystko.

Niezapominajka03: Masz na coś ochotę?

Patron: Jeśli chciałabyś podesłać mi jakieś swoje zdjęcie, to się nie krępuj ;) Uwielbiam na Ciebie patrzeć.

# Gosia

Siedząc w biurze, przeglądałam akta nowego dozorowanego z mojego rejonu, którego skazano za liczne kradzieże w sklepach monopolowych. Alkoholik i kryminalista. Moje ulubione połączenie. Na pewno znajdziemy wspólny język.

– Kto tu był przed chwilą? – zapytała, wchodząc do pokoju, krzywiąca się Malwina.

– Zygmunt Stanisławski, ten bezdomny z Czerska.

– Chryste, wywietrz tu trochę. Śmierdzi moczem i alkoholem. Zaraz zwymiotuję.

Wstałam, podniosłam roletę i otworzyłam okno po drugiej stronie biura. Wychodziło wprost na Bazylikę Mniejszą.

– Słyszałam, że twoja nieleta się znalazła – powiedziałam.

– Twoja też, ale miała mniej szczęścia niż Oliwia.

– Nie takiego finału oczekiwałam... – przyznałam gorzko.

– Przykra sprawa. Ciekawe, kto ją zabił... Nawet nie chcę sobie wyobrazić, że mógłby to zrobić któryś z naszych podopiecznych. Ale przychodzę w innej sprawie. – Malwina zebrała proste miedzianorude włosy w koński ogon i spojrzała na mnie zielonymi oczami, które dodatkowo podkreślała zielona sukienka. – Rozmawiałam dziś z dziewczynami z Centrum Usług Społecznych w Czersku. Pytały, czy planujesz odwiedziny u Czajkowskiej?

– Chciałam ją odwiedzić w przyszłym tygodniu. A czemu pytasz? Znów dostały cynk, że wieczorem będzie się coś działo? – prychnęłam kpiąco.

Przytaknęła, siadając na parapecie. Odwróciłam się w jej kierunku i podwinęłam rękawy swetra. Ostre słońce wpadające do pokoju grzało mnie w twarz.

– Rany, niech wyślą tam policję. Po dwóch fałszywych alarmach czuję się jak jej stalkerka.

– Dziewczyny były u niej dziś przed południem. Niby wszystko było jak trzeba, ale była jakaś niespokojna, taka rozedrgana. Proponowały jej wsparcie asystenta, ale kategorycznie odmówiła. Na razie nic więcej nie mogą zrobić.

– To teoretycznie powinien być prosty dozór, bez zbędnych komplikacji, a ciągle coś się dzieje. Mnie też coś w tej babce nie pasuje. Jest śliska, ale niczym konkretnym nie podpadła. Dagmara z CUS-u też do mnie ostatnio wydzwaniała, sygnalizując, że Czajkowska imprezuje z podejrzanym towarzystwem. Zamiast ciągle mnie na nią nasyłać, powinna pogadać z dzielnicowym. Niech też jej się przyjrzy.

\*\*\*

Wpadłam jak burza na komisariat w Czersku. Liczyłam, że wyciągnę jakieś informacje od Darka Żuchowicza. Miałam świadomość, że obejmuje go tajemnica śledztwa, ale przez wzgląd na starą znajomość powinien mi coś powiedzieć na temat okoliczności śmierci Emilii Płotki. Już powstawały niestworzone historie na temat tego, jak zginęła. Sama nie wiedziałam, w co wierzyć.

Weszłam do sekretariatu.

– Szefer u siebie? – zapytałam.

– Tak, ale jest zajęty. Musisz chwilę poczekać – powiedziała wieloletnia sekretarka komendanta komisariatu.

– Jasne.



Po niespełna dwóch minutach z gabinetu Żuchowicza wyszedł Robert Grubicki. Minę miał nietęgą.

– Dzień dobry – rzucił tylko w moją stronę i wyszedł z sekretariatu, nim zdążyłam mu odpowiedzieć.

Co za bufon, pomyślałam.

– Dzień dobry... – odpowiedziałam sama sobie.

Sekretarka spojrzała na mnie i przewróciła oczami.

– Od kilku dni mamy tu niezły sajgon – powiedziała przepraszająco, choć to nie ona potraktowała mnie lekceważąco.

Zerknęła do biura szefa i dała mi znać, że mogę wejść. Mimo wszystko kurtuazyjnie zapukałam w futrynę drzwi. Darek podniósł na mnie wzrok. Oczy miał zapadnięte, podkrążone. Zmęczenie biło z jego twarzy. Chyba nie spał od kilku nocy.

– Wejdz – powiedział zrezygnowany. – I zamknij drzwi.

Zrobiłam, o co prosił, i rozsiadłam się na krześle naprzeciwko niego.

– Ja tylko na chwilę... Po tym, jak wyglądasz, wnioskuję, że macie masę roboty.

– Daj spokój. Ludzi do roboty nie mam, ciągle podbieram z innych jednostek, a tu same kwiatki wychodzą. Sprawa Emilii Płotki pochłania moją całą uwagę. Ludzie są wzburzeni i przestraszeni. Tworzą już takie scenariusze, że na ich podstawie można by nakręcić niezły horror. – Westchnął zmęczony.

– Ja właśnie w tej sprawie – przyznałam.

– Na razie nie mamy żadnych konkretów. Czekamy na wyniki sekcji. Na ten moment nie wiadomo, czy do jej śmierci przyczyniły się osoby trzecie, ale z całą pewnością ktoś próbował ukryć jej ciało, bo sama gruzem się nie przykryła.

– Czyli raczej ktoś ją zamordował.

– To najbardziej prawdopodobne. Ciało jest w znacznym stopniu rozkładu. Nawet trudno było ją rozpoznać. Łukasz Płotka zidentyfikował córkę po ubraniu i znalezionych przy niej rzeczach.

Nadal nie mamy jej telefonu ani portfela, a to trochę dziwne. Nastolatki są patologicznie związane ze swoimi komórkami, więc uważamy, że ktoś musiał ją zabrać. – Spojrzał na mnie znad rozrzuconych na biurku papierów. – Widziałem się z Weroniką Buławą, podobno rozmawiałaś z jej uczniami.

– Tak, ale tak niezobowiązująco. Było to jeszcze przed znalezieniem ciała Emilii. Zamieniłam z nimi raptem kilka zdań...

– Masz jakieś wnioski?

– Raczej niewnoszące nic do sprawy... Wszyscy byli bardzo przejęci zaginięciem Emilii. Najbardziej dotknęło to jej chłopaka i dwójkę przyjaciół z jej klasy.

– Szczerze ci powiem, obstawiałem ucieczkę. Teraz, kiedy się okazało, że Emilia nie żyje, śledztwo będzie bardzo drobiazgowo prowadzone. Na pewno przesłuchani zostaną wszyscy z jej najbliższego otoczenia. Sam jestem ciekaw, co z tego wyjdzie. Trochę sobie wyrzucam, że wcześniej nie przetrząsnęliśmy okolicy, ale sama wiesz...

– Sprawdziliście jej chłopaka? – zapytałam. – To on widział ją jako ostatni. Był pierwszą osobą, którą podejrzewałam, kiedy dowiedziałam się o śmierci Emilii.

– Jak zgłoszono jej zaginięcie, przejrzelśmy monitoring i ustaliliśmy, że Nadolny rzeczywiście odprowadzał ją do domu koło dwudziestej trzeciej. By śledztwo mogło ruszyć dalej, musimy poznać przyczynę i okoliczności śmierci, więc na razie wszystko stoi w miejscu.

– Jeśli będę mogła w czymś pomóc, daj znać.

– Jasne, ale teraz sprawę przejęły Chojnice. Może wezwą cię na przesłuchanie. A! Jeszcze jedno. Ale to tylko do twojej wiadomości...

Skinęłam głową.

– W okolicy kręci się jakiś zboczeniec, na ten moment nie wiem, czy to on odpowiada za to, co stało się z młodą Płotkową, ale bądź

ostrożna i nie łaż po melinach nocami – powiedział z troską Żuchowicz, po czym wysunął z biurka szufladę w poszukiwaniu zapalniczki i papierosów.

– Tak jest! – zsalutowałam. – A ty zadbaj o siebie, bo ta robota cię wykończy.

– O mnie się nie martw, złego licha nie bierze – stwierdził, wkładając papierosa do ust.

By móc spokojnie spać, postanowiłam jednak sprawdzić, jak sobie radzi Czajkowska. Pojechałam do niej niezapowiedziana i dyskretnie zajrzałam do wszystkich pomieszczeń. Nie zauważyłam żadnych śladów imprez mających odbywać się w tym mieszkaniu.

– Jak tam, pani Patrycyjo? – zapytałam, kiedy siedząc w kuchni, obserwowałam, jak wyciera umyte garnki.

– Ano w porządku. Bez zmian. Poczekaj pani, bo Wiktor się obudził. Tylko do niego pójde.

Z pokoju dobiegło ciche postękiwanie. Korzystając z okazji, że Czajkowska wyszła, zajrzałam pod zlew i rzuciłam okiem na zawartość śmietnika. Nie było tam niczego niepokojącego: pusta puszka po mleku modyfikowanym, zużyte pampersy, obrębki po ziemniakach, skorupki jajek. Kiedy Patrycja weszła ponownie do kuchni, siedziałam jak gdyby nigdy nic.

– Podobno proponowali pani asystenta?

– Pani, ale po co mi on? Czy ja sobie z czymś nie radzę? Sama pani widzi, że ogarnięte w domu mam, dzieciak też zadbany, to nie wiem, po co ma tu ktoś przychodzić. Posiedzieć i kawę wypić? Ja nie mam na to czasu.

– Mógłby pani pomóc w załatwieniu różnych formalności, dać wskazówki związane z opieką nad dzieckiem.

Czajkowska spojrzała na mnie z politowaniem.

– Ja się wczoraj nie urodziłam i szpiegów nie potrzebuję. Jak czegoś nie wiem, to idę do socjalnych albo dzwonię do pani. Na

razie nie widzę potrzeby goszczenia kolejnych osób w domu – powiedziała stanowczo, zakładając przy tym ręce na piersi.

– To tylko luźna propozycja, jak zmieni pani zdanie, proszę mnie poinformować – dodałam pojednawczo. W końcu do niczego nie mogłam jej zmusić.

Patrycja przetarła wilgotną ścierką blat stołu i usiadła naprzeciwko mnie. Widząc, że się irytuje, zmieniłam temat.

– Jak pani relacje z siostrą? Widziałyście się ostatnio?

– Jaką siostrą? – zapytała zdezorientowana.

Zdziwiłam się jej zaskoczeniem, przecież niedawno trajkotała o niej jak najęta. Czyżby znowu się posprzeczały?

– Tą z Bydgoszczy.

– A! Tą! Dobrze, dobrze – powiedziała pośpiesznie. – Dzwonimy do siebie czasem.

– Wspominała pani ostatnio o chrzcinach.

– Tak? A, no tak, ale wie pani, takie imprezy kosztują. Trochę zaoszczędzę i wtedy je zrobimy. Na razie odpuściłam. Muszę odłożyć trochę kasy na czarną godzinę, bo teraz nie jestem w stanie zrobić żadnych oszczędności. Wszystko na bieżąco wydaję. Pampersy i mleko pochłaniają większość kasy. Widziała pani, ile teraz wszystko kosztuje?

# Robert

Od kilku dni nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Sen z powiek spędzała mi informacja, że Hania za niespełna miesiąc bierze ślub ze swoim obecnym facetem, ojcem jej dziecka... Teoretycznie nie powinno mnie to obchodzić, w końcu każde z nas poszło w swoją stronę. Aczkolwiek tak naprawdę tylko jedno z nas ruszyło do przodu, ja nadal tkwiłem w miejscu, rozgrzebując stare rany. Chociaż naprawdę się starałem, wciąż myślałem o niej i o życiu, które utraciłem...

Za chwilę zaczynałem służbę, więc powinienem skupić się na pracy. Zapinałem guziki koszuli, kiedy do szatni Komendy Powiatowej Policji w Chojnicach wszedł Maciej. Przyjrzał mi się uważnie.

– Coś się stało? Marnie wyglądasz – powiedział z troską.

– Nie, wszystko dobrze, po prostu gorzej spałem.

– Czyżbyś zabalował? – Maciej puścił do mnie oko.

– Tak jakby – odparłem z uśmiechem. Nie chciałem mu się zwierzać, bo byłby gotów pomyśleć, że mam na punkcie Hanki obsesję.

– Mamy natychmiast stawić się u komendanta. – Wrona podszedł do lustra zawieszzonego przy wejściu i poprawił sterczące na czubku włosy. – Podobno nie jest w najlepszym nastroju. Zrypał już połowę komendy – powiedział przejęty. – Mamy przyjść obaj. Nie zwiastuje to niczego dobrego.

– Więc albo będzie opierdół, albo awans.

– Na to drugie wcale bym się nie nastawiał. Adamowski raczej nie jest skory do pochwał, a i niczym ostatnio nie zabłysnęliśmy, więc... Jak mnie wrzuci na piesze patrole, zwalniam się i zatrudniam w Biedrze w ochronie.

– Nie marudź jak panienka, Maciuś, tylko chodź. Miejsmy to z głowy.

Przechodząc do biura zajmowanego przez Marcina Adamowskiego, nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem. Sam zastanawiałem się, co się stało, że szef nas wzywa. Obawiałem się, że może mieć to związek z Żuchowiczem, z którym ostatnio mieliśmy na pieńku. Zapukałem do drzwi i weszliśmy do gabinetu. Staaliśmy niemal na baczność, a Adamowski spojrzał na nas obojętnym wzrokiem.

– Panowie... Mam dla was wieści, powinniście się ucieszyć. Dostaliśmy dwa etaty do kryminalnego. Zaczynacie tam pracę od dzisiaj. Nie mam ludzi do roboty, a ostatnio dużo się dzieje. Podobno grzebaliście już przy sprawie Emilii Płotki, więc jesteście w temacie. Chcę, byście się tym zajęli!

Spojrzałem na niego zdumiony. Nie mogłem w to uwierzyć. Aż mnie zatkało. Kompletnie się tego nie spodziewałem.

– To wszystko – powiedział beznamiętnym tonem. – Zgłoście się do naczelnika i do roboty.

Marcin Adamowski podszedł do szafy koło biurka i wyciągnął z niej jakieś akta, dając nam do zrozumienia, że rozmowę uznał za zakończoną.

– Dziękuję – wydusił z siebie Maciej.

On również nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Komendant skinął głową i zajął się przeglądaniem dokumentów, ale widząc, że nie ruszamy się z miejsca, uniósł wzrok i spojrzał na nas gniewnie.

– Co tak stoicie jak barany?! Do roboty! – powiedział zdecydowanym tonem. – Już was tu nie ma.

– Tak jest, szefie! – powiedzieliśmy chórem i wyszliśmy z jego gabinetu.

Tego się nie spodziewaliśmy. W końcu coś zaczęło się układać. Obaj z Maciejem bardzo długo staraliśmy się o przeniesienie, ale ostatnio bez nadziei na zmianę.

\*\*\*

Naczelnik przekazał mi akta sprawy Emilii Płotki. Teczka była dość cienka i nie zawierała zbyt wielu informacji. W aktach znajdowały się zrobione przez technika zdjęcia miejsca znalezienia zwłok, opisane dowody rzeczowe odnalezione przy Emilii. Wyniki badań DNA wskazywały, że odnalezione ciało młodej kobiety należało do Emilii Płotki. Z bluzki, którą miała na sobie, zdjęto pojedynczy, długi, brązowy włos. Wykluczaliśmy, by należał do denatki, więc mógł należeć do sprawcy. Ze szklanej, brązowej butelki po Żubrce, leżącej przy ciele Emilii Płotki, technicy zdjęli dwa odciski palców. Zostały zabezpieczone i wrzucone do systemu, by sprawdzić, czy pokrywają się z jakimiś widniejącymi w bazie. Sprawa zaginięcia Emilii Płotki początkowo nie była traktowana priorytetowo z uwagi na przeszłość dziewczyny. Większość funkcjonariuszy z góry zakładała ucieczkę. Po odnalezieniu ciała sprawa nadal leżała odłogiem ze względu na brak ludzi do pracy. Czekala mnie żmudna robota. Musiałem ostro się za nią zabrać, bo za chwilę góra będzie oczekiwała wyników.

Przejrzałem dokładnie każdą stronę akt. Zeznania Magdaleny Płotki, jej męża i Jakuba Nadolnego były spójne. Chłopak spędził z Emilią wieczór i rozstał się z nią nieopodal jej miejsca zamieszkania. Na razie zbierałem dane i powoli je analizowałem. Aczkolwiek miałem swoje typy. Z uwagi na to, że Nadolny widział Emilię ostatni, stawał się z automatu pierwszym nieoficjalnym

podejrzany. Musiałem mu się przyjrzeć i odtworzyć każdy jego krok z wieczoru, kiedy zaginęła jego dziewczyna.

Po przeczytaniu trzydziestu ośmiu stron coś przykuło moją uwagę. Znalazłem notatkę dzielnicowego: „W dniu dzisiejszym zgłosiła się do mnie sąsiadka Magdaleny i Łukasza Płotków, Sławomira Tarkowska. Poinformowała, że na dzień przed zaginięciem Emilii Płotki z mieszkania rodziny słychać było klótnię, wręcz awanturę. Zgłaszająca nie słyszała, czego dotyczyła ostra wymiana zdań”. Notatka została sporządzona tydzień po zaginięciu Emilii. Klótnie w rodzinie to nic nadzwyczajnego, ale należało to sprawdzić.

Zamierzałem zacząć od rozmowy ze Sławomirą Tarkowską. Mieszkała na trzecim piętrze i graniczyła sufitem z mieszkaniem Płotków. Zadzwoiłem do niej i uprzedziłem o swojej wizycie. Starsza kobieta, po osiemdziesiątce, była nieufna. Nim wpuściła mnie do mieszkania, poprosiła o pokazanie legitymacji, po czym zadzwoniła na komendę dopytać, czy taki policjant pracuje w Chojnicach. Dopiero kiedy upewniła się, że nie jestem żadnym oszustem, pozwoliła mi wejść do środka. Mieszkanie wyglądało jak z okresu poprzedniego ustroju. Wszechobecna boazeria i meblościanka z barkiem przeniosły mnie w czasy PRL-u.

– Mnie w ubiegłym roku już dwa razy próbowali oszukać na wnuczka. Ja w ciemię bita nie jestem i się zorientowałam, że to nieprawda, bo moje wnuczki w Niemczech mieszkają. Co poniektórzy myślą, że jak stara, to głupia. A tu zaskoczeni byli. Ale wie pan, co mnie rozczarowało?

Pokręciłem przecząco głową.

– Że choć policji podałam wszystko na tacy, tych bandytów nie udało się złapać. To jest straszne, że w dzisiejszych czasach te łobuzy są bezkarne.

Niestety musiałem się z nią zgodzić. Znalezienie takich oszustów graniczyło z cudem.



Sławomira Tarkowska powoli doczłapała się do kuchni. Miała wyraźne problemy z chodzeniem. Utykała na jedną nogę i z racji znacznej nadwagi poruszała się, szurając stopami po wykładzinie.

– Czekam na operację. Mają mi wstawić endoprotezę, ale nie wiem, czy się zdecyduję. Wie pan, ja już w tym wieku, że nie wiadomo, co mi pomoże, a co zaszkodzi. Może herbatki się pan napije? – zapytała, wykrzykując z kuchni.

– Nie, dziękuję. Proszę sobie nie robić kłopotu.

Przeszedłem do niewielkiego korytarza i stanąłem w futrynie drzwi prowadzących do wąskiej, ciemnej kuchni.

– To żaden problem, przed chwilą świeżo zaparzyłam. Pewnie się pan spieszy?

Sławomira Tarkowska spojrzała na mnie smutno. Jej poszarzała twarz pokryta siateczką drobnych zmarszczek zmarkotniała. Zrobiło mi się jej żal.

– Skoro to nie kłopot, z przyjemnością się napiję.

Tarkowska od razu się ożywiła.

– Wziąłby pan te filiżanki i imbryczek? Jestem tak niezdarna, że na pewno rozleję.

Tarkowska, powoli kuśtykając, przeszła do pokoju i siadła przy ławie. Postawiłem przed nią imbryk ze świeżo parzoną herbatą i dwie szklanki w metalowych koszyczkach. Rozlałem do nich parujący napar i usiadłem naprzeciwko starszej kobiety.

– Starość jest straszna. Póki człowiek młody, czuje się potrzebny, a potem to pies z kulawą nogą go nie odwiedzi. Moje dzieci z rodzinami mieszkają w Niemczech. Chcieli mnie tam ściągnąć, ale starych drzew się nie przesadza.

Zamyśliła się, a jej oczy zaszkliły.

– Dość o mnie. Ma pan do mnie sprawę.

– Mówiła pani dzielnicowemu, że w dniu zaginięcia Emilii z mieszkania Płotków dochodziły odgłosy kłótni. Mogłaby pani mi powiedzieć coś więcej?

– A to prawda. Tu, w naszym bloku, to ogólnie panuje spokój. Większość mieszkańców to starsi ludzie, więc cicho tu i spokojnie. Ściany są jak z papieru, to słycać, jak nawet ktoś głośniejsz szklanke postawi. Płotki to dobrzy ludzie. Zakupy zrobią, pomogą, jak o co ich poproszę. Kilka lat temu, jak ta mała trochę dokazywała, to słycać było kłótnie. Ona ich tam wyzywała wtedy, panie, tak, że aż przykro było słycać. – Starsza pani złapała się za uszy. – Trochę to trwało... No ale potem się uspokoiła. Do dnia zniknięcia. Pokłócili się wtedy bardzo.

– A kto z kim?

– No Emilia z ojcem. Krzyczeli na siebie bardzo. Nie słycałam, o co im poszło, ale Emila wyzywała ojca od różnych. Wstyd powtarzać.

– A matka była wtedy w domu?

– Tego to ja panu nie powiem. Może i była... – zastanowiła się – ale jej nie słycałam.

– Przypomina pani sobie, o której godzinie to mogło być?

– Jak *Teleexpress* był. To tak koło siedemnastej musiało być... To nie trwało jakoś bardzo długo, może z pół godziny, a potem nastąpiła cisza. Parę dni później dowiedziałam się, że Emila zaginęła. Pewnie tak jak większość od razu pomyślałam, że uciekła z domu. A teraz okazuje się, że ta biedna dziewczyna nie żyje... Nie mogę w to uwierzyć... – Tarkowska ze smutkiem pokręciła głowę.

– Znałam ją od urodzenia. Choć dziwnie wyglądała, bo ubierała się na czarno, to uczynna była. Czasem przyszła na kawkę, zapytać, co u mnie... Teraz to pies z kulawą nogą do mnie nie zajrzy.

Czasem patrzymy na ludzi i widzimy tylko to, co sami nam pokażą. Każda rodzina ma swoje tajemnice i nie zawsze chce się nimi dzielić z innymi. Wszyscy chcemy wypaść korzystniej w oczach innych, boimy się opinii otoczenia, krytyki. Zakłamujemy

rzeczywistość, by prezentować się tak, jak byśmy chcieli być widziani.

Dopiłem herbatę, pożegnałem się ze Sławomirą Tarkowską i wszedłem piętro wyżej. Było popołudnie, więc zastałem oboje małżonków.

– Robert Grubicki – przedstawiłem się. – Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci państwa córki. Możemy porozmawiać?

– Pamiętam pana, tak, oczywiście, proszę wejść – powiedział Łukasz Płotka.

Poprowadził mnie do pokoju gościnnego. Jego żona najwidoczniej jeszcze chwilę temu drzemała, bo nieco rozczochrana składała koc leżący na kanapie. Miała zapadnięte policzki, wychudzoną twarz. Śmierć córki odcisnęła na niej widoczne piętno.

– Przepraszam, zdrzemnąłam się chwilkę – powiedziała speszona.

– Proszę się nie przejmować. Przepraszam, że państwa niepokoję, ale mam kilka pytań.

– Niech pan usiądzie. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by pomóc...

Siedliśmy naprzeciwko siebie przy niewielkim szklanym stoliku, na którym leżały opakowania leków uspakajających.

– Chciałbym dokładnie, krok po kroku ustalić, co działo się przed zaginięciem Emilii.

Magdalena Płotka otuliła się ciepłym swetrem, na dłonie naciągnęła rękawy. Mąż spojrział na nią z troską i poprawił zagięty kołnierzyk kardiganu.

– Emilia codziennie wychodziła do szkoły, czasem popołudniami miała próby zespołu. Ćwiczyli dość nieregularnie. Zazwyczaj popołudnia i wieczory spędzała ze swoim chłopakiem – poinformował mnie Łukasz Płotka.

– Jak się dogadywali?

– Ogólnie dobrze, choć w ostatnich tygodniach często dyskutowali o tym, co będą robić, jak Emilia zda maturę. Ona chciała się stąd wyrwać, ciągnęło ją do dużego miasta, a Kuba chciał zostać tutaj. Miał pracę, z której był zadowolony, poza tym nie chciał zostawiać swojej matki samej. On nie miał łatwego dzieciństwa.

– To znaczy?

– Nie znam szczegółów. Emilia mi tylko kiedyś wspominała, że ojciec Kuby był pijakiem, znęcał się nad rodziną. Uciekli od niego i nie utrzymywali ze sobą żadnego kontaktu.

– Jak Emilia się zachowywała przed zaginięciem? Czy była niespokojna, smutna?

– W jej zachowaniu nie było niczego niepokojącego, zachowywała się jak zwykle. Nie widziałam, by była czymś zestresowana ani by coś brała – powiedziała Magdalena Płotka.

– A w dniu, kiedy widzieliście ją ostatni raz?

– Ja ostatni raz widziałam Emilię rano. Zaczynała lekcje o ósmej, a ja pracę o siódmej trzydzięci. Widziałam się z nią chwilę przed moim wyjściem. Po południu byłam u fryzjera i do domu przyszedłam koło osiemnastej. Wtedy już jej nie było. Pisałyśmy tylko do siebie. Miała wrócić koło północy. Zawsze na nią czekałam, ale tego dnia bardzo bolała mnie głowa. Zasnąłam koło dwudziestej trzeciej i obudziłam się dopiero rano. Wtedy odkryłam, że Emilka nie nocowała w domu... Najpierw zadzwoniłam na policję, ale nie chcieli przyjąć zgłoszenia, a potem do kuratorki Emilii, Gosi Drobińskiej. Przyjechała tu i razem z nami poszła złożyć zawiadomienie.

– A pan kiedy widział się ostatni raz z córką?

– Też rano przed pracą. Wychodziliśmy z żoną razem z mieszkania. Zamieniłem z Emilią kilka zdań, zapytałem o sprawdzian z matmy, a potem poszedłem do pracy. Wtedy widziałem się z nią ostatni raz. Po południu wskoczyłem tylko po

torbę i pojechałem do Starogardu Gdańskiego na szkolenie. Miałem tam być dwa dni, ale kiedy żona powiadomiła mnie rano, że nie ma kontaktu z Emilią, nie może też ustalić, gdzie jest, wsiadłem w samochód i od razu wróciłem do domu. Byłem tu koło jedenastej.

– Próbowaliście skontaktować się z nią telefonicznie?

– Tak, wielokrotnie, ale miała wyłączony telefon.

Relacje małżonków i pani Tarkowskiej w kwestii popołudnia przed zaginięciem Emilii były rozbieżne. Na razie trudno było ustalić, która z wersji jest prawdziwa. Wymagały dalszej weryfikacji.

– Wiadomo już, jak zmarła nasza córka? – zapytała Magdalena Płotka. Jej pochylona drobna sylwetka niemal zapadała się w kanapie.

– Cały czas czekamy na wyniki sekcji. Śledztwo jest w toku.

– To tak długo trwa...

\*\*\*

Nowe biuro dzieliłem z Maciejem Wroną. Chociaż biuro to określenie nazbyt szumne. Dokładnie rzecz ujmując, dzieliliśmy niewielką kłitkę z dwoma biurkami ustawionymi przodem do siebie, dzięki czemu całymi dniami spoglądaliśmy sobie z Maćkiem w oczy. Poza tym mieliśmy do dyspozycji dwa komputery, dwie szafy na akta i broń oraz cztery krzesła. Dwa obrotowe były dla pracowników, a te mało wygodne, drewniane, zarezerwowane były dla przesłuchiwanym świadków po to, by nie przesiadywali u nas zbyt długo i od początku wizyty nie czuli się nazbyt komfortowo.

Maciej pojechał do prokuratury przekazać kwity dotyczące rozboju, a ja starałem się o uzyskanie bilingów Emilii Płotki i jej rodziców. Nadal nie odnaleźliśmy telefonu komórkowego

nastolatki. Jak każdy z nas, zapewne i ona nie rozstawała się z komórką. Telefonu nie było ani u Jakuba, ani przy ciele dziewczyny. Z laptopa Emilii nic ciekawego nie udało się wyciągnąć. Nie znaleźliśmy w nim niczego, co mogłoby skierować śledztwo na odpowiednie tory, więc na razie utknęło w martwym punkcie.

– Gruby, mam dla ciebie świeżutkie informacje – poinformował mnie naczelnik, wręczając mi dokumenty. – Pamiętasz, że przy ciele Płotki znaleziono butelkę po piwie?

– Pamiętam.

– Udało się zabezpieczyć znajdujące się na niej odciski palców. Należą do Bartosza Kobusa.

– Kojarzę to nazwisko. Kilka miesięcy temu razem z Maciejem zwijaliśmy go z domu byłej żony. Był karany z paragrafu dwieście kodeksu karnego.

Naczelnik spojrział na mnie z uznaniem. Najwidoczniej zaimponowała mu moja pamięć.

– Zgadza się. Siedział cztery lata w Potulicach. Na butelce zabezpieczyliśmy też ślady biologiczne. Należały do denatki. Potwierdziły to badania DNA.

– Ślina?

– Nie, krew i wydzielina z pochwy.

– Czyli co? Zgwałcono ją butelką?

– Na to wygląda. Nadal nie mamy wyników sekcji zwłok. Dopiero po niej będziemy mieli więcej informacji. Na razie czekamy w kolejce, bo jedyny patomorfolog w rejonie złamał nogę. Nie mamy wszystkich danych, więc jeszcze długo nie zamkniemy śledztwa, a rodzina nadal czeka na pochówek.

– No to słabo... Ten Bartosz Kobus pasowałby do profilu. Cztery lata temu napastował dwie dziewczynki. Jest pierwszym poważnym podejrzanym w tej sprawie.

– Przesłuchaj go i jeśli będzie trzeba, zatrzymaj. To nasz jedyny punkt zaczepienia.

– Jasne. Już go sprawdzam.

– Melduj mi o wszystkim na bieżąco, bo wojewódzki już truje mi dupę o brak wyników.

Z danych zawartych w systemie wynikało, że ostatnim miejscem zameldowania Bartosza Kobusa była Malinowa pięć w Chojnicach. Właśnie tam była przedostatnia interwencja policji w jego sprawie. Dotyczyła awantury domowej, w której uczestniczyliśmy razem z Maciejem. Facet po dwudziestu czterech godzinach został zwolniony. Nie przedstawiliśmy mu żadnych zarzutów, bo żona nie złożyła wniosku o ściganie. Niespełna dwa tygodnie później kierownik Ośrodka dla Bezdomnych Mężczyzn w Chojnicach wezwał policję, kiedy pijany Bartosz Kobus siłą chciał wtargnąć do ośrodka. Nie reagował na prośby pracowników, by się uspokoił. Policjanci przewieźli go na izbę wytrzeźwień i na tym ślad po Kobusie się urwał.

Zacząłem od końca. Podjechałem do ośrodka dla bezdomnych przy Małych Osadach w Chojnicach. Szary, piętrowy dom otoczony niewielkim ogródkiem wyglądał niepozornie. Gdyby nie sztyl na boku budynku, nawet bym się nie domyślił, że mieszkają tu bezdomni. W pomieszczeniu na parterze zastałem kilku obdrapanych, zaniedbanych mężczyzn w wieku trudnym do określenia. Śmierdziało tu stęchlizną i starymi dywanami. Schody prowadzące na piętro wychodziły wprost na pomieszczenie, w którym dyżurował kierownik. Przez otwarte drzwi zobaczyłem schludnie ubranego mężczyznę koło sześćdziesiątki siedzącego za biurkiem. Rozmawiał przez telefon. Gestem dał mi znak, bym wszedł do środka i zajął miejsce naprzeciwko niego.

– Dobra, muszę kończyć, ktoś przyszedł. Omówimy to innym razem. Jak zwolni się miejsce, dam znać – powiedział rozmówcy. – Do usłyszenia.

Kiedy się rozłączył, zwrócił się do mnie:

– W czym mogę pomóc?

– Jest pan kierownikiem tego ośrodka? – zapytałem, by upewnić się, że rozmawiam z osobą, która tu zarządza.

– Tak, Franciszek Drabik.

– Robert Grubicki, Komenda Policji Chojnice. Chciałbym ustalić, czy przebywa tu Bartosz Kobus.

– Był taki... Dość krótko. Trafił tu po pobycie w zakładzie karnym. Ale od dawna go tu nie ma. Poczekaj pan chwilę. Sprawdzę w zeszycie.

Kierownik ośrodka wyjął z szuflady biurka zeszyt z zapisanymi informacjami dotyczącymi przyjmowanych lokatorów. Przejeżdżał palcem po zapisanych drobnym maczkiem stronach w poszukiwaniu interesującego mnie nazwiska.

– Mam. Spędził tu dwa miesiące. Ogólnie nie sprawiał większych kłopotów. By tu mieszkać, trzeba spełniać określone warunki i przestrzegać regulaminu. Najważniejsze jest zachowywanie trzeźwości. Postępowanie Kobusa nie budziło naszych zastrzeżeń, ale raz przyszedł do ośrodka pijany. Nie chcieliśmy go wpuścić. Zaczął się ze mną szarpać, dlatego wezwałem policję. Wyprowadzili go, a potem słuch o nim zaginął. Już tu nie wrócił.

Sięgnąłem po małą, samoprzylepną, żółtą karteczkę i zapisałem swój numer.

– Jeśliby się pojawił, proszę o kontakt – powiedziałem, wręczając kierownikowi kartkę.

– Jasne, na pewno zadzwonię.

Kierownik przyklepił karteczkę do okładki zeszytu i schował go do szuflady. Nie miałem tu czego szukać. Być może Bartosz Kobus udobruchał swoją byłą żonę i wrócił na łono rodziny. To by mnie wcale nie dziwiło.



Wsiadłem do auta i skierowałem się ku głównej ulicy. Chcąc wjechać w Gdańską, wcisnąłem się między starą toyotę yaris a koparkę i delikatnie wymusiłem pierwszeństwo. Przedemną w wolnym tempie przesuwał się sznur aut. Przez szybę obserwowałem obładowanych siatkami ludzi, w pośpiechu wracających po pracy do domu. Mnie nic nie gonilo, nie miałem żadnych zobowiązań. Nawet nie miałem żadnych planów na dzisiejszy wieczór. Dziewczyna, z którą ostatnio się spotykałem, miała dziś zajęcia. Umówiliśmy się dopiero na piątek. Sam nie wiedziałem, czego chciałem... Z jednej strony zazdrościłem Maciejowi jego ustabilizowanego życia, a z drugiej po rozwodzie wcale do niego nie dążyłem. Spotykałem się z dużo młodszymi dziewczynami, ale choć były interesujące, nie wносиły niczego wartościowego do mojego życia.

Przejechałem przez trzy skrzyżowania ze światłami, dwa ronda i nim się zorientowałem, byłem na miejscu. Na osiedlu domków jednorodzinnych dymilo się z każdego komina. Przekrzywiona drewniana furka wisiała na jednym zawiasie. Wszedłem na niewielką działkę porośniętą wysoką trawą. Na środku posesji leżało ułożone w równym rzędzie drewno na opał, w pieńku obok tkwiła wbita siekiera. W niewielkim parterowym domu paliły się wszystkie światła. Przez cieką firanę widziałem poruszające się cienie domowników.

Kiedy Katarzyna Kobus dojrzała mnie na podwórzu, wychyliła się zza drzwi, wycierając mokre ręce w kuchenny ręcznik.

– Słucham? – Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Robert Grubicki, Komenda Policji Chojnice. – Pokazałem jej legitymację służbową. – Pamięta mnie pani?

– Przepraszam, ale nie bardzo...

– Kilka miesięcy temu, kiedy pani były mąż się awanturował, byłem tu na interwencji.

– A! Tak, teraz pamiętam. – Otworzyła szerzej drzwi i przesunęła się w głąb mieszkania, robiąc mi miejsce. – Proszę wejść.

Wsunąłem się do kuchni i zamknąłem drzwi wejściowe. W domu unosił się zapach zupy pomidorowej. Na stole przy oknie stały brudne talerze po obiedzie.

– Szukam go.

– Nie tylko pan. Komornik też – powiedziała obruszona. – Od czasu interwencji Bartek już się tu nie pojawił. Nie interesuje się dziećmi ani nie płaci alimentów. Ściga go komornik, ale bezskutecznie, dlatego pieniądze wypłacają mi z funduszu, a jego dług rośnie. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy on żyje... – Spojrzała na moją zdziwioną twarz. – Poważnie. Nigdy tak długo nie milczał. To do niego niepodobne.

– Ma pani jakiś pomysł, gdzie można byłoby go znaleźć? – zapytałem w nadziei, że wskaże mi adresy krewnych, u których mógłby się zatrzymać.

– Nie. Po tym, jak cztery lata temu okazało się, że molestował córki kuzynki, siedmio- i dziewięcioletkę, jego rodzina zerwała z nim kontakty.

– Zgwałcił je?

– Jezu! Na szczęście nie. Choć nie wiem, do czego tak naprawdę byłby zdolny. Dotykał je w miejscach intymnych... no wie pan, wkładał ręce w majtki i pokazywał się im nago. Chciał, by też go dotykały, ale uciekły. Bartek myślał, że nikomu o tym nie powiedzą, ale wygadały się babci. Jak kuzynka dowiedziała się, co wyprawiał, to nasłała na niego połowę swojej wioski. Z widłami go gonili, ale skubany uciekł. Sprawę zgłosiła na policję, zatrzymali go, a potem poszedł siedzieć. Resztę już pan zna.

– Czyli u swojej rodziny nie mógłby się ukryć?

– Nie, na pewno nie. Moim zdaniem albo zaszył się na jakiejś melinie, albo nie żyje. No chyba że wyjechał za granicę. Ale chyba

to by gdzieś odnotowano, co nie?

– Niestety, raczej nie... – przyznałem z powątpiewaniem, tym bardziej że już nie takie kwiatki widywałem. – Mieszkamy w strefie Schengen, więc teoretycznie to możliwe, że bez kłopotu wyjechał z kraju.

– Poważnie? No to jak ma być normalnie, jak zbrodniecy mogą bez kontroli poruszać się po świecie?

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, więc jedynie wzruszyłem ramionami. Zostawiłem swój numer telefonu na wypadek, gdyby Katarzyna Kobus dowiedziała się, gdzie może przebywać jej były małżonek, i odjechałem.

W drodze powrotnej na komendę zadzwoniłem do dzielnicowego, ale niczego istotnego nie ustaliłem. Facet rozpląnął się w powietrzu. W systemie ostatnim odnotowanym adresem zameldowania była Malinowa pięć w Chojnicach, a z informacji z urzędu stanu cywilnego wynikało, że żyje. Na razie szukałem wiatru w polu.

\*\*\*

Otrzymałem bilingi rozmów Emilii Płotki i jej rodziców. Rozłożyłem je na biurku i zacząłem analizować. W dniu zaginięcia Emilia wieczorem wysłała SMS-a do matki, na który matka jej odpowiedziała. Pokrywało się to z informacjami od Magdaleny Płotki, która twierdziła, że Emilia powiadomiła ją, o której wróci. Koło dwudziestej pierwszej Emilia do kogoś napisała. Nie znałem tego numeru. Musiałem ustalić jego właściciela. Jednak nie to mnie zaniepokoiło... Łukasz Płotka twierdził, że nie kontaktował się z córką w dniu zaginięcia, a z jej komórki na telefon ojca zostało wysłanych kilka wiadomości, na które on jej odpowiedział. Poza tym parokrotnie próbował dodzwonić się do Emilii, ale nie

odbierała. Nie rozumiałem, dlaczego kłamał. Musiałem z nim porozmawiać.

Wsiadłem do auta i pojechałem do Czerska. Powoli się ściemniało, więc jechałem ostrożnie, pamiętając, jak rok temu ledwo wyminąłem na tej trasie wyskakującą z lasu sarnę. Przejechałem Chojnicką i na światłach skręciłem w lewo. Po kilkunastu metrach zjechałem w uliczkę po prawej i zaparkowałem auto przy cmentarzu od strony Hallera. Ledwo zgasilem silnik, zadzwoniła moja komórka. Sięgnąłem po telefon leżący we wnętrzu koła biegów i odebrałem.

– Gdzie jesteś? – zapytał bez zbędnych wstępów Maciej.

– W Czersku – powiedziałem, odpinając pas i wyciągając kluczyk ze stacyjki.

– Świetnie się składa. Przed chwilą dzwoniła kobieta ze Starogardzkiej. Zgłaszała, że nakryła swojego partnera na obmacywaniu córki. Zagroziła, że jeśli po niego nie przyjedziemy, zabije gnoja. Stary oddelegował mnie do zgarnięcia chłopca, więc jeśli nie masz nic lepszego do roboty, mógłbyś pojechać ze mną.

– Rozumiem, że to propozycja nie do odrzucenia. Dokąd mam pojechać?

– Starogardzka trzydzieści dwa na cztery.

– Będę za trzy minuty – powiedziałem, odpalając auto, i się rozłączyłem.

Dzieliło nas raptem siedemset metrów. Zjechałem na ulicę Zielińskiego prowadzącą wzdłuż cmentarza i przejechałem przez centrum miasta. Przed budynkiem zaparkowaliśmy w tym samym czasie i wbiegliśmy do kamienicy. W drzwiach mieszkania na piętrze z wałkiem w ręku stała potargana i wzburzona kobieta w średnim wieku.

– No, w końcu! Ile można na was czekać! – Wpuściła nas do szerokiego korytarza. – Zabierajcie go stąd, bo go zapierdolę! Przysięgam!

Z głębi mieszkania usłyszeliśmy walenie w drzwi jednego z pokoi.

– Hanka, wypuść mnie, to jakieś nieporozumienie... daj mi to wyjaśnić. No proszę cię, porozmawiajmy... Wypuść mnie... – błagał mężczyzna.

Spojrzałem pytająco na kobietę.

– Zamknęłam tego zbrojnego w tamtym pokoju. Nakryłam go, jak stał ze zdjętymi spodniami i pokazywał swojego ptaka mojej ośmioletniej córce. Zajeżdżałam chuja, gdybym miała pewność, że mnie nie zamkną! Zabierajcie go stąd, bo nie ręczę za siebie!

– Haniu... proszę... – skomlał przez drzwi facet.

– Do kryminału pójdiesz, debil! Policja już tu jest! Zgnijesz w pierdłu! Ja już się o to postaram!

– Gdzie jest klucz? – zwróciłem się do „Hani”.

Wyjęła go z tylnej kieszeni spranych jeansów i mi podała. Włożyłem go w zamek i przekręciłem. W tym momencie kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie: poczułem powiew zimnego powietrza, usłyszałem krzyk i trzaśnięcie. W pokoju, gdzie przed chwilą przetrzymywany był partner „Hani”, powiewała poszarzała firanka, a po amancie nie było śladu.

– Jak nam zwieje, to stary nas dojedzie – powiedziałem cicho Maciejowi.

Wrona wybiegł z mieszkania, a ja wyrzuciłem przez okno. Nasz uciekinier nie oddalił się zbyt daleko. Leżał na chodniku z nogą zgiętą pod takim kątem, że nawet gdyby chciał, to nie byłby w stanie nam zwać. Facet jęczał z bólu, patrząc w moją stronę. Mimo że ostatnio widziałem go tylko przez chwilę, od razu go rozpoznałem. To był „Bary”, znajomy Oliwii Kowalik.

– Wezwij pogotowie i go przypilnuj! – krzyknąłem do Wrony.

Maciej uniósł kciuk na znak zgody, a ja zamknąłem okno, odwróciłem się do zgłaszającej i wyjąłem notatnik.

– Teraz poproszę wszystko od początku. Jak się pani nazywa?

– Hanna Durajewska.

– Z kim pani tu mieszka? – Musiałem uporządkować wszystkie informacje.

– Mieszkam z dwiema córkami: Laura ma cztery lata, a Dżesika ma osiem.

– Co to za mężczyzna? To pani partner? Ojciec dzieci? – dopytywałem Durajewskiej, bo jej odpowiedzi były nazbyt oszczędne.

– Z ojcem dzieci rozeszłam się dawno temu. Podobno za granicą siedzi. Nie wiem, bo nie mamy kontaktu. Z tym facetem związałam się kilka tygodni temu. Trochę u mnie pomieszkiwał.

– Jak się nazywa?

– Grzegorz Damiński.

– Jak ten aktor? – zapytałem zdziwiony. – A co się tu dzisiaj wydarzyło?

– Przyszłam wcześniej z pracy i zobaczyłam, jak Grzegorz stoi ze spuszczoneymi spodniami przed Dżesiką. Przywaliłam mu w łeb, kopnęłam w dupę, a kiedy on się przewrócił na ziemię, złapałam córkę za rękę, wyciągnęłam ją z pokoju, a jego zamknęłam na klucz. Od razu zadzwoniłam po policję, i tyle. Zamkniecie go? Jak nie, to zaraz zrobię mu z dupy jesień średniowiecza. Żeby wiedziała, że to zboczeniec, to w życiu bym nie wpuściła go za próg! Gnoja tygodniami utrzymywałam... A on do moich dzieci się dobierał. Żałuję, że mu tego ptaka nie obcięłam!

– Skąd pani zna Damińskiego?

– Z internetu. Zagadał do mnie na jednym z portali. Trochę do siebie pisaliśmy, a potem... Na początku przyjeżdżał tu na weekendy, a potem ze mną zamieszkał. Pracował na czarno, ale mieli go zarejestrować.

– Gdzie pracował?

– A bo ja wiem... Na budowie dorabiał. Trochę tu, trochę tam. Najmował się tam, gdzie akurat była robota.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu i dostrzegłem stojące na regale zdjęcia blondwłosych dziewczynek w towarzystwie matki zrobione na jakimś festynie.

– A gdzie są pani córki?

– Siedzą w drugim pokoju i oglądają bajki. Nie chciałam, by były świadkami tego cyrku!

– Mógłbym chwilę z nimi porozmawiać?

– Jasne. Przejdzie pan ze mną.

Hanna Durajewska poprowadziła mnie korytarzem do pomalowanego seledynową farbą niewielkiego pokoju z piętrowym łóżkiem. Na dolnym materacu przykrytym kołdrą z motywem *Krainy lodu* siedziały dwie dziewczynki z blond włosami sięgającymi pasa. Kiedy wszedłem do pokoju, spojrzały na mnie uważnie zielononiebieskimi oczami. Były do siebie bardzo podobne. Wyglądały jak bliźniaczki, które dzieli kilka lat.

– Nie bójcie się – powiedziała Durajewska. – Ten pan jest z policji.

Kucnąłem naprzeciwko nich, by moja twarz znalazła się na wysokości ich wzroku. Przypatrywały mi się w skupieniu.

– Mama mówiła mi, że od pewnego czasu mieszkał z wami pan Grzegorz.

Obie jednocześnie przytaknęły.

– Mówiła mi także, że dziś bardzo ją zdenerwował. Podobno nieładnie się zachowywał...

Dżesika spojrzała na mamę, czekając na jej reakcję. Hanna Durajewska skinęła głową i z czułością pogłaskała córkę po włosach, chcąc dodać jej otuchy.

– Nie bój się, możesz powiedzieć prawdę.

Dziewczynka wzięła głęboki oddech, pochyliła głowę i zaczęła podwijać spódniczkę. Przez chwilę się nie odzywała, więc zwątpiłem, czy cokolwiek z siebie wydusi. Kiedy już chciałem się wycofać, niespodziewanie wyszeptała:

– Wujek dzisiaj pokazał mi się bez majtek.

Nie chciałem jej stresować zadawanymi pytaniami, ale musiałem ustalić, co przed chwilą zaszło.

– Dotykał cię?

Przecząco pokręciła głową.

– Czy zdarzało się to już wcześniej?

– Nie... – wyszeptała Dżesika. – Czy on tu wróci?

– Nie, nie wróci – zapewniłem dziewczynkę, a ona przyjęła to z wyraźną ulgą.

– To dobrze... – powiedziała i przeniosła wzrok na telewizor, w którym wyświetlała się jakaś kreskówka.

Telefon w mojej kieszeni zawibrował. Wstałem, by wyjąć go ze spodni.

– Jest pogotowie. Ma otwarte złamanie kości piszczelowej – zrelacjonował Wrona. – Zabierają go do chojnickiego szpitala. Czekać na ciebie?

– Czekaj. Już schodzę – rzuciłem w słuchawkę i się rozłączyłem.

Wyszedłem na korytarz i poprosiłem Durajewską o chwilę rozmowy.

– Zostaniecie formalnie przesłuchane. Wcześniej któryś z policjantów skontaktuje się z panią telefonicznie i powiadomi o terminie.

– Zamkniecie go?

– Na razie zatrzymamy, a potem decyzję podejmie sąd.

– Jeśli go zobacze, to przysięgam... Zabiję jak psa!

Rozumiałem wzburzenie Durajewskiej. Przyjęła faceta pod swój dach z nadzieją, że zastąpi dziewczynkom ojca, a naraziła je na największą traumę.

Karetka przewiozła Grzegorza Damięckiego do szpitala. Facet miał wieloodłamowe złamanie kości piszczelowej, które wymagało pilnej interwencji chirurgicznej. Nie mogliśmy go przesłuchać, bo od razu trafił na stół operacyjny. Zdążyliśmy jedynie pobrać od



niego odciski palców i próbkę krwi. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów potwierdzających jego tożsamość. Lekarz poinformował nas, że będziemy mogli z nim porozmawiać dopiero następnego dnia. Komendant przydzielił do pilnowania Damięckiego młodego policjanta. Siedział znudzony przy jego łóżku, pilnując, by nie zwiął.

\*\*\*

Pisałem raport z wczorajszych wydarzeń, kiedy do biura w Komendzie Powiatowej Policji w Chojnicach wszedł zadowolony Maciej, trzymając w rękach jakiś wydruk.

– Nadal szukasz Bartosza Kobusa do sprawy Emilii Płotki?

Przestałem stukać w klawiaturę i zaciekawiony zerknąłem na kumpla.

– Szukam. Na razie bezskutecznie. Zapadł się pod ziemię, więc podejrzewam, że wyjechał za granicę. A ty co się tak głupio uśmiechasz?

– Masz więcej szczęścia niż rozumu – powiedział Maciej, kładąc mi faks przed nosem.

Z pisma wynikało, że wczoraj zatrzymaliśmy nie Grzegorza Damięckiego, a Bartosza Kobusa pseudonim „Bary”.

– A to ciekawa historia – powiedziałem zaskoczony. – W życiu bym gnoja nie poznał. Jak go zwijaliśmy z Malinowej, był dwadzieścia kilo lżejszy i nie miał zarostu.

– Jestem przekonany, że to on onanizował się w śmietniku koło kamienicy Leokadii Lubeckiej i to on pokazywał fujarę tej małolacie na Starogardzkiej. Było to zaledwie dwie kamienice dalej. Jedenastolatka wspominała wtedy o wojskowych spodniach. Trzeba sprawdzić, czy u Durajewskiej zostawił jakieś swoje rzeczy. Mówiłeś, że masz coś do załatwienia w Czersku, to może byś to ogarnął?

– Jasne. A przy okazji może uda mi się pogadać z ojcem Emilii Płotki. Jego wyjaśnienia rozmijają się z faktami. Mówił, że w dniu zaginięcia córki nie kontaktował się z nią telefonicznie, ale bilingi temu przeczą... Nic mi się tu nie klei... Nie bardzo rozumiem, czemu mnie okłamał w tak prozaicznej sprawie.

– Masz już wyniki sekcji?

– Nadal czekam. To już nawet nie jest śmieszne – powiedziałem poirytowany. – Przecież to kpina!

– No to drepczesz w miejscu. Wiadomo, kiedy je dostaniesz?

– Nasz patomorfolog złamał nogę i jest na L4. Sprawa leżała odłogiem, ale podobno ściągnęli innego lekarza, który miał się tym zająć. Mam nadzieję, że ktoś w końcu się za to weźmie, bo brakuje mi kluczowych danych. Tak się nie da prowadzić śledztwa, a stary ciśnie mnie każdego dnia o wyniki. Jak mam mu je dać bez podstawowych informacji? Z kapelusza ich nie wyciągnę.

W służbach, jak zrobiłeś coś dobrego, to medalu ci nie przyznawano, ale jak nawaliłeś, to dyscyplinarkę miałeś jak w banku. Tu nikt nikogo po plecach nie klepał.

Sporządziłem notatkę do dwóch spraw, których wspólnym mianownikiem był Bartosz Kobus. Był bardzo niepokojącą postacią: cztery lata temu został skazany za molestowanie małych dziewczynek, a teraz napastował córkę swojej konkubiny, obnażał się przy śmietnikach i w kamienicy w Czersku. Ukrywał w opustoszałym domu nastolatkę, która związała z domu. Poza tym jego odciski palców ujawniliśmy na miejscu znalezienia zwłok Emilii Płotki. To nie mógł być przypadek. Zebrałem wszystkie informacje i przekazałem prokuraturze. Dostałem zielone światło na przeszukanie jego dotychczasowego miejsca zamieszkania. A sąd wydał postanowienie o zastosowaniu wobec niego aresztu.

Umówiłem się na spotkanie z Hanną Durajewską u niej w mieszkaniu. Nie robiła żadnych trudności i pozwoliła mi przejrzeć rzeczy należące do Bartosza Kobusa. Była w szoku, kiedy

dowiedziała się, że mieszkała pod jednym dachem z dewiantem i oszustem. Nie mogłem podać jej wszystkich informacji, ale wyczuliłem ją na internetowe znajomości. Mimo tylu lat pracy nadal dziwiła mnie naiwność ludzi, a przede wszystkim kobiet, które osamotnione desperacko poszukiwały na portalach społecznościowych miłości swojego życia.

W rzeczach należących do Kobusa vel Damięckiego znalazłem zielonoszare bojówki, o których wspominała Nadia Pakowska i które widziałem na zdjęciach zrobionych przez Leokadię Lubecką. Poza tym nie znalazłem żadnych przedmiotów wnoszących cokolwiek do postępowania ani mogących go łączyć z Emilią Płotką. Co dziwne, Bartosz Kobus, trafiając do szpitala, nie miał telefonu, nie było go też w mieszkaniu Hanny Durajewskiej.

– Nie wie pani, gdzie może być telefon Bartosza Kobusa?

– On nie miał telefonu.

– Przecież sama pani mówiła, że poznaliście się przez portal społecznościowy, więc musiał mieć telefon. Minęły już czasy kafejek internetowych.

– Jak pisaliśmy do siebie, to miał, a potem zgubił czy rozbił... Już nie pamiętam. W każdym razie odkąd tu pomieszkiwał, na pewno nie widziałam, by korzystał z komórki. Jak gdzieś musiał zadzwonić, to korzystał z mojej.

– Często jej używał? – zapytałem.

– A bo ja wiem? Dzwonił z niego tak z raz, może trzy razy w tygodniu. Głównie, by ustalić z szefem, o której ma się stawić w robocie.

\*\*\*

Zapalony grzybiarz spacerujący w lesie nieopodal miejsca odnalezienia ciała Płotki przypadkiem odkrył schowany w mchu telefon. Mieliśmy szczęście, bo zgłosił się z tym znaleziskiem do

szwagra, który jest policjantem w Czersku. Ten od razu skojarzył, że telefon mógł należeć do Emilii Płotki. Aparat został zabezpieczony i przekazany do badania. Po sprawdzeniu numeru seryjnego okazało się, że komórka rzeczywiście należała do zamordowanej nastolatki. Prócz odcisków palców grzybiarza nie znaleźliśmy na nim żadnych innych śladów. Nawet właścicielki. Telefon został wystawiony na działanie słońca i deszczu. Nie miałem gwarancji, czy uda się wyciągnąć z niego jakiegokolwiek dane. Co prawda siedzieli nad tym specjaliści, więc żywiłem nadzieję, że się im powiedzie, ale nie było pewności. Liczyłem na to, że natrafię na jakieś konkrety, dzięki którym w końcu dojdzie do przełomu w śledztwie, bo na razie poruszałem się po omacku.

Bartosza Kobusa tymczasowo aresztowano i osadzono w chojnickim areszcie przy Pietruszkowej. Był naszym głównym podejrzanym w sprawie zabójstwa Emilii Płotki, więc pojechałem z nim porozmawiać. Ogolony, ostrzyżony i czysty zaczął przypominać siebie sprzed kilku miesięcy. Siedział naprzeciwko mnie na drewnianym krześle i uważnie mi się przyglądał.

– Zacznie pan w końcu czy tak będziemy siedzieć do wieczora? – zapytał beczelnie.

– Mnie się nie spieszy – odparłem.

– A mnie tak, bo za dwie godziny jest obiad. Chciałbym go zjeść. Wiem, co mam na sumieniu, przyznaję się i miejmy to z głowy – powiedział znudzony, drapiąc się po niemal łysej głowie.

– Przyznajesz się do zabójstwa? – zapytałem zdumiony.

– Ochujalesz?! Jakiego zabójstwa?! – Wzburzony uniósł głos. – Co ty gadasz?! – Postukał się palcem w czoło. – Pokazanie fujary jeszcze nikogo nie zabiło! Nie będę zaprzeczał, bo z doświadczenia wiem, że lepiej na tym wyjdę, jak będę współpracował. Durajewska już i tak na mnie doniosła, więc się nie wypieram. Ale w zamian za podanie wam wszystkiego na tacy, żądam osobnej celi, bo tobie, glino, chyba nie muszę tłumaczyć, że tacy jak ja za

kratkami życia nie mają. – Uniósł teatralnie brwi. – To co, dogadamy się?

– Kobus, posłuchaj mnie uważnie. – Spojrzałem aresztantowi prosto w oczy. – Nie zostałeś zatrzymany tylko z powodu obnażania się przed dziećmi. Choć taki zarzut też dostałeś. Jesteś podejrzany w sprawie morderstwa!

Bartosz Kobus poprawił się na krześle, uniósł się nieco i odchrząknął.

– Jakiego morderstwa? Panie władzo? Ja może i lubię małe dziewczynki, ale to moja jedyna zbrodnia. Nikogo nie zabiłem! Przysięgam! – Uderzył pięścią w klatkę piersiową.

– Kobus, przyznajesz się do obnażania się w kamienicy przy ulicy Starogardzkiej?

– No przyznaję, że pokazałem raz swoją fujarkę tej małej Durajewskiej.

– Widywany byłeś też przy śmietnikach i w drzwiach jednej z kamienic.

– No z całą pewnością to nie powiem, że to byłem ja, bo może to kto inny.

– Kobus, nie wkurwiał mnie, bo trafisz do celi z grypsującymi. Nie wiem jak ty, ale oni na pewno będą zachwyceni. Więc jeszcze raz, zastanów się: ty czy nie ty?

– No dobra... Wyluzuj, glino. Pewnie ja...

– Chociaż jedno mamy wyjaśnione. Jak ustaliłem, pomieszkiwałeś trochę w porzuconym domu przy 21 Lutego w Czersku.

Bartosz Kobus przekrzywił głowę i w skupieniu mi się przyjrzał.

– Ej! Teraz sobie przypominam... To tobie i twojemu grubemu kumpłowi wtedy zwałem. – Roześmiał się głośno.

Spojrzałem na niego lodowatym wzrokiem i nie rozumiałem, jak on mógłby się podobać jakiegokolwiek kobiecie. Dziurawe zęby

na przedzie zjadała zaawansowana próchnica, pod paznokciami miał kilogramy brudu. Był obleśnym otyłym brudasem.

– Słuchaj, wesołku, zaraz mnie wkurwisz i przestaniemy gadać – wycedziłem przez zęby. – Przyklepię ci zabójstwo, molestowanie małoletnich i puszcę informacje po celach. Jak będziesz dupą sikał, to przestanieś być taki dowcipny, rozumiesz?

– Dobra, dobra, bez nerwów. Bywałem tam czasem, jak się poprzykałem z Hańcią. Kumpel z celi wspomniał mi kiedyś o tym miejscu. Nikt się tym domem nie interesował, więc czasem ktoś tam tymczasowo się zadekował. Wie pan, trzeba sobie jakoś radzić.

– Zwabiałeś tam dziewczyny?

– Zaraz tam zwabiałem. – Kobus kokieteryjnie przewrócił oczami. – Jak chciały, to same przychodziły. Ja nikogo do niczego nie zmuszałem. Jak miały ochotę, to się zabawiliśmy, a jak nie, to nie. Miały ukończone piętnaście lat, więc sankcje mi za to nie grożą – powiedział, wygodnie opierając się na krześle, i zrelaksowany założył ręce na piersi.

– Wiesz, jak się nazywały? – zapytałem.

– To nie był akademik. – Zaśmiał się z własnego żartu. – Nikt się meldować nie musiał.

Położyłem przed nim zdjęcie Oliwii Kowalczyk.

– Ta dziewczyna bywała u ciebie?

Pochylił się nad stołem i wziął zdjęcie do rąk. Przyjrzał się jej uważnie, po czym odłożył fotografię.

– Sami ją zwijaliście. Znałem tylko jej imię, ale tak. Była u mnie kilka dni. Całkiem dobrze się bawiła.

Położyłem przed nim zdjęcie Emilii Płotki.

– A ta?

Bartosz Kobus jedynie rzucił okiem na zdjęcie.

– Tę pierwszy raz na oczy widzę.

Położyłem przed nim zdjęcie dziewczyny zrobione przez technika na chwilę przed zabranie ciała.

– Może teraz sobie przypomnisz...

Spojrzał na mnie przerażony.

– W co wy chcecie mnie zrobić?!

– My? Na razie jedynie pytam, czy ją znasz.

– Nie znam. Przecież już to, kurwa, mówiłem! Mam prawo do jednego telefonu. Żądam adwokata! – powiedział hardo. – Nic już więcej nie powiem.

– Ty się, Kobus, chyba zbyt wielu seriali amerykańskich naoglądałeś. Radzę ci współpracować. Lepiej na tym wyjdiesz.

– Przecież tłumaczę ci, że jej nie znam... Przysięgam na wszystkie świętości – skamlał. – I nie powiem już ani słowa, dopóki nie dostanę adwokata!

\*\*\*

W końcu otrzymałem wyniki sekcji zwłok Emilii Płatki. Wynikało z niej, że dziewczyna zmarła na skutek rozległych urazów głowy. Na potylicy ujawniono otarcia i pęknięcia skóry, ale to nie ten uraz spowodował śmierć, a uszkodzenia twarzoczaszki. Emilia Płatka została wielokrotnie uderzona przedmiotem ostrokrawędzistym (możliwe, że kamieniem, kawałkiem pustaka) w twarz, co spowodowało wgniecenie kości nosowej, wieloodłamowe złamanie kości jarzmowej, wybitcie zębów górnych (od jedynek do trójek) oraz dolnych (jedynek i dwójki), złamanie żuchwy i szczęki w kilku miejscach. Z całą pewnością jej zgon nie nastąpił naturalnie ani na skutek zażycia środków psychoaktywnych, których nie wykryto w jej ciele. Należało przyjąć, że Emilia Płatka została zamordowana. Biorąc pod uwagę kąt zadanych ciosów, sprawca uderzał ją w twarz, kiedy ciało znajdowało się w pozycji leżącej. Ciosy zadawał z dużą siłą. Niemal zmiażdżyły twarz Emilii Płatki. Pod paznokciami nie ujawniono żadnego materiału mogącego świadczyć o tym, że się broniła, więc

do ataku doszło z zaskoczenia. Gwałt butelką został dokonany już po śmierci Emilii. Ale nie to mnie zaskoczyło, tylko fakt, iż była w ciąży... Na razie tymi rewelacjami nie chciałem się dzielić z jej rodziną, bo jeszcze musiałem wyjaśnić pewne nieścisłości z Łukaszem Płotką.

Kobus czekał na przesłuchanie w areszcie w towarzystwie adwokata, przyznanego mu go z urzędu. Młody aplikant jeszcze miał mleko pod nosem i miałem wrażenie, że jest bardziej zestresowany od klienta.

Wszedłem do sali i siadłem naprzeciwko nich. Prawnik nerwowo odchrząknął i wyciągnął ze swojej aktówki teczkę z notatkami, które zaczął odczytywać.

– Krystian Sława, reprezentuję Bartosza Kobusa. Pełnomocnictwo już znajduje się w aktach. Mój klient zgadza się na przesłuchanie w sprawie Emilii Płotki. Zapewnia, że nie ma z jej śmiercią nic wspólnego. Z materiału zawartego w aktach wynika, że poza ujawnieniem odcisków palców na butelce odnalezionej na miejscu zbrodni, nie znaleziono żadnych innych dowodów łączących pana Kobusa ze śmiercią Emilii Płotki. Pojedynczy włos znaleziony przy ciele denatki porównano z materiałem dobrowolnie przekazanym przez mojego klienta i ustalono, że z całą pewnością nie należy do niego. Co pan na pewno już wie. – Aplikant spojrzał na mnie usatysfakcjonowany i odniosłem wrażenie, że kąciki jego ust delikatnie uniosły się w uśmiechu.

Bartosz Kobus wpatrywał się w moją twarz. Zmarszczył brwi i jedynie przytakiwał mecenasowi.

– Mój klient poinformował mnie, że Emilii Płotki nie znał. Przyznał, że w miejscu ujawnienia zwłok był parokrotnie. Z uwagi na swoją bezdomność kilka miesięcy temu czasem tam nocował. Zdarzało się, że spożywał tam alkohol, więc nie zaprzecza, że butelka, na której ujawniono jego odciski palców, należała do niego.



\*\*\*

Nie miałem zbyt wielu danych na temat Emilii, prócz tych podanych przez jej rodziców, chłopaka i patomorfologa. By chociaż zbliżyć się do rozwiązania sprawy, musiałem poznać Emilię, jej zwyczaje i otoczenie, w którym najczęściej przebywała. Postanowiłem porozmawiać z jej najlepszą przyjaciółką. Uważałem, że będzie najbardziej wiarygodna w ocenie Emilii.

Nie chciałem spłoszyć jej wezwaniem na komisariat. Uznałem, że będzie najbardziej rozluźniona na swoim terenie. Atmosfera towarzysząca rozpytaniu często wpływa na to, jak rozmowny jest świadek.

Przeszedłem trasę między Hallera a Sienkiewicza osiemnaście. Szybkim marszem pokonałem dystans półtora kilometra w dwadzieścia minut. Stałem naprzeciwko niewielkiego, parterowego, nieotylnowanego domu i zadzwoniłem do drzwi. Z wnętrza dobiegło mnie szczekanie, sądząc po odgłosach, raczej niewielkiego psa. Po chwili usłyszałem poruszający się w zamku klucz i w drzwiach stanęła Monika Kubiszewska, trzymająca mocno ostrzyżonego yorka na rękach. Pies radośnie machał ogonem i nieprzerwanie ujadł.

– Robert Grubicki, policja Chojnice. Mogę wejść? – zapytałem, stojąc na wąskich betonowych schodach prowadzących do domu.

– Tak, proszę – powiedziała Monika, wchodząc w głąb mieszkania.

Zamknąłem za sobą drzwi i przeszedłem za nią do salonu. Dziewczyna stanęła przy kanapie, wypuściła z rąk psa, który zwijając się w kulkę, położył się na pluszowej poduszce i czujnie mi się przyglądał.

Monika miała na sobie czarne obcisłe jeansy i krótki czarny top odsłaniający brzuch. Ciemne włosy z dwoma niebieskimi

pasemkami spięła w luźny koczek. Pojedyncze pasma opadały na szyję i czoło.

– Prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci Emilii Płotki. Czy mógłbym ci zadać kilka pytań?

Skinęła głową i włożyła ręce do kieszeni.

– Mogę usiąść? – zapytałem, wyjmując z kurtki notatnik i długopis.

– Ojej, przepraszam. Oczywiście, proszę siadać – powiedziała zmieszana. – Może kawy albo wody?

– Nie dziękuję. Zajmę tylko chwilkę.

Monika Kubiszewska przysiadła na drugim końcu tapczanu i wzięła na ręce przysypiającego psa.

– Wiem od rodziców Emilii, że się przyjaźniłyście.

Skinęła, głaszcząc swojego pupila po niewielkim łebku.

– Czy Emila miała jakieś kłopoty? Z kimś się pokłóciła? Ktoś jej nie lubił? – dopytywałem.

Monika spojrzała na mnie i odgarnęła włosy z czoła.

– Nie, wszyscy ją albo lubili, albo była im obojętna. Nigdy mi nie wspominała, by z kimkolwiek się pokłóciła. Zdarzały się sprzeczki z rodzicami, no ale na pewno jak w każdym innym domu. Nic nadzwyczajnego...

– Kiedy widziałyście się ostatni raz?

– W szkole, w dniu jej zaginięcia. Popołudnie i wieczór spędziła z Kubą, a ja z Igorem.

– Co robiłaś w noc zaginięcia Emilii? – zapytałem.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Czy jestem o coś podejrzana?

– Nie. To tylko rutynowe pytanie.

– Byłam w domu. Igor siedział u mnie do dwudziestej, a potem ostatnim autobusem pojechał do siebie. Obejrzałam dwa odcinki *Euforii* i o dwudziestej drugiej poszłam spać. Rodzice byli wtedy w domu i mogą to potwierdzić.

Odnotowałem wszystko dokładnie.

– Czy wiadomo, jak zginęła? – zapytała niepewnie dziewczyna.

– Na pewno nie zabiła się sama. Nic więcej nie mogę ujawniać, bo to tajemnica śledztwa, ale na razie nie mamy zbyt wiele poszlak, więc będę wdzięczny za każdą informację, nawet taką, która wyda ci się mało istotna.

– Jeśli coś mi się nasunie, na pewno się odezwę.

Wstałem z kanapy, schowałem notes i długopis do kieszeni kurtki, po czym skierowałem się ku drzwiom. Monika odprowadziła mnie do wyjścia.

Na schodach przypomniałem sobie o czymś jeszcze, więc odwróciłem się, by dopytać o pewien szczegół.

– Czy Monika często chodziła na tę opuszczoną budowę przy Truskawkowej?

– Tę... na której ją odnaleziono? Nic mi o tym nie wiadomo... Nigdy mi o tym miejscu nie wspominała.

– Byłaś tam kiedykolwiek wcześniej albo ktoś od was z paczki?

– Nie. Nawet nie wiedziałam o tym miejscu.

# Gosia

Telefon uparcie dzwonił, zmuszając mnie do wyjścia spod prysznic. Wybiegłam z łazienki do salonu, w pośpiechu okrywając się ręcznikiem. Woda kapiąca z moich włosów zostawiała niewielkie kałuże na kafelkach. Niemal się na nich poślizgnęłam. Zasapana odebrałam połączenie z zastrzeżonego numeru.

– Tak, słucham?

– Pani Gosiu, chcielibyśmy zawiadomić, że pogrzeb Emilki będzie w najbliższy wtorek o godzinie dziewiątej. – W słuchawce usłyszałam zboląły głos Magdaleny Płotki.

– Na pewno będę, dziękuję za informację.

– Nadal nie możemy pogodzić się z tym, co się stało. Ale cieszymy się, że chociaż możemy ją w końcu pochować... Tak by leżała... nie wiadomo gdzie...

– Wiecie już, co się stało? Co było przyczyną śmierci?

– Policja niechętnie informuje nas o szczegółach śledztwa. Nie mamy wglądu w akta sprawy. Prokurator nie chce nas do nich dopuścić. Nie bardzo rozumiemy dlaczego... Dowiedzieliśmy się jedynie, że Emilię zamordowano...

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć, więc milczałam.

– Nie wiem, co dokładnie jej zrobiono... Czym zasłużyliśmy na takie cierpienie? Kto mógł jej to zrobić? Jaką bestię trzeba być, by odbierać życie młodej, niewinnej dziewczynie, przed którą życie stało otworem?

Pani Płotka się rozpląkała, a jej płacz rozdzierał serce. Nie może być nic gorszego niż pochowanie własnego dziecka. Nie będzie niczym odkrywczym stwierdzenie, że to nie w tej kolejności powinno się odchodzić.

– Ja nie chcę nikogo oczerniać... Nie mam na to dowodów... Zawsze lubiłam Jakuba, ale to on ostatni widział Emilię żywą... Może się o coś pokłócili... Może zrobił jej krzywdę niechcący... Przepraszam, ale nie umiem zebrać myśli...

– Jeśli mogłabym coś dla państwa zrobić... – wydukałam, nie bardzo wiedząc, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Wiem, pani Gosiu, możemy na panią liczyć... Przepraszam, nie mogę dłużej rozmawiać... – powiedziała Magdalena Płotka, po czym się rozłączyła.

Weszłam z powrotem do łazienki. Dokładnie się wytarłam. Na grubej szczotce wysuszyłam włosy, układając je w delikatne fale, i założyłam obcisłą granatową sukienkę za kolana. Delikatnym makijażem podkreśliłam usta. Za godzinę miałam być na niedzielnym obiedzie u Karoliny, więc musiałam się spieszyć. Wyjęłam z lodówki sałatkę oraz mój ulubiony sernik z malinami. Narzuciłam szary, sięgający połowy łydki, wełniany płaszcz i wyszłam z mieszkania.

Jedzenie włożyłam do bagażnika i po kwadransie parkowałam w Charzykowach przed domem położonym w pierwszej linii brzegowej, tuż przy samym jeziorze. Karolina odziedziczyła go po swoich dziadkach. Piętrowy dom znajdował się na samym końcu deptaka. Niemal cały przeszklony wpuszczał do środka dużo słońca. Siedząc w letnie wieczory w ogrodzie, czułam się, jakbym była na wakacjach. Brzeg przed posesją pokrywał drobny brązowy piasek. Rodzina miała dostęp do niewielkiego prywatnego pomostu. Latem z Karoliną rozkładaliśmy na nim koc i sączyliśmy schłodzone białe wino, delektując się widokiem zachodzącego słońca.

Furtka przy bramie zabrzęczała, nim zdążyłam dotknąć dzwonka domofonu, sygnalizując, że ją odblokowano. Przechodząc przez nią, dostrzegłam stojącą w drzwiach Karolinę ubraną w szarą koszulę i czarną skórzaną spódniczkę, na którą narzuciła kuchenny fartuch.

– Chodź szybciotko, bo pieczeń mi się przypala – rzuciła i zniknęła w głębi domu.

Leon wyszedł mi naprzeciw, ucałował mnie w oba policzki, po czym przejął sernik oraz sałatkę i przeniósł do kuchni. Kiedy wyskoczyłam ze szpilek i płaszcza, ruszyłam za nim. Karolina uwijała się wśród parujących garnków, a z piekarnika kuśił zapach pieczonego kurczaka.

Siadłam przy wypie na skórzanym hokerze, obserwując, jak Karolina miesza coś w stalowym garnku.

– Nie uwierzysz, kiedy ci powiem, kto dziś do mnie dzwonił... – W jej głosie słyszałam zdenerwowanie.

– Spróbuj... – powiedziałam zaciekawiona.

– Moja siostra – wyrzuciła z siebie, energicznie ugniatając purée z ziemniaków.

– Twoja siostra? – zapytałam z niedowierzaniem, bo nie utrzymywały kontaktu od wielu lat.

– Kiedy dziadkowie za opiekę przepisali na mnie dom, zerwała ze mną wszelkie kontakty. Nie odzywała się przez kilkanaście lat, a dziś zadzwoniła z prośbą o pomoc. Wyobrażasz sobie? – Aby nie uszkodzić marmurowego blatu, odstawiła garnek na okrągłą drewnianą podstawkę. – Jej syn wpakował się w niezłe tarapaty i Sylwia nie ma pojęcia, co teraz zrobić. Powiedziała, że dziś rano po mojego chrześniaka przyjechała policja i go zatrzymała. Nie wiadomo, kiedy go wypuszczą. Może być zamieszany w sprawę zabójstwa tej nastolatki z Czerska. Tej... do której jeździłaś. – Karolina obróciła się w moją stronę i wytarła ręce w bawełnianą ścierekę.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem. Co za zbieg okoliczności?

– Emilii Płotki? – zapytałam.

– Jakub podobno z nią chodził – odparła, wyciągając z lodówki niewielki garnek.

Zamoczyła łyżeczkę w ciemnobrązowym sosie, po czym włożyła ją do ust.

– Muszę dosolić – powiedziała, sięgając po solniczkę.

– Jakub Nadolny to syn Sylwii? Kompletnie nie skojarzyłam, bo przecież jeszcze kilka lat temu mieszkali w Złotowie.

– Raczej kilkanaście – sprostowała mnie Karolina. – Po śmierci dziadków Sylwia się rozwiodła i przeprowadziła z Jakubem do Czerska. Już wtedy ze mną nie rozmawiała. Obraziła się na śmierć i życie. Nawet nie wiem, skąd miała mój numer. Znasz Jakuba? – zapytała, przekładając purée do głębokiej szklanej misy.

– Spotykał się z Emilią od około roku, ale ja widziałam go raptem raz. Wydawał się sympatyczny i poukładany.

– Może i taki jest, ale wiesz, co mówią, genów nie oszukasz. Jego ojciec nie był wzorem do naśladowania. Może to i nawet dobrze, że Sylwia go zostawiła, bo ta moczymorda nie była dla niej żadnym wsparciem. Z tego, co mi dziś mówiła, nie utrzymuje z nimi kontaktu. Od teściowej dowiedziała się, że się nawrócił i mieszka w jakiejś komunie pod Warszawą, uprawia ziemię, żyje zgodnie z matką naturą. – Prychnęła kpiąco. – Obiecałam Sylwii, że jej pomogę... Muszę znaleźć jakiegoś dobrego adwokata. Znasz jakiegoś?

– Słyszałam o kilku prowadzących sprawy rodzinne, ale nie wiem, kto jest dobry w karnych – przyznałam szczerze.

– Jakbyś mogła popytać?

– Jasne. Zadzwonię do rodziców. Co prawda już trochę wypadli z obiegu, ale może kogoś polecą.

# Robert

Informacje dotyczące śledztwa w sprawie Emilii Płotki roznosiły się w zastraszającym tempie. Cały internet aż huczał od plotek i domysłów. Nagłówki lokalnych portali informacyjnych straszyły zwyrodniałym zabójcą czyhającym na młode piękne kobiety. Mimo że nikomu nie opowiadałem o szczegółach śledztwa, jakaś rozpaplana, sprzedajna, policyjna menda zdradziła pismakom, że Emilia Płotka została zgwałcona. Pod artykułami wylała się fala hejtu. Lista była długa. Otwierała ją policja, potem nieboszczka, którą opisywali w niewybrednych słowach, aż po jej chłopaka. Przeglądałem wpisy bardzo uważnie. Zdarzało się, że wносиły coś nowego do sprawy. Nie było dla mnie żadną niespodzianką, że wiele osób pisało o tym, że Emilia w przeszłości brała narkotyki, że na pewno z kimś zadarła, że to mafia ją tak urządziła albo że sprzedawała się za dragi.

Jakub Nadolny siedział w ciasnym pokoju przesłuchań. Był skonsternowany i przestraszony. Spocone ręce wycierał w czarne wytarte na kolanach jeansy. Czoło błyszczało mu od potu, nerwowo rozglądał się po pokoju. Wyglądał jak złapane w klatkę zwierzę na próżno szukające drogi ucieczki.

– Wiesz, gdzie znalezione ciało Emilii? – zapytałem, siadając naprzeciwko niego, bacznie mu się przyglądałem.

– Na budowie przy Truskawkowej. – Jego nozdrza lekko się rozchyliły, kiedy głęboko nabierał powietrza.

– Chodziliście tam czasem?



– W sensie ja i Emilia?

Przytaknąłem i pochyliłem się w jego stronę.

– Nie. Dowiedziałem się o tym miejscu dopiero po odnalezieniu... jej... ciała.

– Jak wam się układało?

– Dobrze – odparł, przeczesując opadające mu na czoło ciemne włosy sięgające za łopatki.

– Wiesz, to była ładna dziewczyna. Nawet bardzo. Pewnie podobała się wielu chłopakom. Bywałeś o nią zazdrosny?

Jakub popatrzył na mnie zdezorientowany. Długie włosy ponownie opadły mu na twarz. Odgarnął je za uszy.

– Czy w końcu mogę się dowiedzieć, dlaczego tu jestem? – zapytał.

– Jesteś podejrzany o zamordowanie swojej dziewczyny. Byłeś ostatnią osobą, która widziała ją żywą, a twoje wcześniejsze wyjaśnienia nie do końca nas przekonują. Twierdziłeś, że pożegnaliście się przed cmentarzem, a potem nie mieliście ze sobą kontaktu.

W tym momencie do pokoju przesłuchań zapukał Maciej i wpuścił jakiegoś blondyna. Nie bardzo rozumiałem, co się dzieje.

– Dzień dobry, przepraszam za spóźnienie – powiedział wysoki blondyn, podchodząc do stolika. – Piotr Bielawski, jestem adwokatem pana Jakuba Nadolnego.

Nadolny był zdziwiony nie mniej niż ja. Bielawski okazał swoją legitymację i położył przed nim kartkę z wydrukowanym tekstem oraz długopis.

– Panie Jakubie, od teraz będę reprezentował pana interesy. Proszę podpisać pełnomocnictwo, w przeciwnym razie nie będę mógł podjąć żadnych działań. Wszystko wytłumaczę panu później.

Jakub spojrział na mnie, na pełnomocnictwo i niepewnie sięgnął po długopis, po czym podpisał dokument.

– Na czym skończyliśmy? – zapytał Bielawski, siadając na krześle obok Nadolnego.

– Pana klient jest podejrzewany o zamordowanie Emilii Płotki.

– Przejrzałem akta sprawy i nie znalazłem w nich niczego, co mogłoby obciążyć pana Jakuba Nadolnego – powiedział ze spokojem.

– Pana klient kłamał, twierdząc, że po tym, jak odprowadził Emilię w okolice cmentarza, nie miał z nią kontaktu. Znalaziono telefon komórkowy denatki, który przeczy tym twierdzeniom. Z treści wiadomości wysłanej przez Emilię Płotkę z WhatsAppa wynika, że pokłócili się w wieczór jej zaginięcia.

– To bzdura! – krzyknął Jakub Nadolny.

– Proszę się uspokoić – powiedziałem stanowczo.

Wyjąłem z akt podręcznych wydrukowane screeny wiadomości wymienianych przez Płotkę i Nadolnego. Rankiem w dniu zaginięcia Emilia odwołała ich wieczorne spotkanie. Potem koło południa jednak zaproponowała Jakubowi wspólny wieczór. A przed północą, już po spotkaniu, wysłała mu wiadomość: „Nie sądziłam, że jesteś takim gnojkiem. Nie chcę cię więcej widzieć”.

– Wynika z tego, że jednak nie rozstaliście się tego wieczora w zgodzie. Kiedy przesłuchiwałem cię tuż po zaginięciu Emilii Płotki, nie wspomniałeś o tej wiadomości. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, w jak niekorzystnym stawia cię to świetle...?

– Dostałem tę wiadomość... ale sam nie bardzo ją rozumiałem. Próbowałem zadzwonić się do Emilii i dopytać, o co jej chodziło, ale miała wyłączony telefon. Stwierdziłem, że się pomyliła, a potem, kiedy następnego dnia okazało się, że zniknęła, przestraszyłem się... Ja naprawdę nic jej nie zrobiłem.

– Pan wybaczy, ale niewiele znacząca wiadomość nie może stanowić jedynej przyczyny zatrzymania mojego klienta – wtrącił się adwokat. – Oczekuję, że jeszcze dziś zostanie zwolniony.

– To się jeszcze okaże, bo w toku śledztwa ustalono, że Emilia Płotka była w ciąży.

– W ciąży? – zapytał zdumiony Nadolny.

– Tak. Podejrzewamy, iż niechciana ciąża mogła być motywem zabójstwa. Za chwilę pobierzemy od pana próbkę śliny oraz odciski palców.

– Oni tak mogą? – Nadolny zwrócił się do mecenasa.

– W tej sprawie bym nie oponował – poradził Bielawski.

– Przysięgam, ja jestem niewinny!

– Wiesz, że każdy tak mówi? – powiedziałem kpiąco.

– Słuchajcie, wyciągnąłem Emilię z dragów. Naprawdę dobrze się nam układało. Emilia rano odwołała nasze spotkanie, ale dlatego, że chciała pojechać do Chojnic na zakupy. Potem zmieniła zdanie i umówiliśmy się na wieczór. Przyszła do mnie zdenerwowana. Moja matka może to potwierdzić, proszę z nią porozmawiać... Widziała, jak przyszła zapłakana... Ja jej nic nie zrobiłem. Kochałem ją... Gdybym wiedział, że jest w ciąży...

– To co? – zapytałem.

– Ucieszylibym się. Mam pracę, poradzilibyśmy sobie. Dalibyśmy radę... – Oczy mu się zaszklily. – Czepiacie się mnie, a lepiej zainteresujcie się jej ojcem. To z nim ostatnio Emilia darła koty. W dniu jej zaginięcia ostro się pokłócili. Emilka nie chciała powiedzieć, o co im poszło, ale teraz wszystko by się zgadzało. Może dowiedział się o ciąży i zrobił jej awanturę. W noc zaginięcia nie było go w domu, gdzie był? Ja byłem w domu. Moja matka to potwierdzi! – mówił podniesionym głosem.

– Już z nią rozmawialiśmy. Odprowadziłeś Emilię w okolice cmentarza po dwudziestej trzeciej. A potem co robiłeś? Do domu masz piętnaście minut spacerkiem, a z tego, co mówiła twoja matka, przyszedłeś dopiero przed pierwszą w nocy. Co robiłeś w międzyczasie?

– Nic... – Nadolny spojrział na mecenasa. – Naprawdę nic. Poszedłem do hotelu naprzeciwko, wypilem browara i wróciłem do domu. Siedząc tam, dostałem wiadomość od Emilii. Próbowałem się do niej dodzwonić, a potem poszedłem do domu.

– Czym pan płacił za piwo? – zapytał adwokat.

– Kartą – odpowiedział Nadolny.

– Więc policja łatwo to potwierdzi – Bielawski zwrócił się do mnie. – A teraz, jeśli nie ma pan więcej pytań, chciałbym porozmawiać ze swoim klientem.

# Gosia

Usłyszałam energiczne pukanie do drzwi. Spojrzałam przez wizjer. Na klatce schodowej stała przemoknięta Karolina. Przekręciłam klucz w zamku i wpuściłam ją do środka.

– Dobrze, że cię zastałam.

Rzuciła torebkę na krzeselko i powiesiła płaszcz na wieszaku.

– Właśnie wracam od Sylwii. Jest w totalnej rozsypce, co, biorąc pod uwagę jej obecną sytuację, jest całkowicie zrozumiałe.

Wlałam wodę do czajnika i postawiłam na płycie indukcyjnej.

– Na razie nie wygląda to zbyt kolorowo – ciągnęła. – Jakuba zatrzymano, ale ma już adwokata, Piotra Bielawskiego. Znasz takiego?

– To nazwisko nic mi nie mówi...

– W każdym razie ten Bielawski rozmawiał już z Sylwią, uczestniczył też w przesłuchaniu Jakuba. Podobno za dużo na niego nie mają. Jest szansa, że jeszcze dzisiaj go wypuszczą. Mówił, że mogą go zatrzymać na czterdzieści osiem godzin, ale jeśli nie postawią mu zarzutów, muszą go zwolnić. Adwokat pytał Sylwię, czy mogłabyś się z nim spotkać, powiedziałam, że zapytam.

Zalałam wrzątkiem earl grey i postawiłam parujące kubki na stole w kuchni.

– Jasne, mogę się z nim spotkać, tylko nie za bardzo wiem, w czym mogłabym pomóc.

– Chciał podpytać cię o Emilię, jej znajomych i rodziców.

– Wiesz, za wiele nie mogę mu powiedzieć, ale... Zgoda, niech do mnie zadzwoni.

– Dzięki... Nie wiem, co stało się z tą dziewczyną, ale nie sądzę, by to była sprawka Jakuba. Sylwia mówiła, że kochał tę Emilię. W pracy cieszy się dobrą opinią. Nie jest konfliktowy ani agresywny... Mam jednak świadomość, że czasem w ludziach drzemią demony, z których istnienia nawet oni sami nie zdają sobie sprawy.

# Robert

Ośmiu policjantów uczestniczyło w pogrzebie Emilii Płotki. W cywilnych ciuchach wmieszali się w tłum i dyskretnie obserwowali żałobników. Wśród nich mógł być zabójca. W uroczystościach pogrzebowych uczestniczyło wiele osób. Był to największy pogrzeb, jaki widziałem. Miałem wrażenie, że przybyli na niego wszyscy mieszkańcy Czerska. Zajmowali cały kościół i teren wokół niego.

Po zakończonej mszy Łukasz Płotka, prowadząc kondukt żałobny, wyniósł urnę z prochami swojego dziecka. Obok niego szła pogrążona w smutku żona, trzymając w rękach zdjęcie uśmiechniętej Emilii. Za nimi podążali dziadkowie i dalsza rodzina. Jakub Nadolny szedł ze swoją matką. Trzymała go pod rękę i wycierała zaczerwienione oczy. Za nimi podążali Monika z Igozem, burmistrz Czerska i pracownicy urzędu. Rozpoznałem też kilku nauczycieli czerskiego LO, w tym Weronikę Buławę i Ewelinę Szumowską.

Uczniowie liceum, trzymając pojedyncze białe róże, tworzyli szpaler prowadzący od kościoła do miejsca pochówku. Przeszliśmy przez główną ulicę na rynek naprzeciwko hotelu. Pokonaliśmy wąską uliczkę i weszliśmy na teren cmentarza. W tej okolicy Emilia była widziana po raz ostatni. Jednak ktoś widział ją jeszcze potem... Na pewno. Na obrzeżach miasta. Ktoś ją tam zostawił. Czy tu był? Czy delektował się swoją zbrodnią? Czy chciał się tym, że

nie został złapany? Najczęściej zabójcą była osoba z otoczenia ofiary. Czy tak było i tym razem? Czy dlatego zasłonięto jej twarz?

Nasza droga kończyła się tuż przy głębokim dole wykopanym w ciemnej ziemi. Tyle po nas zostanie – proch i tabliczka z imieniem, nazwiskiem, datą urodzenia i śmierci.

– Dziś towarzyszyliśmy naszej siostrze w jej ostatniej drodze. Pozostawiła swoich rodziców, rodzinę i przyjaciół w bólu i rozpacz. Wierzymy, że z Emilią spotkamy się w domu ojca – mówił ksiądz, stojąc przy miejscu pochówku.

Urnę z prochami Emilii opuszczono do grobu. Zapłakana Magdalena Płotka osunęła się na kolana. Mąż uklęknął obok niej i objął ramieniem. Ksiądz pokropił urnę, mówiąc:

– Niech Bóg da tobie pić ze źródła życia.

Po czym rzucił do grobu grudkę ziemi.



# Gosia

Dzisiaj wcale nie miałam ochoty jechać w teren. W wieczornych planach miałam leżenie na kanapie z kieliszkiem wina w rękę i zaczytywanie się w jakiejś ciekawej książce. Praca w terenie była ostatnią rzeczą, o której dziś marzyłam. Jednak musiałam zrobić cztery wywiady i objąć trzy dozory. Zrobiłam wszystko, co zaplanowałam. Została mi już tylko wizyta u Czajkowskiej. Spojrzałam na zegarek. Dwudziesta czterdzieści pięć. Trochę późno, ale wejść do niej na pięć minut i za niecałą godzinę będę w domu.

Zaparkowałam przed kamienicą przy Partyzantów czterdzieści osiem w Czersku. Powietrze było chłodne i wilgotne. Ciepła zimowa kurtka szczelnie zapięta pod szyją nie chroniła przed zimnym, przeszywającym wiatrem. Całe niebo pokrywały gęste chmury, zapowiadając nadchodzącą śnieżycę.

Klatka schodowa była pusta. Nacisnęłam włącznik światła na schodach i weszłam na drugie piętro. Zapukałam do mieszkania Czajkowskiej, ale nikt nie otworzył mi drzwi. Zapukałam ponownie. Odczekałam chwilę i złapałam za klamkę. Drzwi nie stawiały oporu i ukazały ciemny, pusty korytarz.

– Dobry wieczór – powiedziałam, stojąc cały czas na klatce.

Żadnej odpowiedzi. Pamiętając przedostatnią wizytę, nieśmiało weszłam do korytarza. W całym mieszkaniu panowały egipskie ciemności. Wyjęłam komórkę i włączyłam latarkę. Dopiero przy jej pomocy znalazłam włącznik światła w korytarzu, ale nie działał.

Zajrzałam do kuchni. W zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, a wśród nich lepiące się butelki po mleku. Podłoga kleiła się od brudu. Pod oknem stał pusty wózek.

– Halo... Pani Patrycjjo...! – zawołałam, ale odpowiedziała mi cisza.

Przeszłam korytarzem do pokoju, cały czas nasłuchując. Pod stopami chrząścił ocierający się o linoleum piasek. Podeszłam do łóżeczka Wiktora. Oświetliłam je latarką. Było wypełnione kocami, kurtkami. Zaczęłam je przerzucać... Wtedy trzasnęły drzwi wejściowe. Usłyszałam, jak ktoś przechodzi korytarzem na klatkę schodowej. Serce waliło mi jak młot. Nie wiedziałam, jak mam się zachować. Wyłączyłam latarkę, schowałam się z boku łóżeczka przy ścianie i nasłuchiwałam... Jak ja wytłumaczę, że tu weszłam? Gdzie jest Czajkowska? Myśli kłębiące się w mojej głowie tłumili strach przed tym, że ktoś mnie tu nakryje. Odczekałam chwilę i po ciemku szybkim krokiem wyszłam na klatkę schodową. Wybrałam numer Czajkowskiej, ale jej telefon był wyłączony. Wybiegłam z kamienicy i wsiadłam do auta. Wzięłam głęboki oddech i starałam się zebrać myśli. Sama już tam drugi raz nie wejść. Postanowiłam zadzwonić po wsparcie. Wystukałam na klawiaturze numer sto dwanaście. Operator zebrał ode mnie wszystkie informacje i zapytał wprost, czego oczekuję, skoro na miejscu nie ma rannych ani nikt nie wymaga pomocy. Zapewne wziął mnie za rozhisteryzowaną wariatkę. Mimo że nie było to całkiem zasadne, poprosiłam o przysłanie policji celem sprawdzenia mieszkania. Operator był nieco sceptyczny, ale ostatecznie się zgodził. Poprosił tylko, bym tam została do czasu przyjazdu patrolu. Czekałam w zimnym aucie. Gęsty, ciężki śnieg powoli pokrywał ulice i samochody. Przednią szybę powlekała warstwa białego puchu. Byłam zziębnięta, palce u stóp i rąk miałam skostniałe. Zniecierpliwiona spojrzałam na zegarek. Dwudziesta pierwsza trzydzieści. We wstecznym lusterku

zauważyłam zbliżające się światła. Jakiś samochód zaparkował za mną, więc wysiadłam z auta. Podeszłam do drzwi nieoznakowanego policyjnego BMW, którym przyjechali dobrze mi znani policjanci – Grubicki i Wrona.

– To znowu pani? – zapytał bez pardonowo Grubicki.

Zrobiło mi się głupio, bo poprzednim razem wezwanie policji było bezzasadne. Teraz też nie miałam żadnych dowodów na to, że coś się stało, prócz pustego mieszkania, bałaganu i braku lokatorów.

– Jak widać, szczęście mi dopisuje – odparłam z sarkazmem.

– Co tym razem? – Grubicki nie bawił się w kurtuazję.

– Mieszkanie Czajkowskiej jest otwarte. Panuje w nim bałagan. Nie działa światło, być może mają odłączony prąd. W mieszkaniu nie ma śladu Czajkowskiej ani jej dziecka. Próbowałam się do niej dodzwonić, ale ma wyłączony telefon...

– Wejdzie tam pani z nami? – zapytał Wrona, zapinając kurtkę.

– Tak.

W milczeniu przeszliśmy na drugie piętro i stanęliśmy przed mieszkaniem mojej dozorowanej. Wrona włączył niewielką latarkę i wszedł do środka. Staął w korytarzu, a Grubicki sprawdził kuchnię. Potem obaj weszli do pokoju. Widziałam jedynie snopy białych światel przesuwające się po ścianach. Stałam na klatce schodowej i obserwowałam ich działania. Nie wiedziałam, co dalej robić. Byłam zmarznięta, głodna i chciałam do domu. Nie tak miał wyglądać ten wieczór...

– Nikogo tam nie ma – powiedział Wrona. – W pokojach bajzel. Na podłodze w tym mniejszym pomieszczeniu leżą brudne ubrania dziecka i zużyte pieluchy.

– Co teraz? – zapytał mnie Grubicki.

– Sama nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Wiecie, gdyby nie to, że Czajkowska ma pod opieką dziecko, może bym się tym tak nie przejęła, ale nie wiem, gdzie jest. Nie mogę się do niej

dodzwonić, a ona nie ma tu krewnych. Ostatnio jak u niej byłam, to zostawiła na chwilę syna samego, a sama poszła do sąsiadki mieszkającej na poddaszu.

– To chodźmy do niej. Może teraz też tam jest – zaproponował Grubicki.

Schody prowadzące na samą górę skrzypiały pod naszymi stopami. Wybiła dwudziesta druga, kiedy Grubicki zadzwonił dzwonkiem do jedyne go mieszkania na strychu. Zajmowało połowę poddasza. Druga połowa była przeznaczona na składzik i suszarnię. Całą szerokość kamienicy przecinały linki. W powietrzu przeplatały się wzajemnie zapachy stęchlizny i świeżego prania.

Przez cienkie drzwi dobiegł nas odgłos szurania kapci po podłodze. Ktoś zbliżył się do drzwi, zerknął przez wizjer, więc Grubicki pokazał legitymację. Lokatorka założyła łańcuszek blokujący drzwi i dopiero wtedy przekręciła klucz w zamku. Jej twarz pojawiła się w niewielkiej szparze między futryną a drzwiami.

– Aspirant Grubicki, Komenda Policji Chojnice.

– Tak? O co chodzi? – zapytała około siedemdziesięcioletnia kobieta ubrana we flanelowy szlafrok w kratę.

– Czy zna pani Patrycję Czajkowską?

– Znam to za dużo powiedziane, bo nigdy nie rozmawiałyśmy, ale wiem, kto to jest. Mieszka pode mną z takim ślicznym bobasem. Czasem widuję ją, jak chodzi z nim na spacer.

– Nie wie pani, gdzie moglibyśmy ją znaleźć? – dopytywał Grubicki.

– A co, nie ma jej w domu? – Kobieta najwyraźniej nie była tym faktem zdziwiona, bo pokiwała głową z dezaprobatą.

– Nie – odparłam.

Wskazała palcem na dół.

– U niego pewnie jest – powiedziała bezgłośnie.

– U tego sąsiada obok? – zapytał szeptem Grubicki.

Sąsiadka przytaknęła i zamknęła drzwi.

– Miałaby być u tego Sawickiego? – zapytałam sceptycznie.

– Na to wychodzi. Dobra, chodźmy sprawdzić i miejmy to z głowy. Już dawno powinienem być w domu – powiedział Wrona.

Zeszliśmy na drugie piętro i skierowaliśmy się prosto do drzwi mieszkania Tomasza Sawickiego. Powtórzyliśmy cały rytuał pukania i dzwonienia, ale nikt nam nie otwierał.

– Co teraz? – zapytałam.

Grubicki chrząknął i nacisnął klamkę mieszkania. Ku naszemu zdziwieniu drzwi nie były zamknięte na klucz. Delikatnie popchnął je butem. Na pierwszy rzut oka układ mieszkania był taki sam jak u Czajkowskiej. W korytarzu walały się puste puszkę po piwach, a podłoga była brudna od błota. Widoczne były na niej ślady butów i plamy po rozlanych napojach.

– Dobry wieczór, policja! – Grubicki krzyknął do wnętrza.

Bez odpowiedzi. Z rogu pokoju padało ciepłe, przytłumione światło. Poza tym mieszkanie było pogrążone w ciemności.

– Proszę tu poczekać – zwrócił się do mnie Wrona.

Stawiając niewielkie kroki, sprawdzali mieszkanie. W kuchni nikogo nie zastali, ale kiedy weszli do pokoju, Wrona odwrócił się do mnie i gestem poprosił, bym weszła do środka. W kącie pokoju na kanapie w objęciach Sawickiego spała Czajkowska. Jej tłuste włosy leżały na bordowym kocu. Zsunięte do połowy ud majtki i spodnie odsłaniały jej blade pośladki. Tomasz Sawicki, leżąc z rozpiętym rozporkiem, obejmował ją jedną ręką. Oboje byli kompletnie nieprzytomni.

– To Czajkowska? – zapytał mnie Grubicki.

– Tak – odparłam, stojąc w progu pokoju.

– Halo – powiedział Wrona, podchodząc do nich bliżej. – Halo! – powiedział nieco głośniej.

Nawet nie drgnęli. Grubicki podszedł do Czajkowskiej, złapał ją za ramię i mocno potrząsnął.

– Pani Czajkowska!

Jej powieka lekko się uniosła, ukazując delikatnie białko oka.

– Ona chyba jest naćpana – powiedziałam z niedowierzaniem.

– Ej, ty! – Grubicki szarpnął ją ponownie. – Gdzie jest dzieciak?

Czajkowska nieprzytomnym wzrokiem spojrzała na policjanta i ponownie zamknęła oczy.

– Gdzie masz dzieciaka, pytam?! – Grubicki złapał ją za oba ramiona i próbował podnieść.

Jej głowa opadała bezwładnie na ramię.

– Maciej, sprawdź w pozostałych pomieszczeniach.

Wrona przeszedł do drugiego pokoju i łazienki, a ja weszłam do kuchni. Wszędzie leżały puste puszkę po piwie, pudełka po pizzy, ale ani śladu dziecka. Wróciliśmy do pokoju.

– Nie ma go tutaj – powiedział Wrona.

Grubicki z otwartej dłoni uderzył Czajkowską w twarz. Na jej policzku pojawił się czerwony ślad. Otworzyła szeroko oczy, jakby na chwilę oprzytomniała.

– Co jest, kurwa?! – krzyknęła.

Tomasz Sawicki, leżący obok niej, jedynie przewrócił się na drugi bok. Ten człowiek był w takim stanie, że nawet gdyby pociąg przejechał tuż obok niego, niczego by nie zauważył.

Grubicki zacisnął pięść na koszulce Czajkowskiej i uniósł ją.

– Gdzie jest dzieciak? Pytam ostatni raz!

Jednak jego starania na nic się zdały. Czajkowska była na takim haju, że kiedy błędnym wzrokiem wpatrywała się w nasze twarze, byłam przekonana, że chociaż patrzy, wcale nas nie widzi.

Zrezygnowany Grubicki mocno pchnął ją na kanapę.

– Masz pomysł, gdzie może być dziecko? – zapytał, patrząc na mnie.

– Nie... Myślę, że musi być gdzieś tutaj... Jezu!

Wybiegłam z mieszkania Sawickiego na klatkę schodową i skierowałam się do mieszkania Czajkowskiej. Podbiegłam do łóżeczka i zaczęłam wyrzucać z niego rzeczy, aż do momentu, kiedy doszłam do dna... było puste. Wtedy usłyszałam cichutkie popiskiwanie. Zapaliłam latarkę w telefonie, mając nadzieję, że trafię na źródło przytłumionych dźwięków.

– Co jest? – zapytał Grubicki, wpadając za mną do pokoju.

– Ciiii... Słyszałeś ten pisk przed chwilą?

– Jaki pisk? – Zdezorientowany rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Jakby miauczenie kota...

Grubicki przeszedł do drugiego pokoju i tam zaczął nasłuchiwać. Przez chwilę trwaliśmy w milczeniu. A potem usłyszałam głośne stuknięcie, kiedy Grubicki, energicznie otwierając drzwi szafy, uderzył jednym ze skrzydeł o ścianę. Policjant pochylił się i uniósł koc, spod którego dochodziły dźwięki. W brudnym, przenośnym foteliku samochodowym leżało niemowlę. Było brudne od ulanego, śmierdzącego wymiocinami mleka. Zważone resztki widoczne były na brodzie, szyi i śpiochach. Podeszłam do Grubickiego i przejęłam od niego chłopca. Przeszłam z nim do pokoju obok. Dziecko miało spoconą główkę. Kał i mocz pokrywał śpiochy: od pach po kolana. Pampers przeciekał już każdą możliwą stroną. Położyłam chłopca na kanapie, obok telefon z włączoną latarką.

– Zrób mu mleka – zwróciłam się do Grubickiego.

– Nie wiem jak...

– Ja pójdę – powiedział Wrona. – Ty przejdź do mamusi, pilnuj jej i wezwij posiłki. Trzeba też wezwać pogotowie. Małego powinien zobaczyć lekarz. Nie wiadomo, ile czasu spędził w tej szafie.

Policjanci zostawili mnie samą w pokoju. Wiktor nadal płakał. Zdjęłam kurtkę i rzuciłam ją na stolik. Staralam się znaleźć jego smoczek, ale nie było go w zasięgu wzroku. Ściągnęłam z Wiktora

ubrania i obmyłam go mokrymi chusteczkami leżącymi na podłodze przy tapczanie. Malec miał odparzoną pupę. Zaczerwienionych krost i ranek nawet nie było czym posmarować. Założyłam czystego pampersa i zaczęłam rozglądać się za ubraniami. W łóżeczku znalazłam kaftanik i śpiochy. W chwili kiedy zapinałam ostatni guzik, do pokoju wszedł Maciej Wrona z butelką ciepłego mleka. Wzięłam Wiktora na ręce, usiadłam na kanapie i ułożyłam jego drobne ciało na swoich kolanach, a małą główkę w zgięciu łokcia. Policjant podał mi butelkę, wcześniej sprawdzwszy na nadgarstku temperaturę mleka. Włożyłam gumowy smoczek w spierzchnięte usta Wiktora. Spragniony zachłannie zassał mleko. Jadł łączywie, rączkami wpijając się w mój sweter. Zaczerwienione, zapuchnięte oczy wpatrywały się we mnie uważnie. Tak mało brakowało...

Do mieszkania weszło dwóch młodych umundurowanych policjantów.

– Kogo mamy zabrać? – zapytali, zwracając się do Macieja Wrony.

– Gruby pilnuje naćpanej matki i jej fagasa w mieszkaniu obok. Trzeba ich stąd zwinąć. Są tak naprucy, że na razie nie wykonacie z nimi żadnych czynności. Pogotowie już jest?

– Nie, pewnie za chwilę przyjadą. Dyżurny mówił, że ich zawiadomił.

Policjanci, wychodząc wąskim korytarzem z mieszkania, minęli się z ratownikami. W ciemności były widoczne jedynie ich pomarańczowe stroje i odbłaski.

– Cześć, komu mamy udzielić pomocy? – zapytał niskim głosem wąsaty ratownik.

– Trzeba zbadać tego chłopca. – Wstałam z kanapy, cały czas trzymając Wiktora na rękach. – Znaleźliśmy go w szafie, gdzie na pewno spędził kilka godzin albo dłużej. Był cały w wymiocinach i odchodach. Przed chwilą go przebrałam i nakarmiłam.



– Gdzie są jego rodzice? – dopytywał.

– Ojciec nieznanym, a matka leży najprawdopodobniej naćpana w mieszkaniu obok. Jest nieprzytomna – powiedział Wrona, robiąc im miejsce.

– Okej, więc najpierw zajmijmy się dzieciakiem. – Otyły ratownik zwrócił się do Wrony, po czym skierował wzrok na mnie. – Proszę położyć dziecko na kanapie, obejrzymy je i osłuchamy, ale tak czy owak, zabierzemy je do szpitala na obserwację.

– Ciemno tu jak cholera. Zapalcie tu jakieś światło – powiedział poirytowany ratownik.

– Nie da się, prawdopodobnie odcięli im prąd, więc mamy do dyspozycji tylko latarki – odparłam i położyłam dziecko ponownie na kanapie.

Jeden ratownik sprawnymi ruchami je rozbierał, a drugi wyjmował sprzęt z torby. Po chwili zbadał Wiktora stetoskopem, obejrzał język i gardło. Dwoma palcami sprawdził napięcie skóry na małej rączce.

– Ma wysuszoną śluzówkę. Jest nieco wiotki. Wydaje się, że poza odwodnieniem nic mu nie jest, ale trzeba go przewieźć do szpitala, wykonać morfologię i podłączyć kroplówkę.

Ratownik schował stetoskop i zaczął przygotowywać się do wyjścia.

– Co z dzieckiem? – zapytał Grubicki, wchodząc do pokoju.

Zrobiło się w nim trochę tłoczno.

– Nie jest źle... Pani kurator miała nosa. – Mrugnął do mnie Wrona. – A co z tamtymi?

– Czajkowska i Sawicki nieco się ożywili, choć i tak nie można się z nimi dogadać. Prewencja zabrała ich na komendę do Chojnic, a my mamy zrobić przeszukanie w obu mieszkaniach. Idę po rękawiczki i woreczki na dowody.

Dopiero teraz zaczęło do mnie dochodzić, do jakiej tragedii mogło dojść, gdybym nie przyjechała do Czajkowskiej dzisiaj, a dopiero jutro... Musiałam brać pod uwagę czarny scenariusz, bo Wiktor przez noc mógł się zadławić, udusić. Czajkowska była tak zamroczona, że jeszcze przez kilka godzin byłaby na haju.

– Zabieramy małego do szpitala. Pojedzie pani z nami? – zapytał ratownik, narzucając torbę na plecy.

– Ja? Mogę... ale... mam tu samochód...

– Jeśli zostawi mi pani kluczyki, podrzucimy auto pod szpital, a kluczyki zostawimy w punkcie pielęgniarek na pediatrii – zaproponował Wrona. – Pasuje?

Nieco zaskoczona skinęłam głową, wyjęłam z kieszeni kurtki kluczyki od forda i wręczyłam je policjantowi. Z łóżeczka wyciągnęłam zimowy dziecięcy kombinezon i ubrałam w niego Wiktora. Chłopiec był tak zmęczony, że zasnął w trakcie ubierania. Przeszłam z ratownikami do karetki zaparkowanej przy samym wejściu do kamienicy. Położyli Wiktora na wielkich noszach i zapięli w pasy. Siadłam obok niego na fotelu. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że ktoś musi mu zapewnić opiekę. Powinnam kogoś zawiadomić, ale kogo? Musiałam się doradzić Malwiny, bo w sprawach rodzinnych nie miałam niemal żadnego doświadczenia. Na szczęście odebrała po kilku sygnałach.

– Spać nie możesz? – zapytała zasnana i ziewnęła do słuchawki.

– Potrzebuję porady i to na cito. Pamiętasz Czajkowską?

– Tak. Co z nią?

– Zastałam ją naćpaną. Przed chwilą zwinęła ją policja. Długa historia... W każdym razie jej syn jest przewożony do szpitala na obserwację. Ojciec nieznany, nie mam zamiaru na żadnych krewnych, więc nie wiem, co robić – mówiłam spanikowana.

– Spokojnie, uspokój się. Dzieciaka na pewno zostawią na obserwacji. Jutro rano napisz notatkę z tego, co dzisiaj ustaliłaś, i złóż ją do sądu rodzinnego. Resztę załatwią sami albo zlecą nam

jakieś czynności. Powiadom dzisiaj tylko lekarza dyżurnego o sytuacji i poproś, by nikomu nie wydawali dziecka. Gdzie teraz jesteś?

– W karetce. Jadę do szpitala. Co za wieczór. Dzięki za pomoc.

– Nie ma za co. Widzimy się jutro w biurze. Pa.

W szpitalu najpierw skierowali nas do izby przyjęć, gdzie podałam podstawowe dane Wiktora, a potem kazali mi z nim przejść na oddział pediatryczny. Chłopiec chwilami się przebudzał i zaspianymi oczami wpatrywał w moją twarz. Nadal czuć było od niego wymiociny. Trzeba było go dokładnie umyć i przebrać w czyste rzeczy.

Pielęgniarka przyjmująca nas na oddziale najwyraźniej wzięła mnie za matkę. Ubrana w klasyczny zielony mundur składający się z koszuli i spodni spojrzała na mnie surowo. Jej twarz nie budziła sympatii. Miała wąskie zaciśnięte usta, wyglądające jak linia narysowana cienką czerwoną kredką. Niemal czarne oczy przymrużyła, taksując mnie wzrokiem. Oschłym tonem kazała mi przebrać dziecko i przygotować do badania.

– Przepraszam, ale ja nie mam jak ani czym umyć dziecka, ani w co go przebrać – przyznałam bezradnie, trzymając malca na rękach.

– To jak przygotowana tu przyjeżdżasz? – zapytała z pretensją.

– Proszę pani, trochę grzeczniej – odparłam oburzona. – Jestem kuratorem. Tego chłopca przywiozłam z interwencji. Był brudny i głodny. Jego matka została zatrzymana, a ojca nie znamy. Nakarmiłam go mlekiem, przebrałam w znalezione w mieszkaniu ubranka, ale trzeba go umyć. Leżał we własnych wymiocinach i kale.

Po tych słowach na twarzy pielęgniarki najpierw pojawiło się zaskoczenie, a chwilę potem współczucie.

– Sama sobie nie poradzę. Nie mam żadnej wprawy w opiece nad dziećmi. Miałam z nim tu przyjechać i porozmawiać

z lekarzem. Teraz wymaga się ode mnie opieki nad dzieckiem...

W moich oczach pojawiły się łzy, w gardle czułam narastające napięcie wywołane bezsilnością. Wzięłam głębszy oddech, by się uspokoić.

– Mogę tu zostać przez chwilę, ale potrzebuję pomocy...

Pielęgniarka zbliżyła się i położyła mi rękę na ramieniu.

– Zaraz coś, kochana, zorganizuję, a ty w tym czasie rozbierz małego. Jak on się nazywa?

– Wiktor Czajkowski.

Na pediatrii spędziłam prawie dwie godziny. Pielęgniarka wykupała dziecko w dużej umywalce pod bieżącą wodą, sprawnie i szybko obracając je pod kranem. Wiktor niechętnie poddał się tym zabiegom, płakał i niespokojnie machał rękami. Przebrałam go w czystego pajaca i nakarmiłam przygotowanym przez pielęgniarkę mlekiem. Kiedy stałam z nim przy oknie, obserwując opadające w blasku ulicznych lamp ciężkie płatki śniegu, do sali wszedł lekarz. Miał przyjemną, budzącą sympatię twarz. Zmierzwił włosy poprawiając palcami. Był mniej więcej w moim wieku.

– Dobry wieczór. Mamy już pierwsze wyniki Wiktora. Ma lekką anemię i zaburzoną gospodarkę elektrolitową. Jest odwodniony, więc za chwilę podłączymy mu kroplówkę. Przed chwilą byli tu policjanci i prosili, bym przekazał pani kluczyki do auta.

Lekarz wyciągnął rękę i wręczył mi kluczyk od forda.

– Dziękuję. Za chwilę muszę wyjść... Mama Wiktora najprawdopodobniej zostanie zatrzymana, była jego jedynym opiekunem. Rano sąd wyda decyzję w sprawie dalszej opieki nad chłopcem. Zapewne umieści go w jakiejś rodzinie zastępczej, bo nie mamy informacji o innych krewnych. Zostawię panu swój numer telefonu, gdyby jednak ktoś po niego przyszedł... Proszę nie wypisywać go, póki nie ustalimy, kto się nim zajmie, dobrze?

– Dobrze. Długo tu pani zostanie?

– Kilka minut.

Kiedy ponownie zostałam w pokoju sama, usiadłam na drewnianym krześle. Główka Wiktora spoczęła w zgięciu mojego łokcia, a reszta jego drobnego ciała leżała na kolanach. Zaciśnięte piąstki trzymał przyłożone do drobnej klatki piersiowej. Pogłaskałam go po rzadkich, delikatnych, ciemnych włosach. Z jednej strony chciałam stąd jak najszybciej wyjść, a z drugiej myśl o tym, że zostawię go samego, rozdzierała mi serce. Miał tylko kilka tygodni, sam nie pchał się na ten świat. Powinien być dla kogoś całym światem, a był... źródłem stałego dochodu.

Siedząc przy oknie, miałam wrażenie, jakbym przeniosła się w czasie... Zaledwie pięć lat temu byłam w tym szpitalu, na oddziale piętro wyżej. Sama, w brudnej od krwi piżamie... Do dziś pamiętam chłód lodowatej posadzki pod stopami. Nie planowałam ciąży, ale się zdarzyła. Do czasu poronienia marzyłam, by cofnąć czas... Marzyłam, by to dziecko zniknęło. Ta ciąża komplikowała mi życie... Tak uważałam, a gdy je straciłam... poczułam się w środku pusta. Od chwili kiedy dowiedziałam się o ciąży, skupiałam się na negatywach... Na tym, jak zareagują rodzice. Co powie mój chłopak, z którym spotykałam się raptem od czterech miesięcy, co będzie z moją pracą? Przecież dopiero zaczęłam staż? W moich rozważaniach nie było miejsca na myślenie o dziecku, o nowym życiu... Bolesne otrzeźwienie przyszło dopiero dwa tygodnie później... Kiedy w zakrwawionej piżamie stałam bosa na zimnej szpitalnej posadzce...

Teraz, kiedy trzymałam tego malca w ramionach, poczułam, co utraciłam...

\*\*\*

Spałam zaledwie dwie godziny. Wydarzenia minionej nocy wciąż były we mnie żywe. Już o szóstej wylądowałam w biurze

i napisałam notatkę, którą o siódmej trzydzieści przekazałam do sądu. Byłam wyczerpana, ale wciąż naładowana adrenaliną, kiedy do pokoju weszła Malwina. Strząsnęła z ramion śnieg i przewiesiła płaszcz przez oparcie fotela.

– Cześć, ale z ciebie ranny ptaszek. Zrobić ci kawy? – zapytała, przechodząc do pokoju socjalnego.

– Nie, dzięki. Już jestem po dwóch. Jeśli wypiję kolejną, serce chyba wyskoczy mi z piersi.

Kliknęłam na ikonę „Wyłącz komputer” i odeszłam od biurka. Wzięłam do rąk teczkę dozoru Czajkowskiej, schowałam ją do szafy i zamknęłam na klucz. Malwina zalała rozpuszczalną kawę wrzątkiem i wróciła do pokoju.

– Jak się czujesz?

– Szczerze? Jakbym zderzyła się z tirem. Nie wiem, jak możecie zajmować się tym na co dzień. To jakiś koszmar. Czuję się wykończona...

Malwina podeszła i położyła dłoń na moim ramieniu.

– Przyzwyczaiłabyś się... Choć na szczęście takie akcje nie zdarzają się zbyt często.

– Żal mi tego malucha... Leży tam sam w szpitalu. Nikt go nawet nie przytuli. To naprawdę potwornie smutne...

– Wiem, ale nic na to nie poradzisz. Zrobiłaś, co do ciebie należało. Uratowałaś go, zapewniłaś opiekę. Teraz jest bezpieczny, a niedługo trafi do jakiejś spragnionej dzidziusia rodziny. Z tego, co mówiłaś, jest zdrowy, raczej nieobciążony problemami zdrowotnymi. A po takie maluchy ustawia się kolejka. Domyślam się, co czujesz, bo mam tak kilka razy w roku. Takie sytuacje są naprawdę przykre, ale nie możemy nimi się tak obciążać, bo zwariujemy. Zrobiłaś swoje, a teraz pozwól działać innym. Świata nie zbawisz. Skoro Czajkowska tak z nim postąpiła, pod jej opieką nie spotkałoby go nic dobrego.

Malwina wyjęła z szafki cukiernicę i wsypała dwie czubate łyżeczki cukru do kawy. Energicznie zamieszała i spojrzała na mnie zatroskana.

– A teraz posłuchaj starszej koleżanki i jedź do domu się przespać.

# Robert

Za dużo niewiadomych i za dużo sprzecznych informacji, by to zignorować. Łukasz Płotka cały czas twierdził, że ostatni raz rozmawiał z córką przed wyjściem do pracy. Zapewniał, że potem nie miał z nią żadnego kontaktu. Kłóciło się to z relacją Sławomiry Tarkowskiej, sąsiadki rodziny, która twierdziła, że po południu wyraźnie słyszała, jak Emilia kłóciła się z ojcem. Jakub Nadolny mówił to samo. Poza tym w telefonie Emilii znaleźliśmy wiadomości wymieniane między nią a ojcem. Przepraszał ją za coś, chciał porozmawiać, ale ona pisała „by dał jej spokój”. Coś tu się nie kleiło i należało to jak najszybciej wyjaśnić.

Zadzwońłem do niego wcześniej rano i poprosiłem, by stawił się na komendzie w Chojnicach. Przez okno dyżurki obserwowałem, jak nie mogąc znaleźć sobie miejsca, niespokojnie chodzi po poczekalni. Specjalnie kazałem mu na siebie czekać. Chciałem, by się stresował, chciałem wytrącić go z równowagi. Nie miałem zamiaru się spieszyć, więc wyszedłem do niego, dopiero kiedy wypilem kawę i napisałem dwa zaległe raporty.

– Dzień dobry, panie Łukaszu, przepraszam, że kazałem na siebie czekać.

Wyciągnąłem rękę, którą on uściskał. Dłoń miał lepką od potu.

– Dzień dobry – odpowiedział, poprawiając okulary. – Nie mamy wglądu w akta sprawy, prokurator nie chce nam nic powiedzieć. Wiadomo coś więcej w sprawie Emilii?

– Na razie niewiele.



Poprowadziłem go do naszego biura. Maciej był w terenie, więc miałem pokój do swojej dyspozycji. Wskazałem Płotce drewniane krzesło obite skajem, a sam usiadłem za biurkiem.

- Panie Łukaszu, chciałbym dopytać o parę kwestii...
- Oczywiście.

Przyjrzałem się mu uważnie. Płotka starał się zachować pozory spokoju, ale nie panował nad rytmicznie zaciskającą się żuchwą. Wytarł dłonie o spodnie.

– By nie przedłużać, od razu przejdę do rzeczy. Chciałbym ponownie zapytać o popołudnie i wieczór poprzedzające zaginięcie Emilii oraz zapytać, co pan w tym czasie robił.

- Przecież już na to odpowiadałem – powiedział oburzony.
- Tym razem chciałbym usłyszeć prawdę.
- Co mi pan insynuuje?! – Płotka podniósł głos.
- Radzę, by się pan uspokoił i odpowiedział na moje pytanie.

Kiedy miał pan ostatni kontakt z córką?

Łukasz Płotka westchnął zrezygnowany. Spojrzał na mnie, spuścił wzrok i przytaknął.

– Tego popołudnia wróciłem chwilę wcześniej do domu. W mieszkaniu zastałem Emilię, przygotowywała się do wyjścia. Zwróciłem jej uwagę, że za mało czasu poświęca nauce. W końcu za kilka miesięcy zdawała maturę, a dla niej liczyły się wyjścia ze znajomymi, spotkania z Kubą i próby zespołu... Od słowa do słowa wywiązała się między nami awantura. Oboje na siebie krzyczeliśmy. Ja na nią, że za dużo sobie pozwala, ona na mnie, że wiecznie się jej czepiam. Na pożegnanie powiedziałem, że skoro jej się to nie podoba, zawsze może się wyprowadzić, bo przecież jest pełnoletnia... – Spojrzał na mnie strapiony i kontynuował: – Nie mówiłem o tym wcześniej, bo byłem zły sam na siebie, czułem się winny jej zaginięcia. Początkowo myślałem, że chciała zamanifestować swoją dorosłość, że nie wróciła na noc, by zrobić mi na złość, ale kiedy okazało się, że telefon Emilii nie odpowiada

i nie ma jej u żadnych znajomych, przestraszyłem się, że naprawdę uciekła albo że... że odebrała sobie życie... W dzisiejszych czasach młodzież bywa nieobliczalna. Nie wiadomo, co im może strzelić do głowy... Nikomu się do tego nie przyznałem... Nie sądziłem, że moje kłamstwo będzie miało długofalowe skutki... Gdyby Magda się o tym dowiedziała, toby mnie znienawidziła... Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią swojego dziecka, ale cały czas zastanawiam się, co by się stało, gdyby to popołudnie wyglądało inaczej...

– W takim razie proszę mi powiedzieć, co było potem.

– Emilia wyszła z domu, a ja skończyłem pakowanie i pojechałem na szkolenie. Parokrotnie próbowałem się do niej dodzwonić, ale nie odbierała telefonu. Przepraszałem ją, prosiłem o rozmowę, ale była nieugięta. Miałem nadzieję, że do mojego powrotu ochłonie i wtedy spokojnie porozmawiamy... Gdybym tylko wiedział, że to nasza ostatnia rozmowa...

Z oczu Płotki popłynęły ciężkie łzy. Starł je, mocno przecierając twarz dłońmi.

# Gosia

Staralam się skupić na bieżącej pracy, ale myślami wciąż błądziłam wokół Wiktora. Czajkowskiej postawiono zarzut narażenia dziecka na utratę życia lub zdrowia i sąd zdecydował o zastosowaniu wobec niej aresztu. Chłopiec trafił do pogotowia opiekuńczego prowadzonego przez młode bezdzietne małżeństwo mieszkające w Klawkowie, a wobec Czajkowskiej wszczęto postępowanie o pozbawienie jej władzy rodzicielskiej nad Wiktorem.

Parking pod moim blokiem pokryty był grubą warstwą śniegu. Wjechałam w jedyne odśnieżone miejsce, kierując się zasadą: kto pierwszy, ten lepszy. Otworzyłam bagażnik i wypakowałam trzy ciężkie siatki z zakupami. Poczułam lekkie wibrowanie na brzuchu. Przełożyłam zakupy do jednej ręki, zamknęłam bagażnik i wyciągnęłam telefon z ciasnej kieszeni. Na ekranie wyświetlił się nieznan mi numer. Postawiłam zakupy przed sobą i odebrałam.

– Słucham?

– Dzień dobry, czy mam przyjemność z Małgorzatą Drobińską? – zapytał przyjemnie brzmiący męski głos.

– Tak...?

– Mogę pani zająć chwilkę?

W myślach układałam grzeczne formułki spławiające natrętnego akwizytora samogotujących garnków, piorących odkurzaczy czy też innych zbędnych mi do funkcjonowania rzeczy.

– Zależy w jakiej sprawie – odparłam nieco niegrzecznie.

– Z tej strony Piotr Bielawski, jestem adwokatem Jakuba Nadolnego i jeśli wyraziłaby pani zgodę, chciałbym się z panią spotkać i porozmawiać.

– Raczej niewiele pomogę, ale oczywiście możemy się spotkać. Może jutro o siedemnastej w Widokowej na Starym Rynku w Chojnicach?

– Pasuje. W takim razie do zobaczenia.

\*\*\*

Śnieg skrzypiał pod stopami, a zawieszony wokół rynku świąteczny iluminacje wprawiały w przyjemny nastrój. Podświetlona nieczynna fontanna przyciągała wzrok spacerowiczów. Mroźne powietrze szczypało w nos i poliki. Nieodśnieżone i śliskie chodniki nie sprzyjały chodzeniu w kozakach na obcasie. Miałam na sobie lekko rozkloszowaną granatową sukienkę z falbaną na wysokości uda. Czarne, obcisłe skórzane buty sięgające niemal kolan podkreślały szczupłe nogi. Weszłam schodami na czwarte piętro domu handlowego, wprost do Widokowej. Na ladzie stały szklane patery ze smakowicie wyglądającymi ciastami. Byłam tu częstym bywalcem. Od zawsze urzekła mnie atmosfera tego miejsca. A widok rozpościerający się na cały rynek zapierał dech w piersiach. Szczególnie w takie zimowe popołudnie jak dziś.

Zdjęłam płaszcz i powiesiłam go na wieszaku przy wejściu. Rozejrzałam się po kawiarni w poszukiwaniu Piotra Bielawskiego. Nie wiedziałam, jak wygląda, więc powoli ruszyłam w głąb lokalu. Wtedy zobaczyłam mężczyznę w granatowym swetrze i czarnych spodniach, siedzącego przy oknie i obserwującego ludzi wchodzących do kawiarni. Zobaczywszy mnie, wstał i ruszył w moim kierunku. Kiedy stanął naprzeciwko mnie, odniosłam

wrażenie, że go znam. Jednak nie potrafiłam sobie przypomnieć skąd...

– Małgorzata Drobińska. – Wyciągnęłam ku niemu rękę.

– Piotr Bielawski, bardzo mi miło – powiedział adwokat, ściskając mą dłoń.

Skierowaliśmy się do niewielkiego stolika z widokiem na miasto. Kiedy siadałam, odsunął fotel, zachowując się jak gentleman.

– Napije się pani kawy? – zapytał.

– Jeśli mogę, to wolałabym belgijską czekoladę.

Bielawski podszedł do ekspedientki i złożył zamówienie. Po chwili podeszła do naszego stolika z dwiema szklankami czekolady z bitą śmietaną.

– Również się na nią skusiłem – powiedział mecenas. uroczo się uśmiechając. – Pani Gosiu... Czy mogę się do pani tak zwracać?

Skinęłam głową i upiłam niewielki łyk słodkiej, gorącej czekolady. Trzymając kubek w dłoniach, rozgrzewałam zmarznięte, zaczerwienione palce.

– Pozwoliłem sobie do pani zadzwonić tylko dlatego, że mój klient, Jakub Nadolny, poinformował mnie, że była pani kuratorem Emilii Płotki. Chciałem podpytać panią o ich relację. Pan Nadolny utrzymuje, że jest niewinny i ja mu wierzę – powiedział z przekonaniem. – Obecnie nie ma żadnych dowodów świadczących o tym, że mógł zamordować swoją dziewczynę. Policja na razie porusza się po omacku. Dlatego nie mam zamiaru dopuścić do oskarżenia niewinnego człowieka.

– Rozumiem... ale nie bardzo wiem, jak mogę pomóc...

– Mój klient wspominał, że była pani pedagogiem w liceum w Czersku. Jeszcze przed dozorem znała pani Emilię Płotkę, jej kolegów z klasy i zespołu. Chciałbym jedynie, by pomogła mi pani do nich dotrzeć. Myślę, że łatwiej mi będzie uzyskać od nich informacje, jeśli będzie mi towarzyszyć ktoś, kogo darzą

zaufaniem. – Bielawski sięgnął po łyżeczkę i wymieszał gorący napój. – Oczywiście zrozumieć, jeśli pani odmówi...

– Muszę to przemyśleć... Proszę dać mi dzień lub dwa.

– Oczywiście – odparł, odkładając łyżeczkę na spodeczek. – Mogę liczyć na dyskrecję?

– Oczywiście – powiedziała z ciekawością i napiła się aromatycznej czekolady.

– Ta informacja nie może nigdzie wypłynąć... Czy wiedziała pani, że Emilia była w ciąży?

Spojrzałam na niego zdumiona, powoli przetwarzając informację.

– Nie... Nic mi nie wspominała. Niczego też nie zauważyłam...

– Spokojnie, to był pierwszy trymestr, więc ciąża nie była widoczna. Policja podejrzewa, że mogło to stanowić motyw zbrodni. Na razie snują jedynie przypuszczenia, ale ja skłaniam się ku nieznanemu sprawcy. Naprawdę głęboko wierzę, że mój klient jest niewinny, ale na razie wiele dowodów świadczy na jego niekorzyść.

– Kuba wiedział o ciąży? – zapytałam, odstawiając w połowie pusty kubek na stolik.

– Twierdzi, że dowiedział się dopiero podczas przesłuchania.

– A jej rodzice wiedzieli?

– Z materiału zawartego w aktach wynika, że nie, ani razu o tym nie wspomnieli. Na razie nikt ich o tym nie powiadomił. Z uwagi na dobro śledztwa nie mają zgody na wgląd w akta.

– Trochę to dziwne... Wydawało mi się, że rodziny zmarłych na ogół mają prawo do zapoznania się z materiałem.

– Słuszna uwaga... Mnie też to zdziwiło, ale widocznie prokuratura ma ku temu swoje powody.

Mecenas odstawił swój kubek na stół. Na dnie została resztką bitej śmietany posypana kakao.

– Przepraszam za śmiałość, ale myśmy już się kiedyś spotkali. – Uśmiechną się zawadiacko.

– Miałam takie wrażenie, tylko nie pamiętam gdzie...?

W odmętach pamięci starałam się sobie przypomnieć, czy nie bronił wcześniej któregoś z moich podopiecznych albo może spotkaliśmy się na korytarzu sądu.

– Przypomnę pani: ratowałam panią przed nachalnym absztyfikantem z dyskoteki.

Zawstydziłam się, bo przypomniałam sobie tę sytuację sprzed kilku miesięcy.

– Rzeczywiście. Jeszcze raz dziękuję. – Roześmiałam się ubawiona niezręcznością sytuacji.

\*\*\*

Piotr Bielawski skontaktował się z przyjaciółmi Emilii: Moniką i Igorem. Zaprosił ich na spotkanie do siebie do kancelarii. Mieściła się w starej odrestaurowanej kamienicy niedaleko centrum Chojnic. Przeszłam szybkim marszem ulicą Młyńską i skręciłam w Szkolną. Przy wejściu do budynku wisiał szyld kancelarii adwokata Piotra Bielawskiego. Weszłam na klatkę schodową i skierowałam się na prawo. Masywne drewniane drzwi prowadziły do biura mecenasa. Zapukałam, po czym od razu weszłam do środka. W przestronnym korytarzu siedziała młoda, pulchna sekretarka Bielawskiego.

– Dzień dobry, Małgorzata Drobińska – powiedziałam, zdejmując płaszcz.

– Dzień dobry. Pan mecenas już na panią czeka. – Ręką wskazała mi przeszklone drzwi.

Skierowałam się do gabinetu wyposażonego w stylizowane mahoniowe meble. Przy wejściu stał stolik kawowy, dwuosobowa ciemnoszara kanapa i fotel z wysokim oparciem wykończony

drewnianymi elementami. Piotr Bielawski siedział za szerokim biurkiem, a za jego plecami znajdowała się imponująca biblioteczka. Ściany gabinetu zdobiły nienachalne obrazy przedstawiające naturę, a po bokach wysokich okien wisiały ciężkie, jasnoszare zasłony.

Na dwóch krzesłach naprzeciwko Bielawskiego siedzieli nieco spięci Monika i Igor.

– Przepraszam... Chyba się nie spóźniałam? – powiedziałam na powitanie.

– To my przyjechaliśmy chwilę wcześniej – powiedziała Monika, poprawiając obcisłą, skórzaną, czarną spódniczkę.

Bielawski dostawił do biurka jeszcze jeden fotel i zajął swoje miejsce.

– Słuchajcie, spotkaliśmy się, bo chciałbym ustalić kilka kwestii dotyczących Emilii, jej relacji z Jakubem, rodzicami i tego, co robiła przed zaginięciem. To nie jest przesłuchanie, to tylko próba usystematyzowania faktów. Jednak byście sobie niczego nie sugerowali, chciałbym najpierw porozmawiać z Moniką. Ciebie, Igorze, poproszę, byś poczekał chwilkę w sekretariacie.

– No dobrze... – zgodził się z lekką niechęcią chłopak i oglądając się na Monikę, wyszedł z pomieszczenia.

Uważałam, że to dobry pomysł, bo rzeczywiście nieświadomie mogli sobie sugerować pewne wnioski.

– Moniko, długo się przyjaźniłaś z Emilią? – zapytał mecenas, wyciągając z szuflady notes i czarne pióro Parkera.

– Znałyśmy się od dawna. W Czersku znają się wszyscy, jak nie z nazwiska, to chociaż z widzenia. Ogólnie poznałyśmy się w podstawówce, ale nie pamiętam, w jakich okolicznościach. W ogólniaku początkowo była ode mnie klasę wyżej, ale potem zaliczyła repetę i wtedy tak się skumałyśmy. Zaczęło się od tego, że miałyśmy podobny styl ubierania, słuchałyśmy podobnej muzyki. Spędzałyśmy ze sobą coraz więcej czasu. Początkowo we trójkę,



a potem dołączył do nas Jakub. Wtedy narodził się pomysł założenia zespołu.

– Czy między wami dochodziło do sprzeczek? Chodzi mi o waszą czwórkę?

– Jak to między przyjaciółmi, ale jakichś dram nie było. Spieraliśmy się czasem o teksty piosenek czy aranżację utworów, ale nie miało to większego wpływu na nasze relacje. Z Emilią rozmawiałam codziennie. Widywałyśmy się w naszych domach, czasem łączyłyśmy po okolicy, dzwoniłyśmy i pisałyśmy do siebie. Emilia... była moją najlepszą przyjaciółką... – Oczy Moniki się zaczerwieniły i stanęły w nich łzy.

– Na pewno ci się zwierzała – wtrąciłam się do rozmowy. – Jak układało się między nią a Jakubem?

– Wie pani, w każdym związku są wzloty i upadki. Oni mieli trudny start, bo Emilia, jak zaczęła się spotykać z Jakubem, to jeszcze ćpała. To on zmotywował ją do terapii. Zanim trafiła do ośrodka, to często się kłócili, głównie o dragi.

– Jakub nigdy nie brał?

– No tak na sto procent to nie wiem... może kiedyś eksperymentował, ale żeby tak nałogowo, to nigdy nie słyszałam. W każdym razie ja nigdy nie byłam świadkiem, by sięgał po narkotyki. Emi też nigdy o tym nie wspominała.

– A jakie relacje miała z rodzicami?

– Było okej. Zanim poszła na leczenie, to starzy życ jej nie dawali. Często się z nią kłócili. Nie mogli przeboleć, że ich jedynaczka marnuje sobie życie. I wcale się im nie dziwię. Sama też starałam się namówić ją do odstawienia narkotyków, ale ona była uparta i chadzała własnymi drogami.

– A po odwyku jak się dogadywali?

– Było normalnie. Czepiali się jej czasem, ale jak to wszyscy rodzice.

– Emilia zwierzała ci się ze wszystkiego? – zapytałam.

– Emi z jednej strony była otwarta, szybko nawiązywała nowe znajomości, była wesoła, roześmiana, a z drugiej strony zamknięta w sobie. W ostatnim czasie odnosiłam wrażenie, że coś przede mną ukrywa. A dwa tygodnie przed zaginięciem wydawała mi się nieco smutniejsza. Jakaś taka częściej zamyślona, ale może to było tylko moje wrażenie.

– Kiedy widziałyście się ostatnio?

– W szkole, w dniu jej zaginięcia... Myśli pan, że ustalą, kto ją zabił?

Piotr Bielawski odłożył pióro na biurko i spojrzał na nią uważnie.

– Mam taką nadzieję. Poprosiłabyś Igora do nas?

– Jasne.

Monika wyszła z gabinetu i na jej miejsce pewnym krokiem wszedł Igor. Usiadł wygodnie na krześle i palcami przeczesał bujną grzywę jasnych włosów.

– Długo znałeś Emilię?

– Od początku ogólniaka. Mieszkam w Kaliskach i tam chodziłem do podstawówki. Poznałem ją na imprezie u znajomych. Była klasę wyżej, w tamtym czasie lubiła się nieźle zabawić...

– To znaczy?

– No wie pani... – Uśmiechnął się lekko. – Lubiła sobie wypić, zapalić jointa. Początkowo nie wyglądało to najgorzej. Zachowywała się jak większość z nas w tym wieku. Dopiero potem zaczęła sięgać po amfę i przestała nad tym panować. Nikt nie miał wtedy na nią wpływu. Była szalona... – Igorowi, aż zabłysnęły zielone oczy. – Rozkręcała każdą imprezę, była duszą towarzystwa. Każdy chciał się z nią kumplować, ale ona nie każdego do siebie dopuszczała. Zawsze mówiła innym tylko to, co chciała, by o niej wiedzieli.

– Czy jej zachowanie przed zaginięciem było inne? Czy się czymś martwiła?

– Raczej nie...

– Do kogo miała największe zaufanie?

– To trudne pytanie, bo ogólnie z babskimi sprawami przede wszystkim zwracała się do Moniki. Skumały się, kiedy Emi dołączyła do naszej klasy. Przed poznaniem Kuby to ze mną trzymała się najmocniej. W szkole spędzaliśmy czas we trójkę, ale Emi zdarzało się wpadać do mnie wieczorami na fajkę. Potem poznała Kubę. Kiedy zaczęli się spotykać, ja zacząłem chodzić z Moniką. Spotykaliśmy się często we czwórkę, jeździliśmy do Chojnic do kina, łączyliśmy po knajpach, no i założyliśmy zespół.

– Lubisz Kubę? – zapytałam bez pardonowo.

Igor lekko się skrzywił i zmarszczył brwi.

– Jest spoko. Kumplujemy się, ale nie przyjaźnimy. Poza próbami nie spędzaliśmy czasu tylko we dwójkę. Tak naprawdę to Emi była skalającym nas ogniwem.

– Czy Kuba zachował się kiedyś agresywnie?

Igor się zamyślił.

– Nie... On... Chociaż raz była taka sytuacja, że pokłócili się o coś z Emi na jej urodzinach. Wyszedłem na papierosa i zobaczyłem, jak się o coś sprzeczali. Nie wiem, o co chodziło. W każdym razie Kuba był wkurzony na maksa, chciał odejść, Emi złapała go za koszulkę, chcąc go zatrzymać, a wtedy on ją odepchnął i zamachnął się otwartą dłonią. Ale nie uderzył jej, tylko poszedł w drugą stronę. Wróciła po chwili na salę. To było koło trzeciej, ludzie powoli się już rozchodzili, więc nawet nikt nie zwrócił uwagi na zniknięcie Kuby. Następnego dnia pojawił się na poprawinach u nich w domu i gadali ze sobą normalnie, więc chyba nie pokłócili się o nic istotnego.

\*\*\*

Karolina zapukała do drzwi i nie czekając na zaproszenie, weszła do mieszkania, zostawiając mokre ślady topniejącego śniegu. Rozebrała się w korytarzu i weszła do kuchni.

– O, i to lubię. – Cmoknęła mnie w policzek. – Kolacja gotowa, choć raz mogę odpocząć od siedzenia w garach. Jak się kiedyś rozwiodę, to się z tobą ożenię.

– Powiedz to mojej mamie. Uważa mnie za antytalencie kulinarne.

Karolina, przechodząc do części wypoczynkowej, wzięła w jedną rękę sałatkę, a w drugą kieliszek. Rozłożyła się wygodnie na kanapie i położyła stopy na niewielkiej pufie. Doniosłam z kuchni resztę jedzenia, wino i dołączyłam do niej.

– Mam newsy... – zaczęłam.

– Dawaj – powiedziała zniecierpliwiona i zatarła dłonie.

– Pamiętasz faceta z dyskoteki, który spłoszył tego natrętnego adoratora?

– Tego przystojnego blondyna z zielonymi oczami?

Karolina na jego wspomnienie szeroko się uśmiechnęła. Spojrzałam na nią zdumiona i z dezaprobatą pokręciłam głową.

– No co tak na mnie patrzysz? Od kilkunastu lat żyję w monogamicznym związku, to chociaż oczy mogą nacieszyć.

Roześmiałam się głośno.

– Wyobraź sobie, że to właśnie on jest adwokatem Kuby.

– Co ty gadasz? – Z emocji aż się zarumieniła.

– Spotkaliśmy się, by porozmawiać o Emilii. Potem poprosił mnie, bym uczestniczyła w spotkaniu z jej przyjaciółmi.

Wlałam do kieliszków lekko schłodzone wino i podałam je Karolinie

– I? – zapytała zaciekawiona.

– Poszłam, ale niczego istotnego się nie dowiedzieliśmy.

– A co z Bielawskim?

– Ogólnie nic. No może nie do końca nic. Zadzwoił dzisiaj i zapytał, czy moglibyśmy kiedyś zjeść wspólnie kolację.

– No, no, no... Nie dość, że przystojny, dobrze wychowany, to jeszcze dobrze wykształcony. Całkiem niezła partia. Twoi rodzice skakaliby z radości... Rozumiem, że zgodziłaś się na spotkanie?

– A co mam lepszego do roboty w następny weekend? – Uśmiechnęłam się zalotnie i puściłam oko. – Po ostatnich wydarzeniach w pracy przyda mi się rozrywka. Najpierw zaginięcie i śmierć Emilii, potem interwencja u tej ćpunkii...

Wróciłam wspomnieniami do niedawnych wydarzeń. Z moich myśli mogłam się zwierzyć jedynie Karolinie. Choć nie chciałam wracać do bolesnych wspomnień, czułam przemożną potrzebę wyrzucenia tego z siebie...

– Wiesz? Kiedy tak stałam w szpitalu z tym dzieckiem na ręku, wróciły do mnie wspomnienia sprzed pięciu lat...

Moja przyjaciółka była jedyną osobą, która wiedziała o mojej nieplanowanej ciąży. Nikomu nigdy o tym nie mówiłam. To była moja tajemnica. Choć starałam się trzymać emocje na wodzy, łzy stanęły mi w oczach, rozmazując twarz Karoliny. Mrugnęłam i dwie wielkie krople spadły na szarą bluzkę, zostawiając dwie ciemne plamki. Karolina przysunęła się do mnie i przyciągnęła ramieniem. Wtuliłam twarz w jej obojczyk i pozwoliłam sobie na chwilę słabości. Bezgłośnie płakałam, wspominając tamten zimowy wieczór.

– Jeszcze będziesz mamusią... – powiedziała, głaszcząc mnie delikatnie po policzku.

– Mam taką nadzieję... Jednak nigdy się nie pozbędę wyrzutów sumienia...

Karolina odsunęła mnie delikatnie i surowym wzrokiem spojrzała mi w oczy.

– Co ty pleciesz? Jakie wyrzuty sumienia? Poronienia do dwunastego tygodnia ciąży zdarzają się bardzo często.

– No tak... tyle że ja nawet przez moment nie cieszyłam się z tej ciąży... Od początku uważałam ją za kłopot... Od początku marzyłam, by to się nie zdarzyło... A potem, gdy dowiedziałam się, że je straciłam... uznałam, że to przeze mnie... Bo czuło, że go nie chciałam...

– Myślam, że dziecka nie zabiłaś!

– Może nie... ale wyrzuty sumienia z tego powodu gryzą mnie do dzisiaj...

# Robert

Jakubowi Nadolnemu nie mogliśmy postawić żadnych zarzutów. Aby postawić go w stan oskarżenia, brakowało nam obciążających dowodów, a na razie cały czas zbieraliśmy materiał, w którym ciągle pojawiały się jakieś luki.

Włos znaleziony na ciele Emilii Płatki należał do Nadolnego, ale skoro widzieli się na chwilę przed jej zaginięciem, można to było racjonalnie wytłumaczyć. Porównaliśmy też materiał genetyczny płodu z próbkami pobranymi od Jakuba Nadolnego i z całą pewnością nie był ojcem poczętego dziecka. Jednak nie zamierzałem go o tym informować. Sprawa była jeszcze bardziej zawiła, niż się spodziewałem. Dziś po raz kolejny przesłuchiwałem Jakuba Nadolnego, któremu towarzyszył mecenas Piotr Bielawski. Siedzieliśmy w ciasnym biurze, upchani niczym sardynki w puszcze. W pokoju panował zaduch, więc lekko uchyliłem okno.

– Sprawdziliśmy pana alibi dotyczące wizyty w hotelowym barze. Nagrania z kamer oraz barmanka potwierdziły pana wersję – powiedziałem, zerkając na mecenasa, który zadowolony nieznacznie się uśmiechnął.

– Mówiłem, że to nie ja... – Jakub Nadolny westchnął z ulgą.

– Panie Jakubie, przesłuchaliśmy świadków, w tym pana znajomych, i chciałbym dopytać o kilka rzeczy.

Jakub spojrział kontrolnie na mecenasa, a kiedy ten skinął głową, przytaknął.

– Jakie relacje łączyły Emilię z Igorem?

– Myślę, że dobre. Przyjaźnili się od kilku lat. Emi zawsze się o nim ciepło wypowiadała. Czasem bywałem o to zazdrosny. Wiem, że on kiedyś się w niej podkochiwał. Nawet się całowali, ale to było, zanim mnie poznała.

– Byli parą?

– Sam nie wiem... czy tak można to nazwać, ale Emilia mówiła, że to trwało kilka tygodni. Lubiła go i to bardzo, ale traktowała go jak młodszego brata, a nie jak kandydata na chłopaka.

– Jak to przyjął?

– Chyba dobrze, bo mimo to nadal się z nią kumplował.

Wyjąłem zdjęcie czerwonej koronkowej bielizny i pokazałem je Jakubowi.

– Widziałeś ją kiedyś?

Spojrzał zdezorientowany na mecenasa.

– Nie przypominam sobie. Co to jest? – zapytał, biorąc zdjęcie do ręki.

– Bielizna znaleziona u Emilii. Jak rozumiem, ty jej nie kupowałeś.

– Pierwszy raz ją na oczy widzę. Emi chodziła zawsze w czarnej.

\*\*\*

Ostatnio w domu nie mogłem znaleźć sobie miejsca, nie spieszyło mi się do pustego mieszkania. Staralem się skupić całą uwagę na robocie. Maciej miał dzisiaj wolne, dlatego mogłem dłużej posiedzieć w biurze i jeszcze raz dokładnie przejrzeć papiery. Coś mi nie pasowało w tej całej historii zaginięcia, tylko nie bardzo wiedziałem co. Obejrzałem po raz kolejny zdjęcia z sekcji zwłok, odczytałem zeznania Jakuba Nadolnego oraz Łukasza Płotki i nie wpadłem na nic nowego. W komisariacie panował spokój i niczym niezamącona cisza. Zerknąłem na zegarek,



wybiła dwudziesta pierwsza. Nie czułem zmęczenia, choć służbę skończyłem kilka godzin temu. Wyszedłem z komisariatu i postanowiłem nadrobić nieco drogi do Chojnic, by przejechać się na miejsce znalezienia ciała Emilii. Wsiadłem do czarnej skody octavii i powoli ruszyłem z miejsca. Mokra ulica delikatnie połyskiwała w blasku reflektorów. Niewielkie krople wody łączyły się w większe i spływały wąskim strumieniem po szybie.

Wjechałem na szutrową uliczkę prowadzącą do miejsca, w którym Emilia Płotka dokonała żywota. W oddali zauważyłem niewielkie czerwone światło. Podjechałem bliżej i zatrzymałem się naprzeciwko niedokończonej budowy, oświetlając reflektorami przód budynku. Przez chwilę siedziałem w odpalonym aucie, obserwując palący się znicz ustawiony tuż przy wejściu do garażu. Uchyliłem okno, wpuszczając rześkie, wilgotne powietrze. Deszcz siępił nieprzerwanie, jednak nie zniechęciło mnie to do wyjścia z auta. Ledwo zatrasnąłem drzwi, kiedy kątem oka zauważyłem jakiś cień szybko przemieszczający się wzdłuż budynku.

– Hej! – zawołałem, spoglądając w jego kierunku.

Nim zrobiłem ku niemu krok, postać odwróciła się i w popłochu ruszyła w stronę gęstych zarośli. Długie, szczupłe nogi wysuwała daleko przed siebie, chcąc jak najszybciej zwiększyć dystans między nami.

Nieco zdezorientowany zostawiłem odpaloną skodę i ruszyłem w pogoni za zbiegiem.

– Stój! – krzyknąłem, mając nadzieję, że uciekinier się zatrzyma. – Policja!

Mokre szutrowe podłoże trzeszczało pod moimi stopami, buty lekko ślizgały się po drobnych kamieniach. Nie bardzo rozumiałem, czemu ktoś ucieka. Jedyne co przychodziło mi do głowy, to to, że miał coś do ukrycia. Nie mogłem dać mu uciec... Biegłem coraz szybciej, starając się go dogonić. Kiedy wbiegliśmy w niewielki zagajnik, wytrzymałem wzrok, nasłuchiwałem

trzaskających pod nogami gałęzi... Biegłem, choć na chwilę straciłem go z pola widzenia, zdezorientowany szukałem go wzrokiem. W końcu dostrzegłem cię przed sobą. Bałem się, że za chwilę go zgubię... Przy ścieżce leżała gruba gałąź, sięgnąłem po nią i bez większych nadziei rzuciłem przed siebie. Przeleciała kilkanaście metrów, odbiła się od podłoża i ponownie przeleciała kilka metrów, uderzając uciekiniera w łydki na tyle mocno, że stracił równowagę i z impetem przewrócił się na piach. Nim zdążył się podnieść, podbiegłem do niego i złapałem za bluzę, odwracając do siebie twarz.

– Igor? – zapytałem zdziwiony.

Chłopak próbował wyszarpać się z uścisku, ale robił to tak nerwowo, że jedynie mocniej ubrudził się błotem.

– Uspokój się, do cholery, bo cię skuję! – krzyknąłem, a on spojrzał na mnie rozszerzonymi źrenicami.

\*\*\*

Przywiozłem Igora na komisariat. Nic na niego nie miałem, ale postanowiłem spróbować coś z niego wyciągnąć. Jego tłumaczenia były trochę pokrętne, ale Igor przekonywał mnie, że spontanicznie urwał się z imprezy u kumpla i postanowił przyjść na budowę zapalić znicz, by uczcić pamięć Emilii. Lampkę kupił godzinę temu w pobliskim markecie, nawet miał przy sobie paragon. Był nieco splątany, więc zrobiłem mu test na narkotyki. Wyszedł negatywnie. Zachowywał się nieco dziwnie, więc bojąc się puścić go samego do domu, zadzwoniłem po jego matkę. Siedział zgarbiony na drewnianym krześle i wpatrywał się w majaczący za oknem księżyc.

Stałem w korytarzu i rozmawiałem z Iloną Perszewską. Zerkąła na niego zatroskana.

– Syn cierpi na depresję i od kilku tygodni znów przyjmuje antydepresanty. Lekarz nas uprzedził, że skutkiem ubocznym duloksetyny może być nadpobudliwość, bezsenność. Lek może powodować także powiększenie źrenic. Igor nigdy nie sięgał po narkotyki, więc nie sądzę, by był pod ich wpływem, ale w razie czego w szpitalu mogą wykonać odpowiednie badanie...

– Na razie nie ma takiej konieczności. – Zapisalem w notesie nazwę leku, bo chciałem to potem skonsultować z lekarzem. – Od jak dawna Igor ma depresję?

Ilona Perszewska westchnęła.

– Zaczęło się w trakcie pandemii... Na kilka miesięcy zamknięto szkołę, dzieciaki siedziały całymi dniami przed komputerami, nie miały ze sobą styczności i ich jedynym towarzyszem był monitor. Igor, zawsze dusza towarzyska, wycofał się społecznie, nie chciał nigdzie wychodzić, większość dnia spędzał w domu. A kiedy znów umożliwili dzieciom naukę w szkole, zaczął się bać oceniania, nie radził sobie z emocjami, miewał wybuchy złości... – Spojrzała na mnie czujnie, po czym pośpiesznie dodała: – Ale nie takie wymierzone w kogoś, tylko takie wymierzone w siebie... – Wzięła głębszy oddech. – Igor zaczął się samookaleczać, ma wiele blizn na przedramionach. Kiedy zauważyliśmy, co się z nim dzieje, chcieliśmy zgłosić się z nim do psychologa... Jak najszybciej chcieliśmy mu zapewnić odpowiednią pomoc, ale wie pan co? Psychiatria dziecięca leży, by dostać się do lekarza, błagałam o termin! – W oczach Ilony Perszewskiej pojawiły się łzy. – Wyklócałam się w rejestracji, a i tak musieliśmy odczekać swoje... Kto nie miał z tym styczności, nie wie, z jaką ścianą spotykają się dzieciaki i ich rodzice! Dramat! – powiedziała rozgoryczona. – Człowiek czuje taką bezsilność i taką złość na ten pieprzony niewydolny system...

– Długo się leczył? – zapytałam, podając jej chusteczki wyciągnięte z przemoczonej kurtki.

– Niecały rok, a potem wszystko wróciło do normy, aż do... odnalezienia ciała Emilki... Jak Igor dowiedział się o jej śmierci, znów zaczął mieć napady lęku, miewał myśli rezygnacyjne... Dlatego znów zgłosiliśmy się z nim do psychiatry... Leki bierze od niedawna i jeszcze chwilę potrwa, zanim zaczną przynosić efekty...

# Gosia

Stałam przed lustrem, zastanawiając się, którą sukienkę włożyć. W rękę trzymałam dwa wieszaki: z zieloną obcisłą sukienką przed kolano i czarną – mini. Postawiłam na butelkową zieleni. Do sukienki dobrałam czarne klasyczne szpilki i czarne rajstopy. Włosy związałam w kucyk, mocno wytuszowałam rzęsy, a usta podkreśliłam czerwoną szminką. Byłam gotowa na imprezę urodzinową Leona. Odśnieżyłam przysypany mokrym śniegiem samochód i ruszyłam w drogę. Ustaliliśmy, że auto zostawię u Karoliny przed domem, a jutro po południu się do nich przespaceruję. Dzieliło nas jedynie siedem kilometrów. Szybkim tempem pokonywałam tę odległość w godzinę.

Kurtuazyjnie zadzwoniłam do drzwi i weszłam do środka. Już od progu słyszałam śmiech i trwające przy stole dyskusje. Leon jak zwykle powitał mnie z uśmiechem. Wręczyłam mu prezent i złożyłam życzenia.

– Wszystkiego najlepszego. Spełnienia marzeń, samych sukcesów i żeby Karo zawsze cię słuchała. – Puściłam do niego oko.

– Takie życzenia to ja lubię – zaśmiał się. – Chodź, przedstawię cię, bo na pewno nie znasz wszystkich.

Przeszliśmy do przystrojonego ledowymi światełkami salonu. Lampki odbijały się w witrynach. Chociaż przyszłam punktualnie, wszyscy goście siedzieli już przy stole. Rozejrzałam się po twarzach: dyrektor liceum z żoną, kuzynka Leona z mężem, kilku nauczycieli ze szkoły Leona z małżonkami i... Robert Grubicki. Nie

budził mojej sympatii, więc kiedy zauważyłam, że mnie rozpoznał, jedynie skinęłam głową w jego kierunku.

– Witam wszystkich... – Zamachałam dłonią.

– Gosia Drobińska. – Leon przedstawił mnie zebranym. – Większość znasz, a jak impreza się rozkręci, poznasz resztę. – Roześmiał się.

Siadłam między Karoliną a jej kuzynką. Spotykaliśmy się regularnie na każdej rodzinnej imprezie Goców. Leon i Karolina byli świetnymi gospodarzami, dbającymi o luźną atmosferę i pełne brzuchy. Dyskutowaliśmy głośno i zażarcie na temat polityki kraju, przyszłości szkolnictwa, budżetówki. Panowie sypali kawałami i nauczycielskimi anegdotami.

Kiedy pomagałam Karolinie sprzątnąć puste naczynia ze stołu, skorzystałam z okazji, by ją trochę wypytać.

– Skąd znacie Roberta? – szeptałam konspiracyjnie, wkładając brudne talerze do zmywarki.

– To kuzyn Leona. Kilka miesięcy temu sprowadził się do Chojnic. Wcześniej mieszkał z żoną w Bytowie. Ona była, jak by to powiedzieć... trochę antyspołeczna. Choć wielokrotnie ich do siebie zapraszaliśmy, za każdym razem miała jakąś wymówkę. Robert wpadał do nas czasem na kawę. Potem się rozwiódł i wrócił w rodzinne strony.

– Mają dzieci?

Poprawiłam marszczącą się w talii sukienkę i nastawiłam wodę na herbatę.

– Na szczęście nie. A ty go znasz? – Karolina spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Tylko z pracy. Był na tej interwencji, kiedy zabierałam tego maluszka. No i to on wlepił mi mój jedyny w życiu mandat – przyznałam oburzona.

Karolina cicho zachichotała i wcisnęła mi w rękę salaterkę z rybą po grecku.

– Postaw to na stole, piratko.

Zgodnie z coroczną tradycją Goców o północy wyszliśmy przed dom odpalić petardy. Ciepło ubrani staliśmy na podwórzu w oczekiwaniu na atrakcję wieczoru. Przeszłam na niewielki pomost naprzeciwko ich domu. Głośny śmiech rozbawionego towarzystwa niósł się po okolicy. Stojąc na pomoście, obserwowałam lecące ku niebu race. Ciągnęły za sobą rozświetlony ogon drobnych iskier. Rozpadały się nad naszymi głowami na tysiące kawałków. Migające światełka odbijały się w lodowym lustrze pokrywającym jezioro.

– Chyba kiepsko zaczęliśmy – powiedział Robert, podchodząc do mnie.

W rękach trzymał dwie kryształowe szklanki wypełnione lodem i bursztynowym płynem. Wręczył mi jedną z nich.

– Zdarza się... Wykonywałaś swoją pracę.

Uśmiechnął się delikatnie, unosząc jedynie jeden kącik ust. Dopiero kiedy stał tak blisko, zauważyłam, że ma niewielką wadę zgryzu.

– Ale mogłem być trochę miłszy.

– Szczerze? – Odwzajemniłam uśmiech. – To wolałabym, byś był łaskawszy i darował mi mandat, ale teraz już musztarda po obiedzie.

– W takim razie wypijmy za błędy...

Rozbawiona roześmiałam się na głos.

– Zgoda.

Uniosłam swoją szklankę do toastu, Robert uczynił to samo. Szkło, stukając o siebie, przyjemnie brzdęknęło. Zamoczyliśmy usta w pachnącej suszonymi owocami whisky. Alkohol delikatnie rozlał się po moim przelyku.

Robert patrzył mi w oczy, wywołując moje niemałe zakłopotanie. Dopiero teraz przyjrzałam się mu dokładnie. Miał niewielką bliznę przecinającą brew i nachodzące na siebie górne

jedynki. Przypominał mi trochę Toma Hardy'ego. Speszona jego świdrującym wzrokiem, przeniosłam spojrzenie na pozostałych gości, którzy niespiesznie wchodzili do domu.

– Dołączamy do nich? – zapytał Robert, również patrząc w tamtym kierunku.

– Dołączamy – odparłam i ruszyłam przodem, zostawiając w śniegu niewielkie ślady butów.



# Patron

Niezapominajka03: Czekałam na Ciebie w piątek...

Niezapominajka03: Wystawiłeś mnie. Coś się stało?

Patron: Przepraszam, coś mi wypadło. Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

Niezapominajka03: Nie mogłeś dać znać? Stałam jak jakaś debilka pod hotelem.

Patron: Nie miałem neta. Naprawdę nie miałem jak Cię uprzedzić. Strasznie mi głupio... Drugi raz nie nawalę. Liczę na drugą szansę.

Niezapominajka03: No nie wiem, czy na nią zasługujesz...?

Patron: Uwierz mi, że nie pożałujesz...

Niezapominajka03: Słuchaj, koleś, nie jestem dziewczyną, która pozwoli sobie na takie traktowanie!

Patron: Mhyyy... Lubię, jak wystawiasz pazurki... Jesteś wtedy taka seksowna...

Niezapominajka03: Myślisz, że to zabawne?!

Patron: Lubię dziewczyny z charakterem ;) Naprawdę bardzo Cię przepraszam ;\* Nie zawsze wszystko układa się po mojej myśli. To co, dasz się przeprosić?

Niezapominajka03: Zastanowię się ;P

# Gosia

Czarna skórzana mini i czarny golf z bufiastymi, niemal przezroczystymi rękami były zestawem idealnym na randkę. Ze stresu miałam ściśnięty żołądek i nie wiedziałam, czy dam radę cokolwiek przełknąć. Piotr przyjechał po mnie punktualnie o dziewiętnastej i zaprosił na kolację do jednej z najlepszych restauracji w Chojnicach. Wsiadłam do czarnego BMW 5 pachnącego Versace.

Piotr zachowywał się jak prawdziwy gentleman: otwierał mi drzwi w aucie, przepuszczał przodem, odbierał płaszcz, odsuwał krzesło. Czulałam się jak księżniczka na balu debutantek.

– Pięknie wyglądasz – powiedział, wpatrując się we mnie z zachwytem.

– Dziękuję – wydukałam z siebie, bo nigdy nie wiedziałam, jak reagować na komplementy. – Pyszne krewetki – dodałam. – Za każdym razem je tu zamawiam.

– Często tu bywasz?

– Nie tak często, jak bym chciała. Czasem przychodzę tu z przyjaciółką, na obiad albo drinka.

– Z tą dziewczyną z dyskoteki? – zapytał Bielawski, sięgając po zimną colę.

– Tak. Karolina to taki mój anioł stróż. Jest ode mnie niewiele starsza, ale od zawsze mi matkuje. – Upiłam niewielki łyk białego wina.

– Taka przyjaciółka to skarb – przyznał.

Kątem oka zauważyłam, jak do restauracji wchodzi grupka mężczyzn. Wśród nich dostrzegłam Roberta Grubickiego. Widząc mnie, podniósł rękę na powitanie i się uśmiechnął. Dopiero wtedy spojrzał na mojego towarzysza i miałam wrażenie, że nieco się skrzywił. Siadł ze znajomymi przy długim stoliku naprzeciwko nas i choć nie patrzył na mnie, czułam na sobie jego wzrok. Powodowało to dyskomfort porównywalny z gryzącym swetrem.

– Naprawdę uważasz, że Kuba jest niewinny? – zapytałam.

– A ty uważasz inaczej?

– Ogólnie słabo go znam, więc tak naprawdę nie mam zdania, ale widział ją ostatni, co od razu czyni z niego głównego podejrzanego.

– Teoretycznie tak, ale ma twarde alibi. Dla mnie najważniejsze jest niedopuszczenie do skazania niewinnej osoby, a policja powinna zająć się wytypowaniem podejrzanych. Z tego, co wiem, to na razie nie wiedzą, czego się złapać. Nie znają motywu. Biorąc pod uwagę materiał dowodowy, jakim dysponują, morderstwa nie dokonano ani na tle rabunkowym, ani seksualnym.

– Czyli co? Mamy w okolicy psychopatę?

– Niewykluczone.

Z Piotrem rozmawiało mi się bardzo przyjemnie, był ciekawym rozmówcą, nie kończyły się nam tematy, ale... brakowało chemii, motyli w brzuchu, uderzenia endorfin.

O północy Piotr odwiózł mnie do domu. Staliśmy przed drzwiami mojego mieszkania i była to chyba najbardziej krępująca sytuacja w moim życiu. Piotr nachylił się, by mnie pocałować, a ja jak na zwolnionym filmie widziałam jego zbliżającą się ku mnie twarz. Pocałował mnie delikatnie w usta.

– Dziękuję za wspaniały wieczór – powiedział, odgarniając z mojej twarzy niesforny kosmyk.

– Ja również.

– Mam nadzieję, że to powtórzymy. Może w piątek wybralibyśmy się na spacer? – zapytał, patrząc mi w oczy.

– Bardzo chętnie – odparłam, szukając w kieszeni płaszcza kluczy do mieszkania.

– To jesteśmy umówieni – powiedział Piotr i ponownie mnie pocałował.

# Robert

Moja cierpliwość była na wykończeniu. Ustaliłem, że Łukasz Płotka nadal nie był ze mną szczerzy.

– Żarty się skończyły! Mam dość zabawy w kotka i myszkę! Albo, kurwa, zaczniesz mówić prawdę, albo trafisz do kryminału za zabójstwo córki!

Łukasz Płotka spojrział na mnie przestraszony.

– Co to za bzdura! Nie zabiłem Emilii! To było moje jedyne dziecko! Kochałem ją...

– I dlatego ciągle kłamiesz? Myślisz, że głupka masz przed sobą?! Byłeś na szkoleniu, ale zaczynało się dopiero w czwartek, a ty wyjechałeś na nie już w środę po południu. Zniknąłeś z domu na noc ze środy na czwartek i nie wiadomo, gdzie w tym czasie byłeś. W czwartek rano stawiałeś się na zajęciach, a po telefonie żony wróciłeś do Czerska. Gdzie, do cholery, byłeś w noc zaginięcia Emilii?!

Znudziły mi się już zagrywki tego faceta. Łukasz Płotka patrzył na mnie przerażonymi i pełnymi łez oczami. Usta mu drgały, zuchwa naciskała na szczękę z taką siłą, że bałem się, że za chwilę wyłamie sobie zęby.

– Czekasz, aż nasze podejrzenia wypłyną i jakieś pismaki cię obsmarują? Mogę ci to załatwić od ręki! Chcesz?!

– Nie mogę wyjawić, gdzie byłem, to i tak nie zwróci Emilii życia, ale przysięgam na wszystkie świętości, nie zabiłem mojej córki! Błagam, uwierzcie mi!

– Jeśli nie zaczniesz współpracować, porozmawiam z twoją żoną i uświadomię ją w kilku kwestiach. Domyślam się, że nadal nie wie o twojej kłótni z córką ani o tym, że szkolenie było jedno-, a nie trzydniowe. A jeśli będzie to mało, zatrzymamy cię i poczekamy, aż rozniosą się brzydkie plotki...

– To by mnie zrujnowało! Mieszkamy w małej miejscowości! Wie pan, jak szybko takie informacje się rozchodzą? Z prędkością błyskawicy. Nie zostawią na mnie suchej nitki – powiedział wzburzony, a kiedy nieco się uspokoił, dodał: – Nie chciałem zostawić żony... na swój sposób nadal ją kocham. Wie pan, po tylu latach małżeństwa żar trochę przygasł. Rok temu na szkoleniu poznałem pewną kobietę... – Płotka zdjął okulary i przetarł szkła bawełnianą chusteczką wyciągniętą z kieszeni spodni. – Spotkaliśmy się trzy, cztery razy. To nic poważnego. To taka odskocznia od prozy życia... – usprawiedliwiał się drżącym ze zdenerwowania głosem. – Takie wakacje od małżeństwa i codziennych obowiązków.

Oparłem się wygodnie w fotelu i w zdumieniu wysłuchiwałem jego wyznania.

– Tamtej nocy byłem z tą kobietą w hotelu w Starogardzie Gdańskim. Za hotel zapłaciłem gotówką.

– Oczywiście musimy to sprawdzić. – Sięgnąłem po notes i długopis. – Podaj dane tej kobiety, byśmy mogli potwierdzić alibi. Dla mnie jesteś mało wiarygodny! Tyle razy słyszałem z twoich ust kłamstwa, że nie uwierzę, dopóki tego nie potwierdzę! Będziesz tu siedział tak długo, aż twoje alibi okaże się prawdziwe. Zrozumiałeś?

– Przysięgam, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią córki! Przestań mi to wmawiać! – wykrzyczał rozhisteryzowany Łukasz Płotka.

Był tak czerwony na twarzy, że przestraszyłem się, że za chwilę dostanie wylewu. Ze zdenerwowania pocił się na całym ciele.

Drobne krople potu pojawiły się na jego twarzy, a pod pachami powstały wielkie mokre plamy.

– Bałem się, że to dojdzie do Magdy... – powiedział spokojniej. – Ona by mi nie wybaczyła. Straciłem córkę, nie chcę stracić żony... Ona by tego nie przeżyła.

Podąłem Płotce kartkę i długopis. Drżącą ręką zapisał dane kobiety mieszkającej w Starogardzie Gdańskim, podał jej imię, nazwisko, dokładny adres i numer telefonu.

– To o to się wtedy pokłóciłeś z córką, prawda?

Łukasz Płotka przetarł chusteczką twarz i przytaknął.

– Wtedy po południu Emilia dowiedziała się o moim romansie. Natknęła się na SMS-y, które wysłaliśmy do siebie tego dnia. Rozłądował się jej telefon, a chciała zadzwonić do Kuby i go uprzedzić, że się chwilę spóźni. Zgodziłem się... Wtedy dostałem od tej znajomej wiadomość, że nie może się doczekać spotkania... Z wiadomości ewidentnie wynikało, że najbliższe dwa dni mamy spędzić razem. Emilka strasznie się zdenerwowała. Wrzeszczała na mnie, wyzywała. Powiedziała, że się na mnie zawiodła. Obiecałem jej, że zakończę tę znajomość... Zagroziła, że jeśli tego nie zrobię, powiadomi żonę. Nie chciałem rozpadu rodziny, więc obiecałem Emilii, że po raz ostatni spotkam się z tą kobietą i z nią zerwę. Emilia chciała, bym całkiem odwołał wyjazd. Kiedy usłyszała, że nie mogę tego zrobić, zdenerwowana wyszła z domu. Pisałem do niej, przepraszając, dzwoniłem, chcąc załagodzić sytuację, ale nie odbierała.

\*\*\*

Przekazałem dane kochanki Łukasza Płotki komendzie w Starogardzie Gdańskim. Kobietę niezwłocznie przesłuchano. Jej zeznania pokryły się z zeznaniami Płotki. Kobieta przyznała, że spotykali się sporadycznie. Nie chcieli rozbijać swoich związków,

a po tym, jak Emilia dowiedziała się o ich relacji, ustalili, że więcej się nie zobaczą. Ostatnią wspólną noc spędzili w noc zaginięcia Emilii. Słowa Łukasza Płotki i jego kochanki znalazły potwierdzenie w nagraniach monitoringu z lobby hotelu, w którym się zatrzymali.

Uzupełniałem dokumentację, kiedy do pokoju wszedł naczelnik i rzucił na moje biurko cienką tekturową teczkę.

– Pojedziesz tam jeszcze dzisiaj i przesłuchasz dziewczynkę i jej matkę.

Sięgnąłem po teczkę i ją otworzyłem. Na pojedynczej kartce znajdowały się dane piętnastoletniej dziewczyny i jej rodziców. Zgłosili, że dziewczyna nagabywana jest przez jakiegoś internautę do wysyłania nagich zdjęć i filmików.

– Zaczynam być specjalistą od zboków? – zapytałem.

– Masz wprawę. – Naczelnik zaśmiał się szyderczo i wyszedł z pokoju.

Zerknąłem na zegarek. Za dwie godziny kończyłem służbę, więc jeżeli nie chciałem robić nadgodzin, musiałem załatwić to teraz. Wyłączyłem komputer, zebrałem papiery rozrzucone na biurku i schowałem je w pancерnej szafie. Na Osiedle 700-lecia w Chojnicach dojechałem w kilka minut, w międzyczasie skontaktowałem się z matką dziewczyny i ustaliłem, że obie są w domu. Zaparkowałem auto przy niewielkiej pizzerii i kilkadziesiąt metrów pokonałem pieszo. Kiedyś młodzież przesiadywała pod blokami i konspiracyjnie popalała papierosy. Teraz klatki schodowe i place zabaw świeciły pustkami. Młodzież przesiadywała głównie w Fosie i Parku 1000-lecia. Ukrywając się przed surowym wzrokiem rodziców.

Rodzina mieszkała na parterze bloku przy Filomatów siedem.

– Widziałam już pana przez okno. Zapraszam – powiedziała kobieta mniej więcej w moim wieku.



Krystyna Miloch poprowadziła mnie do pokoju gościnnego, w którym czekała dziewczynka o wyglądzie kobiety. Nikola Miloch miała niespełna metr siedemdziesiąt, wydatne usta i bardzo kobiece kształty, kojarzące się z Kim Kardashian. Gdybym nie wiedział, że ma piętnaście lat, z całą pewnością dałbym jej co najmniej dwadzieścia.

Usiedliśmy przy okrągłym stole, na który stały talerzyk z czekoladowymi cukierkami i bukiet czerwonych róż.

– To od męża, na dwudziestą rocznicę ślubu – powiedziała Krystyna Miloch, widząc, na co patrzę.

– Zgłaszała pani, że córka nawiązała znajomość z mężczyzną z internetu – powiedziałem, zachęcając je do podania szczegółów.

– A więc dziś rano moja córka poszła do łazienki i zostawiła swój telefon na szafce przy łóżku. Weszłam do jej pokoju, chcąc zabrać brudne naczynia. Wtedy zauważyłam, że nie ma zablokowanego ekranu komórki. Wie pan... dzisiejsza młodzież wręcz obsesyjnie zabezpiecza wszystko hasłami. Niełatwo ich kontrolować. A jak widać na załączonym obrazku, z tego nie wychodzi nic dobrego.

Pani Miloch spojrzała karcącym wzrokiem na córkę. Zaczerwieniona Nikola tępo wpatrywała się w swoje palce i skubała skórki przy paznokciach. Była zawstydzona sytuacją.

– Weszłam na portale społecznościowe i na jednym z nich wyświetlił mi się ten czat. Nikola rozmawiała z jakimś „Patronem”. Jak zobaczyłam filmiki i zdjęcia, to omal zawału nie dostałam! Normalnie powiem panu szczerze, miałam ochotę ją zabić! – Podniosła głos wzburzona. – Teraz już mi przeszło, choć do końca życia będę się bała, że to gdzieś wypłynie. Przeczytałam ich korespondencję i dowiedziałam się, że oni się widywali... Uprawiali seks, za który on jej płacił!

– Nie płacił mi za seks, tylko dawał mi pieniądze, tak po prostu – powiedziała Nikola, nie patrząc na nas.

– Traktował ją jak... prostytutkę! – wtrąciła się Krystyna Miloch.

– Mama! Nie wiesz, to nie mów bzdur.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytałem.

– Kilka miesięcy temu. Najpierw tylko do siebie pisaliśmy, a potem zaczęliśmy się spotykać. To fajny facet, żaden zboczeniec! – mówiła z przekonaniem Nikola.

– Ile córka miała lat, jak to się zaczęło? – zapytałem.

– Piętnaście – odparła Krystyna Miloch.

– Skończone? – dopytywałem, bo to było bardzo istotne dla sprawy.

– Tak, była miesiąc po urodzinach.

– Czy ja muszę mówić przy mamie? – zapytała zakłopotana nastolatka, patrząc cały czas na swoje dłonie.

– Jest twoim opiekunem, nie jesteś pełnoletnia, więc mama powinna przy tym być.

– No to ja nic więcej nie powiem... – Nikola Miloch założyła ręce na piersi i spojrzała na mnie gniewnie. – On mnie do niczego nie zmuszał. Kocham go i on mnie też, i nie będę na niego donosić.

Spojrzałem na nią współczująco. Młodość rządzi się swoimi prawami, była naiwna stosownie do wieku. Można próbować jej to wyperswadować, ale trzeba było liczyć się z porażką.

Matka wyjęła z kieszeni spodni komórkę, chcąc mi ją wręczyć.

– Proszę, sprawdźcie sobie wszystko.

– Ja się nie zgadzam! – Nikola Miloch wpadła w histerię i próbowała wyszarpać matce telefon.

– Zostaw! – krzyczała pani Miloch, starając się odsunąć ręce córki od aparatu. – Co ty odstawiasz, dziecko?! Uspokój się, do cholery!

Nastolatka wstała z krzesła i zaczęła szarpać matkę za sweter, chcąc przyciągnąć jej rękę. Matka uparcie się wyrywała. Podniosła telefon do góry. Sytuacja była groteskowa. Przez chwilę zaskoczony obserwowałem to widowisko.

– Spokój! – wrzasnąłem, co podziałało otężeźwiająco na obie kobiety.

– Pani Krystyno, czy córka była ofiarą przestępstwa? Czy ktoś ją do czegoś zmuszał? Czy zmuszał do współżycia, czy innych czynności seksualnych?

– Nie – powiedziała ze łzami w oczach.

– Wobec tego przykro mi, ale nie mogę nic zrobić. Nie doszło do przestępstwa. Córka ma piętnaście lat i mogła rozpocząć współżycie z dorosłym mężczyzną. W świetle prawa to nie jest zabronione...

# Gosia

Stałam na schodach przed drzwiami aresztu przy Pietruszkowej w Chojnicach i czekałam, aż strażnik wpuści mnie do środka. Zniecierpliwiona przestępowałam z nogi na nogę. Kiedy w końcu odbezpieczył pancerne drzwi, sprawdził moje dokumenty i skontrolował, czy nie wnoszę do aresztu niebezpiecznych przedmiotów. Strażnik wręczył mi koszyk, do którego spakowałam torebkę, klucze oraz chusteczki wyciągnięte ze spodni. Wyposażona jedynie w plastikowy długopis i zeszyt przeszłam korytarzem w kierunku elektrycznie otwieranej kraty. Strażnik przeszedł ze mną do pokoju odwiedzin i usiadł na obskrobanym drewnianym taborecie, a ja zajęłam miejsce przy niewielkim stoliku. Kiedy do pomieszczenia wprowadzili Patrycję Czajkowską, atmosfera nieco zgęstniała. Kobieta zmierzyła mnie zimnym wzrokiem i siadła naprzeciwko mnie. Po słodkiej, sympatycznej dziewczynie nie został żaden ślad. Przedemną siedziała naburmuszona, zaniedbana aresztantka w szarym dresie. Na dłoniach miała zadrapania i niewielkie rany, najprawdopodobniej świadczące o świerzbie.

– Sąd zlecił wywiad w pani sprawie – powiedziałam oschle, nie unikając jej wzroku.

– Zajebicie... Mam skakać z radości czy co? – zapytała, odchylając się na krześle.

– Radzę zmienić ton...

– Bo co? – Spojrzała na mnie prowokująco. – Wie pani co?! Mam do pani żal. Uwzięła się pani na mnie! Specjalnie robiła mi pani naloty wieczorami, bo chciała zabrać mi dziecko. Działacie jak klika. Ile pani za to dają? Pieprzona kasta! Myślicie, że wszystko wam wolno?

Strażnik wstał z miejsca i uważnie obserwował dalszy rozwój wydarzeń. Był gotów do interwencji w każdej chwili.

– Spotykamy się w innej sprawie, ale może faktycznie warto poruszyć pewne kwestie – powiedziałam spokojnie, nie dając się sprowokować. – Pani Patrycyjo, nikt nie był przeciwko pani. Wszyscy staraliśmy się panią wspierać. To pani zachowanie doprowadziło do sytuacji, w jakiej się pani znajduje. Jedyna osoba, którą może pani winić, to pani sama. Wie pani, co by się stało, gdybym wtedy nie przyjechała? – Pochyliłam się ku niej. – Wiktor najpewniej by nie żył! Wtedy groziłoby pani znacznie więcej! Dostałaby pani dożywocie! – Mówiłam do niej tonem nieznośnym sprzeciwu, pokazując, że nie boję się jej podniesionego głosu.

Patrycja Czajkowska patrzyła na mnie zdumiona. Nie tego się spodziewała. Nie podejrzewała, że będę odpierać jej atak. Zapadła się w sobie i zupełnie zmieniła nastawienie.

– Co z nim teraz będzie? – zapytała ciszej.

– Trudno powiedzieć, ale możliwe, że trafi do adopcji. Teraz jest w pogotowiu opiekuńczym. Ma dobrą opiekę.

Czajkowska spuściła wzrok, po jej twarzy spłynęły łzy. Głośno pociągnęła nosem i wierzchem dłoni wytarła policzki.

– Będę mogła go kiedyś zobaczyć? – Spojrzała na mnie z nadzieją.

– Tego nie wiem...

– Może tak będzie dla niego lepiej... Przy mnie nie czeka go nic dobrego... – Milczała przez chwilę, a potem dodała: – Sorry, że tak

na panią naskoczyłam... Dobra, zmieńmy temat. Wiadomo, ile mi grozi?

– Musi pani podpytać prawnika, ale myślę, że jakieś pięć lat.

Czasem nie mogłam znieść niesprawiedliwości natury. Niektórzy rodzili niemal pod stołem, nie mając żadnych problemów z zajściem w ciążę, a inni bezskutecznie starali się o dziecko, korzystając z najnowszych nowinek medycznych. Sama też nie wiedziałam, co mnie czeka, dlatego wcale nie garnęłam się do zakładania rodziny. Po poronieniu okazało się, że mam niedoczynność tarczycy i z tego powodu nie donosiłam ciąży. Byłam co prawda pod opieką endokrynologa, ale z góry uprzedził mnie, że walka o dziecko nie będzie prosta...

\*\*\*

Pisałam wywiad w sprawie Czajkowskiej, kiedy do mojego biura weszła Magdalena Płotka. Zgarbiona, zmęczona, była cieniem dawnej siebie.

– Pani Gosiu, przepraszam, że przeszkadzam, ale nie bardzo wiem, co mam zrobić – westchnęła. – Robiłam porządki w ubraniach Emilki i w jednej z kurtek znalazłam to. – Wyjęła z torebki woreczek śniadaniowy, w którym znajdował się telefon komórkowy. – Był schowany w dziurze w podszewce.

– Odblokowała go pani? – zapytałam, biorąc go do ręki.

– Niestety nie jestem w stanie. Włączyłam go, ale jest zabezpieczony pinem.

– Najlepiej byłoby, gdyby przekazała go pani policji. Na pewno mają narzędzia do tego, by sprawdzić, co w nim jest.

– Pani Gosiu, a jeśli tam będą jakieś obciążające ją dowody? Jeśli ona handlowała narkotykami? No bo po co innego miałyby drugi telefon? Skąd miała na niego pieniądze? Musiała mieć

powód, by go używać i chować przed nami. Przecież ja nie chcę kłać jej pamięci.

– Pani Magdo, skoro tu pani przyszła, chciała pani porady. Naprawdę uważam, że należy ten telefon przekazać policji. Może się okazać, że będą tam dane mordercy, może w końcu nastąpi jakiś przełom. Minęło już tyle czasu, a nadal nie wiadomo, kto to zrobił. Przecież chce pani sprawiedliwości dla córki. Zależy pani na wyjaśnieniu tej sprawy.

– Chcę, ale się boję...

– Czego?

– Że dowiem się o niej czegoś, czego wcale nie chcę...

# Robert

Kilka dni temu na komendę zgłosiła się Magdalena Płotka. Przyjechała w towarzystwie Gosi Drobińskiej. Chociaż trudno mi było przyznać przed samym sobą, cieszyłem się, mogąc ją ponownie zobaczyć. Kiedy staliśmy na pomoście na urodzinach Leona, miałem ochotę ją pocałować. Patrząc w jej ciemne oczy, czułem, że też miała na to ochotę. Początkowo myślałem, że wpadłem jej w oko, a potem zobaczyłem ją z tym gogusiem na kolacji... Najwidoczniej był bardziej w jej typie.

Gośka namówiła matkę na przekazanie znalezionej telefonu policji. Pracowali już nad nim technicy. Ustalili, że na aparacie znajdowały się jedynie odciski palców Emilii i jej matki. Zaś na karcie pamięci było mnóstwo nagich zdjęć i filmików z udziałem nieżyjącej dziewczyny. Nie było w nich niczego, co mogłoby wypełniać znamiona przestępstwa. Najwyraźniej robiła to dobrowolnie. Uważnie studiowałem zgrane na pendrive dane, starając się znaleźć punkt zaczepienia.

Dziewczyna na kilka miesięcy przed śmiercią korespondowała z mężczyzną używającym nicku „Patron”. Jak w korespondencji z Nikołą Miloch. Nawet mechanizm działania był ten sam. To nie mógł być przypadek... Musiałem przesłuchać tamtą małą i zebrać szczegółowe informacje dotyczące tego faceta.

Z wymienianych między nim a Emilią wiadomości wynikało, że spotykali się regularnie, głównie w hotelach. Facet najwyraźniej był jej sponsorem. Kupował jej drogie prezenty, zapraszał do



ekskluzywnych restauracji. Ostatnie wiadomości mogły rzucić nowe światło na sprawę. Emilia chciała mu o czymś ważnym powiedzieć, umówili się na spotkanie, ale rano w dniu zaginięcia Patron je odwołał. Potem już ani razu nic do niej nie wysłał. Dziwne...

Wszedłem do biura techników. Mój otyły kolega z zainteresowaniem wpatrywał się w ekran monitora.

– Przeszedłeś w samą porę, dostałem odpowiedź z firmy telekomunikacyjnej, podali mi numery, które kontaktowały się z tą komórką. Poza kilkoma rozmowami z przedstawicielami handlowymi nie mam czego się złapać – mówił, pokazując biling na monitorze.

– Telefonu ogólnie używała jedynie do kontaktów za pomocą portali społecznościowych. Jak zapewne zauważyłeś, numer nie jest polski, a czeski. Emilia Płotka korzystała z karty prepaid bez konieczności jej rejestracji.

– To trochę komplikuje sprawę – przyznałem. – A jesteśmy w stanie ustalić naszego rozmówcę?

– Robię, co mogę, ale to wcale nie jest takie proste. Staram się uzyskać jego numer IP, ale muszą nad tym popracować teższe głowy.

\*\*\*

Kilka dni później jechałem do kancelarii Piotra Bielawskiego, by go przesłuchać i wręczyć nakaz przeszukania jego domu oraz kancelarii. Wszystko zaczęło się ze sobą łączyć. Z informacji uzyskanych od informatyków wynikało, że z Emilią Płotką kontaktowano się z czeskiego numeru, który logował się do sieci internetowej w Chojnicach. Pogrzebali głębiej i ustalili dokładny adres IP. Pod wskazanym przez firmę informatyczną adresem znajdowało się mieszkanie mecenasa Piotra Bielawskiego. Teraz

stało się dla mnie jasne, dlaczego sam zgłosił się do obrony Kubry Nadolnego. Chciał być na bieżąco z toczącym się postępowaniem.

Pewnym krokiem wszedłem do kancelarii. W sekretariacie siedziała młoda kobieta, która widząc, że się nie zatrzymuję, tylko zmierzam wprost do biura mecenasa, wstała i skierowała się ku przeszkłonym drzwiom.

– Pan mecenas jest zajęty, musi pan poczekać. Ma ważny telefon – powiedziała, próbując mnie zatrzymać.

Pokazałem jej legitymację i wszedłem do gabinetu Bielawskiego. Siedział przy swoim biurku pochłonięty rozmową. Spojrzał na mnie zdumiony.

– Robert Grubicki, komenda Chojnice, pozwoli pan ze mną.

– Ale o co chodzi? – zapytał skonsternowany i natychmiast się rozłączył.

Położyłem przed nim nakaz przeszukania kancelarii i jego mieszkania.

– To jakaś pomyłka. Żądam wyjaśnień!

– Jest pan podejrzany o zamordowanie Emilii Płotki.

Mecenas chłodno zmierzył mnie wzrokiem, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał.

– Chyba pan oszalał! Co to za wymysły! – powiedział oburzony. – Nie pozwolę na to!

– To się jeszcze zobaczy... bo za dużo do gadania nie masz. Przeszukamy mieszkanie, biuro i wtedy się okaże, co jest wymysłem, a co faktem. Na komendzie pobierzemy odciski palców i próbkę śliny.

– Nie zgadzam się! Złożę na pana skargę!

– Proszę próbować – powiedziałem kpiąco. – Prokurator już się skontaktował z Okręgową Radą Adwokacką w Gdańsku i poinformował o planowanych względem pana działaniach. Nikt z rady nie miał w tej kwestii żadnych obiekcji. – Uśmiechnąłem się złośliwie.

Do gabinetu weszło dwóch policjantów i rozpoczęli przeszukiwanie biura.

– Koledzy zajmą się robotą tutaj, a my pojedziemy do mieszkania. Tam też czekają policjanci. Przecież nie chcemy wyważać drzwi.

– Pojadę, ale na pewno nie teraz! Nie zostawię was w kancelarii samych. Mam tu poufne dane klientów... Pojadę dopiero, jak tu skończycie.

– Zgoda – powiedziałem, rozsiadając się w fotelu i obserwując pracę młodszych kolegów.

\*\*\*

Przeszukania na niewiele się zdały. Znaleźliśmy jedynie komórkę z czeską kartą telefoniczną. Telefon był wyłączony. Bielawski odmówił w tym zakresie współpracy, więc technicy ponownie mieli pole do popisu. Pobrali odciski palców i ślinę mecenasa. Teraz czekałem na wyniki prac techników i informatyków. Piotr Bielawski milczał jak zakłęty, więc siedziałem w biurze i czekałem... Miałem czterdzieści osiem godzin na to, by go posadzić albo zwolnić. Czas niestety nie był moim sprzymierzeńcem, bo choć machina ruszyła, wszystko uzależnione było od czasu uzyskania kluczowych wyników.

Piłem czwartą kawę i w oczekiwaniu na wyniki badań DNA piętnasty raz odświeżałem służbową pocztę. Do pokoju wszedł informatyk i do mojego komputera podłączył pendrive.

– Patrz... – Kliknął na ikonkę przenośnego twardego dysku.

– Wszystkie wiadomości pokrywały się z tymi znalezionymi na telefonie Emilii Płatki. Mało tego – mówił rozemocjonowany – takich korespondencji jest znacznie więcej. Pisał z jakąś małąlatą z Chojnic o nicku Niezapominajka03. Jej też robił prezenty, choć ta dziewczyna była bardziej wyrachowana i żądała od niego kasy. Ja

pierdole! Co jest z tymi dzisiejszymi dziewczynami? Chyba jestem już na to za stary. W takich chwilach dziękuję Bogu, że mam trzech chłopaków, bo gdyby mój dzieciak się kurwił, bo nazwijmy to po imieniu, to przysięgam, Gruby, zabiłbym.

– Ustaliłeś dane tej Niezapominajki03?

– Tu akurat było to dziecinnie proste, bo w jednej z wiadomości podała mu swój numer telefonu. Jest zarejestrowany na Krystynę Miloch. Ma córkę Nikolę. Porównałem jej zdjęcia z Facebooka z filmikami z komórki Bielawskiego i to na pewno ta sama dziewczyna.

– Wszystko się zgadza. Przesłuchałem tę małą. Jej matka zgłaszała, że odkryła korespondencję córeczki z jakimś facetem. Chciała złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, ale nie było podstaw. Młoda ma ukończone piętnaście lat, wszystko odbywało się za obopólną zgodą. Więc...

– Więc... dupa. Choć powiem ci szczerze, że zdziwiłem się, że ma piętnaście, na oko dałbym jej spokojnie ze dwadzieścia. Z wiadomości wynikało, że mówiła Bielawskiemu, że ma osiemnaście lat i w tym roku zdaje maturę. Patrząc po jej fizjonomii – informatyk dłońmi narysował w powietrzu klepsydrę – wcale się nie dziwię, że jej uwierzył.

– Widziałem ją na żywo i też obiektywnie przyznam, że byłem przekonany, że jest dużo starsza.

– Miał jeszcze kilka innych pań... Popatrz... – Pokazał mi fragmenty innych rozmów. – Zgrałem ci wszystkie czaty, ale w tamtych żadnych rewelacji się nie dokopiesz. Posprawdzałem wszystkie pańki. Wszystkie bez wyjątku były pełnoletnie. Kolesi lubi laski w wieku od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat.

Wydrukowałem przydatne strony, zgarnąłem Bielawskiego i przeszedłem z nim do pokoju przesłuchań.

– Obiadek smakował? – zapytałem złośliwie. – W Sukiennicach całkiem nieźle karmią. U nas prawie jak w hotelu. Załapałeś się na

spanie i posiłek prosto z restauracji. Tylko na kąpiel musisz poczekać.

Bielawski oglądał swoje dłonie, kompletnie mnie ignorując.

– Przejrzeliśmy twoją korespondencję z Emilią, to znaczy powinienem powiedzieć z Roxanne. Lubieś sobie na nią popatrzeć. No, nie dziwię się, ładna była... Szkoda, że ją zamordowałeś.

Bielawski spojrział na mnie gniewnie.

– Za dużo sobie pozwalasz, glino.

– To się okaże. Czekamy na wyniki badań płodu.

Bielawski, mimo że starał się trzymać nerwy na wodzy, nie był w stanie zachować pokerowej twarzy. Zbladł i zacisnął dłonie w pięści.

– Skoro ojcem dziecka nie jest Kuba, to jest duże prawdopodobieństwo, że tatusiem byłeś ty. Emilia prosiła cię o spotkanie. Umówiliście się, ale rankiem w dniu jej zaginięcia nagle je odwołałeś. Wieczorem rozplynęła się jak kamfora, a potem ktoś rozbił jej głowę. To stawia cię w bardzo niekorzystnym świetle.

Bielawski zaciskał puste pięści. Wyglądał jak zaszczute zwierzę. Tylko czekałem, aż do mnie doskoczy.

– Mam alibi.

– Tak? Zamieniam się w słuch.

– W dniu zaginięcia Emilii byłem w klubie w Gdańsku.

– Proszę podać dokładnie, gdzie i w jakich godzinach. Sprawdzimy.

– Byłem w klubie Golden przy Bałtyckiej sto osiemnaście, od dwudziestej drugiej do pierwszej w nocy. Bawiłem się tam z pewną kobietą. Nie znałem jej... Poznaliśmy się w klubie i spędziliśmy razem kilka godzin. Nad ranem nasze drogi się rozeszły. W klubie na pewno jest monitoring, płaciłem kartą. Proszę to sprawdzić...

Do pokoju wszedł Maciej, wręczył mi wydrukowany mail z laboratorium Instytutu Genetyki Sądowej.

– To cię zainteresuje – powiedział Wrona i od razu wyszedł.

Przeczytałem wnioski dotyczące porównywanych próbek.

– No, no... Jest ciekawie... Niezaprzeczalnie byłeś ojcem nienarodzonego dziecka Emilii Płotki.

Bielawski głośno przełknął ślinę i sięgnął po wydruk. Uważnie studiował każde słowo, jakby siłą umysłu mógł zmienić jego treść.

– Nielatwo będzie ci z tego wybrnąć. – Wstałem, uchyliłem drzwi na korytarz i poprosiłem policjanta z prewencji, by odprowadził mecenasa do celi.

– Sprawdźcie moje alibi, ja tego nie zrobiłem. Nie zabiłem jej. Naprawdę jej nie zabiłem!

– Narobiłeś sobie więcej kłopotów, niż myślisz. Kojarzysz Niezapominajkę<sup>03</sup>?

Bielawski uniósł nieco głowę i spojrzał na mnie obojętnie.

– Co, może ją też zabiłem? Może jestem chojnicką bestią, Piotrem Rozpruwaczem? – prychnął złośliwie.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Spojrzałem na niego jak na wariata. – Jak widziałem ją ostatnio, miała się całkiem nieźle... Powinieneś uważać, gdzie wkładasz wacka i z kim się umawiasz. Matka tej dziewczyny chciała złożyć zawiadomienie. Widziała, co wypisujecie. Młoda cię oszukała, nie ma osiemnastu lat, a piętnaście. Masz szczęście, że zaczęliście pisać już po jej urodzinach, bo w przeciwnym razie skończyłbyś jako pedofil w kryminale.

# Gosia

Siedziałam w piżamie przed telewizorem i jadłam lody. Nagle ktoś bardzo energicznie zaczął dzwonić do drzwi, więc narzuciłam pluszowy szlafrok i z lodami w ręku przeszłam do korytarza. Spojrzałam przez wizjer. Na klatce stała Karolina.

– Oszalałaś? – zapytałam, otwierając jej drzwi. – Zmarłego byś obudziła.

– A spałaś?

Weszła do przedpokoju, rozebrała się i bezceremonialnie przeszła do kuchni. Z szuflady pod kuchenką wyjęła łyżkę, z wiszącej szafki miskę i z kubka, z którego jadłam, przełożyła sobie część lodów.

– Ej!

– Jak sama zjesz całe, to ci w uda pójdzie – powiedziała, puszczając do mnie oko.

Przeszła do pokoju i rozsiadła się na kanapie.

– Mam takie rewelacje, że nie mogłam ich przekazać przez telefon. Muszę osobiście. – Spojrzała na mnie tajemniczo. – Usiądź.

Stałam i patrzyłam na nią, nie rozumiejąc, co to za rewelacje, które miałyby mnie zwalić z nóg.

– No siadaj! – powtórzyła.

Przewróciłam oczami i usiadłam obok niej.

– Sama nie wiem, jak mam ci to powiedzieć... Ogólnie to wielka tajemnica na razie... więc błagam, byś zostawiła to dla siebie.

– No mów! Budujesz atmosferę prawie jak w horrorze – powiedziałam zaciekawiona.

– Piotr Bielawski został dziś zatrzymany. Podobno policja zrobiła kipisz w jego mieszkaniu i kancelarii.

Spojrzałam na nią, nie dowierzając w to, co mówi.

– Poważnie? Może to jakaś plotka?

– Coś ty! Żadna plotka. Pół Chojnic już o tym mówi. Pojawiły się informacje na portalach społecznościowych. Nie widziałaś? – zapytała oburzona.

– No jakoś mi to umknęło... Co się stało?

– Podobno jest podejrzany w sprawie zabójstwa Emilii Płotki.

– Co?! Ale dlaczego? Co on miał z nią wspólnego? – Myśli kłębiły się w mojej głowie.

– Tego nie wiem. Sylwia mi mówiła, że teraz stało się dla niej jasne, dlaczego mecenas sam zgłosił się do obrony Jakuba pro bono. Dzięki temu miał dostęp do akt i zebranego przez policję materiału. Był na bieżąco ze śledztwem. Cwaniaczek – powiedziała Karolina, odstawiając pustą miskę na stolik.

– Cholera! Mnie też wkręcił. Pomagałam mu ustalić, co wiedzą jej przyjaciele... Całe szczęście, że tylko raz się spotkaliśmy... Co za gnojek!

– Mam jeszcze jedną bombę... – powiedziała Karolina.

– Dawaj. Już chyba gorzej być nie może.

– Jakub powiedział Sylwii, że Emila była w ciąży, ale to nie on był ojcem.



# Robert

Ze sprawy mogłem wykluczyć ojca Emilii Płotki i mecenasa – Piotra Bielawskiego. Ten pierwszy musiał się zmierzyć z tragedią rodzinną, a drugi był zawodowo spalony. Za nieetyczne zachowanie groziło mu wydalenie z palestry. Alibi Bielawskiego się potwierdziło. W noc zabójstwa Emilii był w Gdańsku, nie mógł być w tym samym czasie w Czersku.

Zastanawiałem się nad danymi adresata wiadomości wysłanej przez Emilię na kilka godzin przed zaginięciem. Na pewien czas o tym zapomniałem, nie sądząc, że może być to kluczowa wskazówka, ale w związku z tym, że nie miałem zbyt wielu poszlak, postanowiłem pójść tym tropem. Wysłałem pismo do firmy telekomunikacyjnej z prośbą o podanie danych abonenta. W oczekiwaniu na odpowiedź po raz kolejny przeglądałem zebrany materiał i choć lekko posuwałem się do przodu, to nadal nie miałem sprawcy. Fakt, że po śmierci zasłonięto dziewczynie twarz, mógł wskazywać na kogoś, kogo znała. Na razie nie miałem zbyt wielu tropów i spośród potencjalnych podejrzanych wykluczałem też Jakuba Nadolnego. Został mi jedynie Bartosz Kobus, ale do niego sam nie byłem przekonany. Od kilku miesięcy siedział w areszcie w związku z molestowaniem córki Hanny Durajewskiej. Nie mogliśmy mu przyklepać nic więcej, bo wycofał się z obciążających go zeznań.

Przyjechałem do Czerska przewietrzyć umysł. Chciałem ponownie przespacerować się po miejscu zbrodni przy

Truskawkowej osiem. Zaparkowałem pod niedokończoną budową. Właściciel, chcąc chronić własność przed niepożądanymi gośćmi, na parterze obił drzwi i okna drewnianymi deskami. Obszedłem wkoło budynek. Odkryłem, że w drzwiach garażowych jedna deska była luźna, odsunąłem ją na bok i wszedłem do środka. Powietrze było wilgotne, śmierdzące stęchlizną. Powoli stawiałem kroki, cały czas patrząc pod nogi. W ciemności dostrzegałem jedynie kształty, więc zapaliłem latarkę. Kiedy chciałem zejść do piwnicy, z kąta przy otworze na kominek usłyszałem chrząknięcie. Skierowałem tam snop światła. W rogu siedział skulony mężczyzna. Miał brudne włosy i ubranie, gęsta kręcona broda opierała się o kurtkę. Były w niej resztki jedzenia. Mężczyzna osłonił ręką oczy przed rażącym go światłem.

– Ej, no wyłącz – powiedział zachrypniętym, przepitym głosem.

Facet siedział na folii przykrytej zmechaconym kocem, okrywał się starym, poplamionym śpiworem. Wokół niego leżały puszki z jedzeniem i kilka pustych butelek wiśniówki.

Skierowałem latarkę na ścianę obok niego.

– Często pan tu bywa? – zapytałem.

– Sporadycznie... Czasem znajdę lepszą miejscówkę, ale jak nie mam się gdzie podziać, to tu przychodzę. Może nie jest za ciepło, ale zawsze cieplej niż na zewnątrz.

– Wie pan, że znaleziono tu ludzkie zwłoki?

– Ano wiem, ale mnie tam duchy niestraszone. Ciało zabrane, w piwnicy jeszcze trochę śmierdzi trupem, ale tu na górze jest całkiem dobrze.

Menel pociągnął nosem i zakaszłał.

– Od dawna tu pan przychodzi?

– Od kilku lat, ale przez kilka tygodni po znalezieniu tej dziewczuchy nie przybliżyłem. Jakoś tak, pan wie... Trochę dziwnie. A wcześniej to też bywało różnie. Czasem zbierała się tu młodzież

i imprezowali. Jedni byli w porządku i nawet czymś poczęstowali, a inni przeganiali, wyzywali i obrzucali kamieniami.

– Jakaś grupka przychodziła tu częściej?

– Wie pan, ja tych dzieciaków za bardzo nie rozróżniałem. Oni wszyscy trochę podobni do siebie... – Zamyślił się. – Takie czarne dzieciaki, co jak sataniści wyglądają, przychodziły tu najczęściej.

– Pamięta pan imiona?

– Nie za bardzo... – Znow się zamyślił. – Ale na jedną dziewczynę tak śmiesznie mówili, kojarzyło mi się ze strusiem. Tylko jak to szło... Emu, Emo... – Zastanowił się i podrapał po kędzierzawych włosach.

– Może Emi?

– Tak... chyba tak.

– A z kim tu przychodziła?

– Oj, tego to nie wiem. Z taką samą jak ona.

– Przychodziła tu z dziewczyną?

– Tak, tylko z nią. Ci inni przychodzili wieczorami czy nocami zabalować, ale one przesiadywały w ciągu dnia, najczęściej na piętrze. Zawsze odstąpiły mi fajeczkę.

Wpisałem imię i nazwisko w wyszukiwarce Facebooka i pokazałem mężczyźnie zdjęcie dziewczyny, o której myślałem.

– O, tak. To ta – powiedział z przekonaniem.

\*\*\*

Jak wynikało z bilingu, w wieczór przed zaginięciem Emilia koło dwudziestej pierwszej wysłała do kogoś SMS-a. Jednak nie było go w telefonie. Jako jedyny został wykasowany z aparatu. Sprawdziłem, do kogo należał numer, po czym ponownie przejrzałem zeznania świadków. Wszyscy twierdzili, że nigdy nie przychodzili na opuszczoną budowę. W końcu złapałem kogoś na

kłamstwie, więc postanowiłem zagrać va banque. Do pomocy przy przesłuchaniu zagoniłem Macieja. Miał grać złego policjanta.

Pojechał po dziewczynę do domu i przywiózł ją na przesłuchanie. Wprowadził do pokoju i kazał czekać. Siedziała tam już półtorej godziny i wierciła się niespokojnie, co chwilę spoglądając na drzwi. Maciej co dwadzieścia minut wchodził tam i mówił, że jeszcze chwilę musi poczekać. Ja w tym czasie zdążyłem zjeść drugie śniadanie i wypić kawę. Kiedy stwierdziłem, że jest już gotowa do obróbki, wszedłem z grubą teczką wypełnioną papierami. Większość z nich stanowiły puste kartki wyjęte z drukarki. Zleżało mi na tym, by pomyślała, że mamy dużo obciążającego ją materiału.

Rzuciłem energicznie teczkę na stół. Głośno uderzyła o blat, Monika aż podskoczyła.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś? – zapytałem, pochylając się i opierając o stół.

– Nie bardzo...

– Wiemy, co zrobiłaś. – Spojrzałem jej w oczy.

– Niby co zrobiłam? – zapytała spokojnie.

– Monika, na nic się zdadzą twoje zagrywki. Lepiej dla ciebie, jeśli się sama przyznasz.

– Do czego miałabym się przyznać? Nic nie zrobiłam! Próbujecie mnie w coś zrobić?!

– Słuchaj, wiemy już wszystko. Jeśli liczysz na łagodny wyrok, musisz zacząć współpracować. Zrozumiałaś?

– Tracisz czas! Niczego nie zrobiłam! Nie rozumiesz? Ja nic nie zrobiłam!

– A kto?

– A skąd mam wiedzieć? To nie ja prowadzę śledztwo.

Walnąłem ręką w stół, aż zatrzeszczał. Monika Kubiszewska spojrzała na mnie wielkimi oczami.

– Nie jesteś już dzieciakiem, nie muszę meldować twoim rodzicom, że zostałaś zatrzymana, i bez owijania w bawełnę powiem ci, że stoisz po uszy w gównie. Sprawdziliśmy bilingi. Wysłała do ciebie SMS-a. Wiemy, że w wieczór zaginięcia Emilii Płotki byłaś razem z nią. Spotkałyście się pod jej klatką i razem przeszłyście na niedokończoną budowę na leśnej polanie.

Złożyłem już wniosek o podanie miejsc logowania telefonu Moniki Kubiszewskiej w dniu zabójstwa Emilii Płotki, ale jeszcze nie otrzymałem odpowiedzi. Jednak ona o tym nie wiedziała.

– Nie pamiętam, by mi cokolwiek wysyłała. Zresztą nie ma to znaczenia. W noc jej zaginięcia byłam w domu. Moi rodzice to potwierdzili. Próbujecie znaleźć kozła ofiarnego!

– Rodzice potwierdzili, że poszłaś spać koło dwudziestej drugiej, ale potem do ciebie nie wchodzili. Mieszkasz na parterze. Z łatwością mogłaś niepostrzeżenie wymknąć się z domu.

– Niby jaki miałabym mieć motyw? Przyjaźniłyśmy się. Kochałam ją. Była moją najlepszą przyjaciółką. Bardziej niż mną powinniście zainteresować się Igorem!

Spojrzałem na nią zdziwiony. Nie spodziewałem się, że będzie starała się zrobić swojego chłopaka.

– A niby dlaczego?

– Kiedyś z nią chodził! Pewnie nie mógł znieść odrzucenia! Nie mógł się pogodzić, że związała się z Kubą! – krzyczała wzburzona.

Siadłem naprzeciwko niej i prowokująco spojrzałem jej w oczy. Staralem się z nich coś wyczytać.

– Monika... – zacząłem łagodnie. – Musisz powiedzieć prawdę. Nie masz wyjścia.

Kubiszewska patrzyła na mnie, ale nie odezwała się ani słowem.

– Milczenie w niczym ci nie pomoże.

– Żądam adwokata – powiedziała stanowczo.

– A jasne, ale od razu cię uprzedzam, że to trochę potrwa. Prokurator skieruje wniosek o areszt i jeszcze dziś trafisz za kratki. Wiesz, co to oznacza? Koniec wolności. Spędzisz tam całe życie, no chyba że zaczniesz współpracować. Jesteś młodociana, sąd może potraktować cię łagodniej, ale musi mieć ku temu powody. Musi wiedzieć skruczę, musi wiedzieć, czemu to zrobiłaś.

Monika obserwowała, jak wertowałem kartki w aktach.

– Powiem ci, co ja myślę... Myślę, że zabiłaś ją niechcący, myślę, że pokłóciłyście się o Igora. Podkochiwał się w Emilii, ona go odrzuciła. Byłaś o nią zazdrosna, wkurzało cię to, że ją wolał. Czułaś się gorsza... – Ostentacyjnie zmierzylem ją wzrokiem. – A niczego ci nie brakuje. Niejeden by stwierdził, że byłaś od niej ładniejsza. Spotkałaś się z nią, bo chciałaś poprosić, by się od niego odczepiła. Ale doszło między wami do kłótni, zaczęłyście się szarpać, a potem zaczęłaś ją okładać kawałkiem pustaka, straciłaś nad sobą panowanie. Nie chciałaś jej tego zrobić, ale emocje wzięły górę. Kiedy się ocknęłaś, przeraziłaś się tym, co zrobiłaś. Wiedziałaś, że ją zabiłaś. Zamordowałaś ją, skatowałaś. Dlatego nie mogłaś znieść widoku jej twarzy. Dlatego przykryłaś ją gruzem... Jednak bałaś się, że ktoś rozwiąże zagadkę, dlatego posunęłaś się dalej i zbecześciłaś jej zwłoki, gwałcąc ją znaną butelką... Jedna rzecz tylko mnie zastanawia... Czy wiedziałaś, że była w ciąży?

W oczach Moniki pojawiły się łzy, a twarz jej poczerwieniała.

– W jakiej ciąży? Z kim? Nie wiedziałam...

Odłożyłem akta i współczująco na nią spojrzałem. Złapałem ją za dłoń. Najpierw wzdrygnęła się zaskoczona.

– Daj sobie pomoc. Masz szansę na łagodniejszy wyrok. Musisz jednak pamiętać, że jak prokurator weźmie cię w obroty, żarty się skończą. Już nic dla ciebie nie będę mógł zrobić. Dowody świadczą przeciwko tobie. Propozycja ma swój termin ważności i wygaśnie z chwilą, kiedy zjawi się tu prokurator.

Monika naciągnęła rękawy bluzki na dłonie, jej oczy błędziły po stoliku i aktach. Kalkulowała. Siedzieliśmy w milczeniu przez kwadrans, w końcu stwierdziłem, że starczy. Napisałem do Macieja, by wszedł powiedzieć, że prokurator będzie za chwilę. Musiałem zacisnąć pięść. Wóz albo przewóz – albo teraz pięknie, albo potrwa to dłużej, niż zakładałem.

Do pokoju przesłuchań wszedł Maciej, stojąc w futrynie, rzucił jedynie:

– Jedzie prokurator.

Po czym zniknął, zamykając za sobą drzwi. Wstałem z krzesła i ruszyłem w stronę wyjścia.

– Nie byłam zazdrosna o Igora... – powiedziała cicho.

Przystanąłem, odwróciłem się ku niej, czekając, czy powie coś więcej.

– A o kogo?

– O nią... Kochałam ją... a ona mnie odrzuciła w najbardziej parszywy sposób...

Siadłem na powrót przy stole i uważnie wsłuchiwałem się w jej słowa.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło tamtego wieczora.

Widziałem, że waha się, czy mi zaufać, ale nie miała nic do stracenia.

– Pomoże mi pan? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Miotła się jeszcze przez chwilę, a potem podjęła decyzję.

– Wieczorem napisałam do niej SMS z prośbą o spotkanie, ale ona odpisała, że nie znajdzie dla mnie czasu. Musiałam z nią porozmawiać. Już nie mogłam dłużej wytrzymać... Wiedziałam, że będzie wracać od Kuby między dwudziestą trzecią a dwudziestą czwartą. Postanowiłam wymknąć się z domu i na nią poczekać... Spotkałyśmy się przy cmentarzu, tam, gdzie kończy się targowisko. Tuż koło jej bloku. Kuba zdążył już kawałek odejść. Nie

umawialiśmy się wcześniej, więc była trochę zaskoczona. Powiedziałam, że chciałabym z nią pogadać, więc przeszliśmy się w nasze ulubione miejsce.

– Na opuszczonej budowę przy Truskawkowej – powiedziałem.

Skinęła głową i wzięła głęboki oddech.

– Po drodze gadałyśmy o duperelach. Zazwyczaj przesiadywałyśmy na piętrze budynku, bo stamtąd był ładny widok na okolicę, ale tej nocy wiało, więc zeszliśmy do piwnicy. Zapaliliśmy papierosa i zaczęłyśmy gadać. O niej, o Kubie i o nas.

Na początku nie rozumiałem, o co jej chodzi, dopiero po chwili dotarło do mnie, co chciała mi przekazać.

– Emi była związana z Kubą, a ja z Igorem. Ale tak naprawdę dla mnie to była tylko przykrywka. Zakochałam się w niej, jak tylko przyszedłam do szkoły. Podobało mi się to, że jest taka pewna siebie, kreatywna, kobieca, ale też niebywale silna. Nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Jak dołączyła do naszej klasy, zbliżyłyśmy się do siebie.

– Byłyście parą?

– Nie... Całowałyśmy się kilka razy, trochę dla beki, ale... czasem, jak byłyśmy same, Emi przytulała mnie tak czule... jakby odwzajemniała moje uczucia. Czułam to. Nie wymyśliłam sobie tego – powiedziała pewnym głosem. – W tej piwnicy... bo ja dla odwagi wcześniej sobie coś tam wypiałam... wyznałam jej swoją miłość... a ona... – głos uwiązł jej w gardle – ...zaczęła się histerycznie śmiać, wyzywać mnie od lesb. Kazałam jej przestać! Ona dalej się śmiała i patrzyła na mnie z pogardą, rozbawieniem. Było mi okropnie przykro. Potem wszystko zaczęło dziać się tak szybko... Popchnęłam ją, chciałam, żeby przestała się śmiać, ale... wtedy zaczęłyśmy się przepychać. W pewnym momencie ona przewróciła się na ziemię. Mimo to cały czas ta sytuacja ją bawiła. Lekceważyła mnie... Wzięłam leżący nieopodal kawałek pustaka i uderzyłam ją raz, a potem kolejny. Nie wiem, ile razy... Nie



wiedziałam, co mam zrobić. Nie mogłam znieść tego, że cały czas na mnie patrzy, więc przykryłam ją kawałkami gruzu, a potem wymyśliłam ten gwałt... wykasowałam wymienione między nami SMS-y i w jej imieniu napisałam wiadomość na WhatsApp do Kuby, a potem ukryłam telefon i wróciłam do domu...

# EPILOG

## Gosia

Po raz ostatni odwiedziłam rodziców Emilii Płotki. Po wyjaśnieniu wszystkich zagadek związanych z jej zaginięciem i śmiercią wydawali się spokojniejsi. Magdalena Płotka w końcu wróciła do pracy i planowała założyć fundację imienia córki. Wielokrotnie powtarzała, że nie może zrozumieć, jak najlepsza przyjaciółka córki mogła być zdolna do zamordowania Emilii. Nie mogła zrozumieć, jak po tym wszystkim Monika Kubiszewska mogła prowadzić normalne życie i swoim zachowaniem nie wzbudzać niczyich podejrzeń.

Jakub Nadolny został oczyszczony z zarzutów i choć był niewinny, przeprowadził się do Chojnic, bo w Czersku kojarzyli go wyłącznie ze sprawą Emilii. Podjął tu pracę i wynajął mieszkanie przy Budowlanych. Świetnie sobie radził i był chwalony przez pracodawcę. Karolina do przeprowadzki nakłaniała także swoją siostrę. W ostatnim czasie bardzo się do siebie zbliżyły. Znalazła jej kawalerkę na Osiedlu Leśnym i pracę w osiedlowym markecie.

Wracalam niemal pustą „berlinką” do Chojnic. Rażące, zachodzące słońce zabarwiało niebo na różowo. Słuchając The Cranberries, rozmyślałam o Emilii Płotce. Wydawało się, że życie stało przed nią otworem. Miała plany na przyszłość, chciała śpiewać, studiować. Nie sądziła, że nie będzie jej to dane... Nikt nie przypuszczał, że dziewczyna, która wyrwała się ze szponów

nałogu, padnie ofiarą przestępstwa, i to z rąk bliskiej osoby. Nie mogłam uwierzyć, że przez ostatnich kilka miesięcy tyle się wydarzyło...

Piotr Bielawski z powodu nieetycznego zachowania został zawieszony przez Okręgową Radę Adwokacką w Gdańsku. Pisał do mnie SMS-y z przeprosinami, ale nie chciałam mieć z tym palantem nic wspólnego.

Ku mojemu zaskoczeniu wczoraj zadzwonił Robert Grubicki i zaprosił mnie na randkę. Ucieszyłam się, bo po tym, jak widział mnie z Bielawskim, nie sądziłam, że będzie chciał się ze mną umówić. Na myśl o naszym spotkaniu uśmiechnęłam się bezwiednie...

# Robert

Na dzisiejszy wieczór umówiłem się z Gosią Drobińską. Rozwazałem to od pewnego czasu, ale brakowało mi odwagi. Zarezerwowałem w Charzykowach stolik z widokiem na jezioro i robiłem wszystko, by zdążyć z robotą do szesnastej.

Właśnie przesłuchiwałem świadka w sprawie kradzieży radia ze starej toyoty yaris, kiedy do biura wpadł wkurzony naczelnik.

– Grubicki, musisz skończyć to przesłuchanie, jest pilna robota do zrobienia. Maciej odprowadzi pana, a ja szybko nakreślę ci, w czym problem.

– Jasne.

Siedzący naprzeciwko mnie starszy mężczyzna, widząc powagę sytuacji, zaczął wychodzić z pokoju.

– To ja jutro rano przyjdę, dobrze? – zapytał na odchodnym.

– Dobrze, ósma trzydzieści? – zaproponowałem.

Przytaknął i wyszedł w towarzystwie Maćka.

– Stary potrzebuje dwóch gliniarzy do domówki<sup>19</sup>. Nie ma kogo wysłać, wiesz, jak to jest, okres urlopowy, ludzi brak. Weźmiesz to z Maciejem?

– Raczej nie mam wyboru – odparłem.

Naczelnik poklepał mnie po ramieniu.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Wyjąłem z szafy glocka. Sprawdziłem, czy jest załadowany, i włożyłem go do futerału zawieszzonego na pasku. Kiedy Maciej

zrobił to samo, wyszliśmy z biura i wskoczyliśmy do nieoznakowanego BMW.

– To co, jedziemy?

– Jedziemy, ale wiesz dokąd? – zapytał Wrona, zapinając pas.

– Tak, dyżurny podał mi adres Piłsudskiego osiemdziesiąt siedem przez dwanaście. Już kiedyś tam byliśmy – powiedziałem, odpalając auto.

– Schizofrenik mieszkający z matką, pamiętam. Takiego desperata się nie zapomina. Cały mundur miałem we krwi.

– Dzisiaj też rozrabia. Tym razem wezwali nas sąsiedzi, bo Karol Broda krzyczy na matkę.

– Czyli nie będzie tak źle. Zobaczymy, co zastaniemy, może się zaraz uspokoi. Jeśli nie, trzeba będzie wezwać karetkę. Wtedy niech oni się martwią.

Po dwóch minutach byliśmy na miejscu. Wdrapaliśmy się na drugie piętro starej, zaniedbanej kamienicy. Zapukałem i niemal natychmiast otworzyły się drzwi. Stała za nimi matka Karola Brody.

– Panowie do nas? – zapytała z lekkim drżeniem w głosie.

– Mamy zgłoszenie o awanturze.

Siedemdziesięciolatka machnęła ręką z rezygnacją.

– Na syna to trudno donosić... – Przyjrzała się nam uważniej. – Ja panów znam... Byliście tu... jak się pociął. I jeszcze raz potem, jak się zgubił...

– Ma pani świetną pamięć.

– Już nie taką, jak kiedyś. Demencja, wiek i co najważniejsze stres... że też mnie Bóg taki los zgotował... Rozpląkała się.

– Tak was w korytarzu przyjmuję, wejdźcie... Po tym, jak się pociął, na dwa tygodnie trafił do psychiatryka w Starogardzie Gdańskim. Trochę go tam podleczyli. Wrócił taki... nie zrozumcie mnie źle... ale otępiały. Potem nasz psychiatra zmienił mu leki i znów był... no taki...normalny. Z dziećmi się widywał, z żoną jako

tako się dogadywał. Leki brał jak trzeba i nawet za robotą zaczął się rozglądać. No dość to trwało... A teraz znów coś się z nim dzieje. Zamyka się w pokoju, gada do siebie. Ostatnich parę dni oskarżał mnie o kradzież jakichś pieniędzy, mówił, że kogoś na niego nasyłam. Każe mi wyłączać telewizor, bo uważa, że go podglądają.

– Niedobrze... Myślę, że koniecznie musi zobaczyć go lekarz – podsumowałem, po czym zwróciłem się do Macieja: – Wezwij karetkę.

Maciej chwycił za radio i zameldował dyżurnemu potrzebę wezwania ambulansu.

– Gdzie on jest? – zapytałem kobiety.

– W swoim pokoju.

Odbezpieczyliśmy glocki, ale nadal trzymaliśmy je w kaburach. Nie chcieliśmy sprowokować mężczyzny do jakichś desperackich kroków. Chcieliśmy z nim porozmawiać. Skierowaliśmy się do drzwi pokoju Karola Brody. Zapukałem i nie czekając na odpowiedź, otworzyłem je na oścież. Karol Broda stał na środku z wycelowanym w skroń taurusem 9 mm. Nie takiego rozwoju sytuacji się spodziewałem.

– Mam tego dość... Rozumiecie?! Dość! Też przyszliście mnie szpiegować?!

– Panie Karolu, pamięta pan nas? – mówiłem spokojnie, starając się trzymać nerwy na wodzy. – Byliśmy u pana kilka miesięcy temu.

– Pamiętam! To przez was mnie zamknęli i jakieś doświadczenia na mnie robili! Wszczepili mi tu czipa – wskazał na czoło – i teraz wiedzą dokładnie, co robię! Śledzą mnie, podglądają i podsłuchują!

Uderzył parokrotnie lufą w skroń. Spojrzałem na Macieja. Sięgnął po swoją broń, którą trzymał w kaburze na plecach, i wtedy wszystko wydarzyło się szybko...

Maciej nawet nie zdążył dotknąć chwytu glocka, kiedy Karol Broda zmienił zamiary i wycelował wprost w twarz mojego partnera. Niewiele myśląc, instynktownie rzuciłem się w kierunku Wrony i go pchnąłem. Kiedy usłyszałem głośny wystrzał, Maciej odchylił się w lewo. Zdezorientowany spojrzałem w kierunku Brody. Dostrzegłem dymiącą lufę i przerażenie w jego oczach. Upuścił pistolet, padł na kolana, zasłaniając twarz rękoma. Przesunąłem wzrok na Macieja, oszołomiony najpierw podbiegł do Karola Brody, powalił go na ziemię i skuł kajdankami. Kopnął broń w kierunku drzwi. Drżącymi rękami sięgnął po radio.

– Zero, zero do osiemnaście! Ranny policjant, rana postrzałowa klatki piersiowej, karetka! Pilnie! – krzyczał, doskakując do mnie. – Robert, musisz się położyć. Już jedzie karetka. Chłopie, jesteście twardy...

Patrzył na mnie przerażony. Nic nie rozumiałem... Przecież Broda chybił. Nie trafił.

– Co ty bredzisz? – zapytałem i poczułem ciepło wylewające się z mojej piersi...

Lepka krew powoli wypływała na moją koszulę, a ja nie mogłem uwierzyć, że zostałem raniony. Przecież nic nie czułem... Spanikowany Maciej starał się zatamować krwawienie, mocno dociskając dłonie do krwawiącej rany... Zrobiło mi się słabo. Podtrzymywany za ramiona przez Wronę powoli położyłem się na podłodze. Prerażone oczy Brody wpatrywały się w moją twarz. Leżał na brzuchu niespełna metr ode mnie. Serce rytmicznie uderzało w piersi, ale mój oddech stawał się coraz płytszy... Bolał mnie mostek, czułem drętwienie całego ciała. W oddali słyszałem odgłos syreny karetki i szybko zbliżające się ciężkie kroki. Ktoś mnie szarpnął, przeniósł na nosze i przestałem czuć ból...

# Postłowie

Do stworzenia tej powieści natchnęło mnie życie i historie nastolatków szukających: miłości, chwili uwagi, szybkiego i mało wymagającego sposobu na zarobienie pieniędzy. O wielu takich przypadkach można przeczytać w gazetach. Często nie mają dobrego zakończenia i rzutują na życie całej rodziny.

Zagrożenia i pokusy czyhające na dzisiejszą młodzież są w mojej opinii niebotycznie większe niż te, z którymi mieliśmy do czynienia dwadzieścia czy czterdzieści lat temu. Dlatego, kochany Czytelniku, jeśli masz dzieci, staraj się trzymać rękę na pulsie i bacznie im się przyglądaj, bo nigdy nie wiadomo, jakie niebezpieczeństwo czai się za rogiem.



# Podziękowania

Zacznę od podziękowania Tobie. Wielokrotnie powtarzam, że nie ma autora bez Czytelnika. Moja powieść ma sens tylko wtedy, gdy trafia w Twoje ręce. Dziękuję, że jesteś ze mną. Cieszę się, że mogłam Cię oprowadzić po moich okolicach. Z Chojnicami i Czerskiem jestem związana emocjonalnie. Spędziłam tu większość swojego życia, więc postanowiłam osadzić tu akcję powieści. Oczywiście zmieniałam pewne miejsca na potrzeby książki, ale wiele z opisów oddaje rzeczywisty obraz obu miejscowości.

Z czerskim liceum wiążą się moje nastoletnie wspomnienia, dlatego pozwolę sobie pozdrowić zarówno całą kadrę (w szczególności Ewę Szpręgę i Violetkę Słomińską-Bławat oraz byłego dyrektora Ryszarda Kuchtę), jak i absolwentów tej szkoły.

Dziękuję Aleksandrze Popławskiej, która od wielu miesięcy jest moim dobrym duchem. Jest nie tylko wspaniałą aktorką, ale także wspaniałym i wrażliwym człowiekiem. Olu, od zawsze jestem Twoją fanką, więc tym bardziej czuję się zaszczycona, że nie tylko przeczytałaś moją powieść, ale także napisałaś rekomendację. To dla mnie ogromne wyróżnienie.

Szczególne podziękowania kieruję w stronę moich pierwszych Czytelników: mojego Męża, Mamy, Ani, Asi, Karoliny, Moniki, pana Arkadiusza, Michała, Sylwii i Lucyny.

Dziękuję moim bliskim. Wiem, że czynię to za każdym razem, ale zawsze otaczają mnie wsparciem i dobrym słowem.

Największe podziękowania kieruję w stronę mojego Męża, który jest także moim doradcą (również kiedy zbieram materiały do książek).

Dziękuję Tomkowi Lewińskiemu za uratowanie części mojej pracy, kiedy komputer odmówił mi posłuszeństwa i „zjadł” spory kawałek powieści. Bez brakującego tekstu trudno byłoby kontynuować pracę, o ile całkiem bym się nie poddała.

Dziękuję Michałowi Leszczyńskiemu i Mariuszowi Wojciechowskiemu z Komendy Powiatowej Policji w Chojnicach za profesjonalne konsultacje dotyczące pracy policji.

---

1 Socjalni z MOPS-u – pracownicy socjalni z ośrodka pomocy społecznej (skrót pochodzi od: Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej).

2 DPS – Dom Pomocy Społecznej, dla osób zniedołężniałych, chorych psychicznie, wymagających całodobowej opieki.

3 Art. 200. Kodeksu Karnego – wykorzystanie seksualne małoletniego, obcowanie płciowe lub inna czynność seksualna.

4 Pouczenie odczuwalne – slang policyjny, pouczenie z zastosowaniem środków przymusu w postaci np. pałki.

5 Dołek – slang policyjny, izba zatrzymań.

6 Krajowy Ośrodek Zapobiegania Zachowaniom Dysocjalnym, tzw. ośrodek dla bestii.

7 Chris Bunch, *Podłe światy*.

8 *Grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne tam, gdzie chcą* – tytuł książki Ute Ehrhardt.

9 Nielata – osoba nieletnia, wobec której zastosowano środek wychowawczy (postanowieniem sądu rodzinnego).

10 MOW – skrót od Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy, jest jednym ze środków wychowawczych stosowanych wobec nieletnich.

11 Decernat – inaczej referat, zbiór spraw przydzielonych kuratorowi, sędziemu, do prowadzenia.

12 Osobowość dyssocjalna – to antyspołeczne zaburzenie osobowości, osoby z tym zaburzeniem skupione są na zaspokajaniu własnych potrzeb, mają niski poziom empatii, lekceważą normy społeczne i prawne, ich działania są wynikiem chłodnej kalkulacji.

13 CUS – skrót od Centrum Usług Społecznych (działa podobnie do ośrodków pomocy społecznej).

14 Leszek Pękalski – seryjny morderca znany jako Wampir z Bytowa.

15 Jo – po kaszubsku „tak”.

16 Sześćdziesiona – oznacza donosiela; od art. 60. k.k. o nadzwyczajnym złagodzeniu kary dla sprawcy przestępstwa, który donosi o innych sprawcach.

17 Alternatywka – w slangu młodzieżowym jedna z subkultur.

18 Rejonowy – potocznie dzielnicowy.

19 Domówka – w slangu policyjnym awantura domowa.

# Spis treści:

Okładka

Strona tytułowa

Patron

Robert

Patron

Gosia

Patron

Gosia

Patron

Robert

Patron

Gosia

Patron

Gosia

Patron

Gosia

Patron

Robert

Gosia

Patron

Gosia

Robert

Gosia

Patron

Robert

Gosia

Patron

Robert

Patron

Gosia

Robert

Gosia

Robert

Gosia

Robert

Gosia

Robert

Gosia

Robert

Gosia

Patron

Gosia

Robert

Gosia

Robert

Gosia

Robert

EPILOG Gosia

Robert

Posłowie

Podziękowania

*Deprawacja*

ISBN: 978-83-8313-929-6

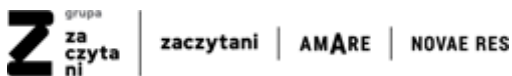
© Sandra Cicha i Wydawnictwo Novae Res 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Magdalena Białek

KOREKTA: Konrad Witkowski

OKŁADKA: Michał Duława | zdjęcie na okładce – AI



**Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.**

Grupa Zaczytani sp. z o.o.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)